

Maria Paszyńska pokazała mi Warszawę, która zachwyca.
Czyta się jednym tchem! – BARBARA HORAWIANKA

MARIA PASZYŃSKA

GONITWA CHMUR



G O N I T W A
C H M U R

MARIA
PASZYŃSKA

GONITWA
CHMUR



Copyright © Maria Paszyńska, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Maria Moczko / panbook.pl

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-402-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Piotrowi...

Rozdział 1

Dzwoneczek przy drzwiach cukierni „U Hanki” dźwięcznie oznajmił wyjście klientki. Słodka Pola szybkim ruchem ręki starła z lśniącego kontuaru okruszki pozostałe po pakowaniu olbrzymiej ilości rogalików z kruchego ciasta, nadziewanych masą makową. Poczowała się nagle bardzo głodna, więc wykorzystując chwilę swobody, i ona postanowiła skosztować rogalików pieczonych według najnowszej receptury ojca, po który to wypiek w każdy czwartek od rana ustawiały się kolejki. Był rzeczywiście wyśmienity. Kruche ciasto, mięciutkie, lecz delikatnie chrupiące, otulało nasączoną koniakiem masę makową, w której pobłyskiwały kawałeczki migdałów. Apolonia Starczewska rzuciła tęskne spojrzenie na pozostałe lukrowane półksiężycy, pyszniące się na wysokiej porcelanowej paterze. Chętnie zjadłaby jeszcze kilka, ale nie mogła pozwolić sobie na dłuższą przerwę. Poza tym w każdej chwili mógł nadejść kolejny klient, na którym córka właściciela jedząca ciastka na stojąco za ladą mogłaby zrobić zdecydowanie niekorzystne wrażenie.

Posiliwszy się nieco, wyciągnęła grubą księgę rachunkową. W maju, tuż przed śmiercią marszałka Piłsudskiego, Słodka Pola ukończyła z wyróżnieniem szkołę i od tej pory pomagała ojcu w prowadzeniu interesu, odciążając go, na ile potrafiła. Obecnie kłopotowała się rachunkami cukierni. Od tygodnia niemal codziennie usiłowała uporządkować zaległe sprawy finansowe, ale jakoś jej nie wychodziło. Za dużo zmartwień

rozpraszało jej myśli. Tym razem było podobnie. Za nic nie mogła się skupić na obliczeniach, co kilka sekund wyniki ulatywały jej z głowy i musiała zaczynać wszystko od nowa – syzyfowa praca.

Pola podniosła głowę znad wypełnionych cyframi stronic i wyjrzała przez okno.

Był pochmurny dzień. Silny wiatr bezlitośnie wyginał na wszystkie strony posadzone wzdłuż Wilczej młode brzoźki i lipy, strącając z nich kolorowe, jesienne liście. Nieliczni przechodnie przytrzymywali jedną ręką palta, drugą kapelusze i kuląc się, chowali twarze w ramiona, usiłując jak najprędzej dotrzeć do miejsc, w których mogliby się nieco ogrzać, a przede wszystkim schronić przed szalejącą zawieją. Tylko jeden człowiek na ulicy stał nieruchomo, wyprostowany i uśmiechnięty, trzymając w zębach cygaro – Teodor Rakowski. Pola wzdrygnęła się. Od pewnego czasu w jej głowie zrodziło się irracjonalne przekonanie, że widok Rakowskiego o poranku niechybnie zwiastuje kłopoty przez cały dzień.

Wiosną tego roku Rakowski kupił lokal na parterze kamienicy mieszczącej się niemal naprzeciwko wejścia do cukierni pana Antoniego. Otworzył w nim zakład gastronomiczny serwujący dania jarskie, układając menu zgodnie z wszelkimi wymogami ówczesnie obowiązującej w stolicy mody na dania bezmięsne. U Rakowskiego można było skosztować i innych potraw, którym lekarze, ze słynnym doktorem Tarnawskim z Kosowa pod Kołomyją, przypisywali prozdrowotne właściwości. Choć dwie przecznice dalej, przy Wilczej 35, mieściła się restauracja „Wzorowa”, będąca dumą

Warszawskiego Zjednoczenia Jaroszków, a nieco dalej, przy Koszykowej 22, jarska „Jadłodajnia Iwanowicza”, lokal Rakowskiego szybko zyskał sobie wierne grono zwolenników. Stołowali się u niego nie tyle zagorzali amatorzy gotowanych warzyw, ile miłośnicy mięsiwa mający kłopoty zdrowotne. Co ciekawe, większość z nich stanowili mężczyźni potężnej budowy, nader potliwi, o trudnej do zauważenia linii podbródka, którym żony i doktorzy zalecali ścisłą dietę. Lokal Teodora Rakowskiego był dla nich szansą na zjedzenie porządnego, w ich ocenie, posiłku, bez narażania się na niezadowolenie żony i połajanki przy kolejnym pomiarze ciśnienia u medyka. Rakowski bowiem nie stosował się nazbyt ortodoksyjnie do zasad kuchni bezmięsnej, okraszając tu i ówdzie kapustę skwarkami, smażąc cebulę na słoninie czy polewając kasze wybornym gęsim tłuszczem. Dodawał tym samym mdłym, zdaniem niektórych, daniom smaku, zachowując pozory serwowania posiłków niosących samo zdrowie. Kulinaryny podstęp udał się znakomicie. W krótkim czasie zaczęli tu jadać profesorowie pobliskiej Politechniki Warszawskiej i przedstawiciele wolnych zawodów, licznie zamieszkujący Wilczą. Przy niewielkich, prostych, lakierowanych stolikach, nakrytych białymi obrusami i białą zastawą, można było spotkać znanych adwokatów, wziętych architektów, nauczycieli i żołnierzy pochylonych nad rzymską pieczeńią przyrządzoną z marchwi, ziemniaków i kalafiora, obficie posypaną koperkiem.

Dodatkowym atutem tego miejsca były niemające sobie równych w Warszawie zakąski grzybowe, zwłaszcza maślaki

moczone w mleku, smażone i podawane z uduszonymi na maśle gałązkami pietruszki, których nie można było dostać nigdzie indziej. Ceny, nazbyt wygórowane na żakowską kieszeń, nie pozwalały stołować się tu studentom i uczniom okolicznych szkół, toteż lokal Rakowskiego szybko zyskał sławę jadłodajni, w której można zjeść posiłek w atmosferze niezakłóconej młodzieńczą żywotnością i hałaśliwością, przy okazji wstępując na kawę i doskonały deser do cukierni Starczewskich. Po takiej dawce zdrowia i witamin niepodobna bowiem nawet z powodu wskazań medycznych odmówić sobie odrobiny słodkiej przyjemności.

Wydawało się, że nowe sąsiedztwo przyniesie cukierni „U Hanki” same korzyści. Wraz z rozwojem miasta i wznoszeniem w Śródmieściu coraz odważniejszych i nowocześniejszych gmachów Wilcza, zwłaszcza u zbiegu z Koszykową, zaczęła uchodzić za okolicę nieco staroświecką. Młodzi ludzie, których stać było na mieszkanie w pobliżu, osiedlali się raczej u jej początków, tam gdzie łączyła się ona z pięknymi Alejami Ujazdowskimi czy tętniącą życiem Marszałkowską. Do kamienic oznaczonych niskimi numerami zaczęli się przenosić także zamożni przedsiębiorcy, poważni urzędnicy i słynni lekarze, bo tamte rejony bardziej odpowiadały ich pozycji społecznej. Cukiernia pana Antoniego wprawdzie nigdy nie odczuła skutków podupadania ulicy, ale modna restauracja w pobliżu pozwalała mieć nadzieję na to, że wkrótce i cukiernię zaczną odwiedzać nowi klienci.

Pola, wciąż pochylona nad rachunkami, rozmyślając o sąsiedztwie, które miało być szansą, a okazało się nieznośnym ciężarem, przypomniała sobie, iż przeczucie, że tak się stanie, tknęło ją już podczas pierwszego spotkania ojca z Teodorem Rakowskim.

Pewnego wyjątkowo słonecznego kwietniowego popołudnia w drzwiach cukierni Starczewskich pojawił się grubawy, choć nie otyły, lekko łysiejący, nadzwyczaj szykowny mężczyzna w średnim wieku, pachnący intensywnie popularną wodą kolońską Przemysławka, produkowaną przez Henryka Żaka w Poznaniu, której używanie było w dobrym tonie, odkąd „do rannej toalety” zaczął polecać ją sam Jan Kiepura – wyrocznia męskiej elegancji i stylu. Wypachniony jegomość podszedł do pana Antoniego i w nieco zbyt swobodny, choć bynajmniej nie niegrzeczny sposób zaczął z zachwytem rozwozić się nad wysmakowanym urządzeniem części sklepowej lokalu. Następnie, wykazując wielką gorliwość i zaciekawienie, żartobliwie zażądał, by pan Antoni raczył oprowadzić sąsiada po samej kawiarni i przylegających do niej salach oraz by nie dał się zbyt długo prosić o zdradzenie tajemnic zaplecza.

– Wzajemne zaufanie to podstawa współżycia sąsiedzkiego, nieprawdaż? – rzekł, po czym w odpowiedzi na pytające spojrzenie pana Antoniego, dodał: – A, prawda, nie przedstawiłem się! Teodor Rakowski.

Starczewski uścisnął podaną mu dłoń i nieco zakłopotany wymamrotał swoje nazwisko.

– Ależ panie sąsiedzie, pan nikomu w tym mieście nie musi się przedstawiać. Jestem doprawdy zaszczycony, podkreślam:

zaszczycony! – huknął radośnie gość i poklepał pana Antoniego poufale po plecach.

Słodka Pola stała na uboczu i przyglądała się uważnie nietypowemu zachowaniu mężczyzny. Było w nim coś niepokojącego, choć większość osób zgromadzonych w sklepie rzucała mu pełne sympatii spojrzenia. Nowy sąsiad wydał się Poli zastanawiająco czujny i spięty jak drapieźnik gotujący się do skoku, choć usiłował to maskować głośnym, wesołym i bezpośrednim sposobem bycia. Rakowski przebiegł wzrokiem po osobach znajdujących się w sali i dostrzegł utkwiony w nim wzrok córki pana Antoniego. To jedno spojrzenie w ukryte za staroświeckim lorgnonem oczy Rakowskiego wystarczyło, by utwierdzić Polę w przekonaniu, że stojący przed nią człowiek ma niewiele wspólnego z dobrotliwym, jowialnym wujaszkiem. Zza optycznych szkieł, ukryte w grubych fałdach powiek, wyzierały oczy nadzwyczaj badawcze i przenikliwe, których wyraz sprawił, że dziewczynie ciarki przeszły po plecach, mimo iż w tym samym czasie Rakowski zasypał ją gradem przymilnych słów i z galanterią ucałował jej dłoń. Apolonia Starczewska była pewna, że ma przed sobą bezwzględного człowieka, który nie cofnie się przed niczym na drodze do osiągnięcia swoich celów, okrutnego i pozbawionego skrupułów, a owo złe usposobienie skutecznie tuszuje, przybierając pozę rubasznego, sympatycznego grubaska. Pola słyszała plotki, w których nazywano Rakowskiego warszawskim Midasem, ponieważ wszystko, czym się zajął, szło gładko i niemal natychmiast okazywało się nadzwyczaj rentowne. Rakowski prowadził w Warszawie trzy księgarnie,

drukarnię, skład apteczny i rzeczoną restauracyjkę na Wilczej. Dodatkowo zajmował się wieloma przedsięwzięciami, o których istnieniu w mieście dużo rozmawiano, ale nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, co jest ich istotą. Sądząc po rozmachu, z jakim nosili się członkowie jego rodziny, z samym Rakowskim na czele, można było jedynie wnioskować, iż owe przedsięwzięcia przynosiły mu ogromne zyski.

Pola dyskretnie przyjrzała się złotemu lorgnonowi, ozdobionemu niewielkim zegarkiem, zmyślnie wbudowanym w rączkę. Była pewna, że dla Teodora Rakowskiego jest to nie tyle instrument optyczny, co podkreślenie statusu materialnego. Doskonale potrafił eksponować własny dostatek, sprawiając wrażenie kogoś, kto nie obnosi się ze swoimi pieniędzmi. W Warszawie jednak żaden wielki majątek nie mógł pozostać niezauważony, a wielkie pieniądze zawsze wywoływały wielkie emocje. Dlatego właśnie na stołecznych salonach dużo mówiło się o tajemniczym przedsiębiorcy, który szybko zyskał sobie przychylność wielu znaczących osobistości.

Teodor Rakowski miał bowiem pewien rzadki talent, który w połączeniu ze sprytem, śmiałością, brakiem zahamowań i głębokim przekonaniem, że świat powinien bez słowa sprzeciwu leć u jego stóp, doprowadził go do miejsca, w którym się znajdował. Owym talentem była zdolność do bezbłędnego odkrywania ludzkich skłonności, wyczuwania ich natury na tyle dokładnie, żeby móc przypodobać się każdemu i bez wysiłku wkradać się w łaski tych, których chciał mieć po swojej stronie i którzy byli mu do czegoś potrzebni. Instynkt

niemal go nie zawodził. Z rzadka tylko spotykał osoby pokroju Antoniego Starczewskiego i Słodkiej Poli, które od pierwszej chwili dostrzegały jego prawdziwe oblicze.

Gdy Rakowski piał z zachwytu nad zapachami w cukierni, sądząc że i tym razem po mistrzowsku odgrywa swoją rolę, Pola wymieniła szybkie spojrzenia z ojcem, który wzrokiem nakazał jej dyskretnie zachować ostrożność. Najwyraźniej podzielał jej opinię o tym człowieku.

W niedługim czasie mieli się przekonać, jak trafny był ich osąd. Kilka tygodni po otwarciu jadłodajni Rakowski wykupił sąsiedni lokal i otworzył w nim własną kawiarnię, słusznie wnioskując, iż nie ma sensu dzielić się zyskami, skoro można samemu zapewnić kawę i ciastka swoim gościom. Jednak tym razem zmysł przedsiębiorcy go zawiódł. Nie docenił renomy i popularności kawiarni pana Antoniego. Jego klienci po zjedzeniu dobrego obiadu na deser szli do „U Hanki”, mówiąc, że tam można zjeść najlepsze ciastka w mieście, a świeżo palonej, aromatycznej kawy od Starczewskiego nic nie dorówna. Rakowski wkrótce musiał zamknąć cukiernię. Z jego zachowania można było wnioskować, że niezbyt przejął się niepowodzeniem. Zamknąwszy cukiernię, sprowadził do swojej restauracji angielską maszynę do wyciskania soków z warzyw, czym natychmiast wzbudził entuzjazm klientów, zafascynowanych nie tyle samym napitkiem, co nowoczesnym urządzeniem.

Wydawało się, że wszystko znów znalazło się na swoim miejscu, a życie gastronomiczne na krańcu Wilczej podzieliło się między dwa lokale, każdy wyspecjalizowany w innej

dziedzinie. Jednak Rakowski był człowiekiem nieznoszącym porażek. Musiał wygrywać, a gdy przegrywał, co zdarzało mu się niezwykle rzadko, tak długo knuł, kombinował, węszył i spiskował, aż wreszcie udawało mu się pokonać przeciwnika, który wcześniej odniósł nad nim zwycięstwo. Naczelną zasadę, którą wyznawał w życiu, można by streścić w trzech słowach: „Wygrać albo zniszczyć”.

Odkąd zamknął cukiernię, w porze podwieczorku ostentacyjnie przesiadywał „U Hanki”, jakby chciał pokazać całemu światu, że nie żywi urazy i docenia przysmaki serwowane w lokalu rywala. Na większości ludzi robiło to bardzo dobre wrażenie. Ukazywało Rakowskiego jako człowieka otwartego, który z godnością przyjmuje porażki. Pola była jednak odmiennego zdania. Im dłużej przyglądała się Teodorowi Rakowskiemu, tym bardziej się go bała, przypuszczając, że nie należy do osób, które łatwo puszczają w niepamięć własne niepowodzenia.

Wkrótce Rakowski zaczął nachodzić pana Antoniego i proponować mu wspólne interesy. Raz jeden pan Antoni dał się namówić. Później niczym innym jak chwilowym brakiem przytomności umysłu nie był w stanie wytłumaczyć samemu sobie, dlaczego w ogóle zastosował się do wskazówek sąsiada. Stracił sporo pieniędzy i zdrowia, usiłując naprawić powstałą sytuację ze Spółdzielczym Bankiem Przemysłu Cukierniczego, w którym zaciągnął pożyczkę rządową pod rzekomo pewną inwestycję, poleconą mu w zaufaniu przez Rakowskiego. Zarząd banku, przez wzgląd na zaangażowanie pana Antoniego w cechu cukierniczym i jego nieposzlakowaną

opinię, zgodził się nie nagłaśniać próby wyłudzenia państwowych pieniędzy, której pan Antoni ich zdaniem się dopuścił. Starczewski, niczego nie rozumiejąc, podziękował bankierom i udał się do Rakowskiego z prośbą o wyjaśnienia. Ten jednak zbył go, udając, że rozmowa, na którą powoływał się cukiernik, nigdy się nie odbyła.

– Panie Antoni, kochany panie sąsiedzie – rzekł z udawaną usłużnością – chyba nie posądza mnie pan o takie nierozsądne sugestie? Musieliśmy się nie zrozumieć, ot i wszystko. Ludzka rzecz.

Pan Antoni poczuł gniew i wyszedł bez pożegnania. A Rakowski nadal jadał podwieczorki „U Hanki”, serdecznie witał się z właścicielem i wykorzystywał każdą okazję, żeby uprzykrzyć Starczewskiemu życie. Gdy dowiedział się o kłopotach finansowych pana Antoniego, będących pokłosiem owej nieszczęsnej awantury z bankiem cukierniczym, zasugerował, że w razie potrzeby Starczewski może odsprzedać mu cukiernię.

– Zapłacę gotówką – dodał, przybierając żartobliwy ton, choć w jego oczach lśniły stalowe błyski.

– To nie będzie konieczne – odparł wówczas pan Antoni i od tej pory starał się unikać Rakowskiego, ku wyraźnej ucieście tego ostatniego, który dla odmiany robił wszystko, żeby cukiernika spotkać.

Sytuacja między nimi stała się dla pana Antoniego nie do wytrzymania. Rakowski okazał się tak zręcznym manipulantem, że Starczewski mimo czujności, jaką zachowywał od pierwszego ich spotkania, wpakował się przez

niego w poważne kłopoty – i ta myśl była dla zacnego cukiernika szczególnie nieznośna.

Pola westchnęła na wspomnienie wszystkich zmartwień, które przez Rakowskiego spadły na jej rodzinę. Ostatnio zauważyła, że choć ojciec na nic się nie uskarża i stara się zachowywać jak gdyby nigdy nic, ciężiej oddycha, szybciej się męczy i od czasu do czasu przysiada odpocząć, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Niepokój o dorobek życia wpływał nie tylko na stan psychiki pana Antoniego, ale i wyraźnie pogarszał jego zdrowie. Pola starała się oszczędzać ojcu trosk, jednak przy tak natrętnym sąsiedzie było to trudne zadanie. Dziewczyna rzuciła w stronę Rakowskiego pełne niechęci spojrzenie.

W tym samym momencie Teodor Rakowski dojrzał zerkającą w jego kierunku Słodką Polę i ukłonił się jej z kurtuazją. W owym powitalnym skinieniu nie było wprawdzie nic niestosownego, ale Polę przeszył nieprzyjemny dreszcz. Natychmiast spuściła wzrok, udając, że nie zauważyła nienagannego gestu sąsiada. Miała niejasne przeczucie, że Rakowski coś knuje i że cel jego (podłego zapewne) planu jest związany z jej rodziną. Wbiła spojrzenie w długie kolumny cyfr i starała się za wszelką cenę o nim nie myśleć, niestety z marnym skutkiem.

Rakowski dostrzegł jej zmieszanie i uśmiechnął się do samego siebie. Nie znosił tej dziewczyny. Był estetą i jego wysublimowane zmysły raził brak wdzięku i urody córki Starczewskiego. Może jej figura była wcale niezłą reklamą dla cukierni, ale jego zdaniem kobiety tak gargantuicznych rozmiarów, z twarzami surowych wychowawczyń zakładów dla

niesfornych pańienek, nie nadawały się do obsługiwania klientów. Sprzedawczynie i kelnerki powinny mieć słodki wyraz twarzy, czarujący uśmiech i eleganckie ruchy, tak by samo patrzenie na nie sprawiało klientowi przyjemność i zachęcało do zakupów. Najtrudniej jednak było mu znieść jej pełen optymizmu sposób bycia. Tak naiwnie radośnie mogą zachowywać się chłopki w polu podczas żniw, a nie córki właściciela jednej z najlepszych cukierni w stolicy kraju. Za grosz gustu, za grosz klasy, za grosz dobrych manier. Przyglądał się z niechęcią, jak pochylona nad książką Pola zapisuje coś uważnie w wielkim zeszycie. Rakowski był pewien, że dziewczyna wyczuwa na sobie jego wzrok i tylko udaje skupioną.

Im dłużej jej się przyglądał, tym wyraźniej czuł, że w jego głowie kiełkuje jakaś zaskakująca myśl. Nagle nabrała ona rzeczywistego kształtu. Rakowski uśmiechnął się złowieszczo do samego siebie; w jednej chwili znalazł rozwiązanie dla swoich zmartwień, w dodatku takie, które pozwoli mu odnieść kilka korzyści jednocześnie. Przejmie interes Antoniego Starczewskiego, a przy tym zakpi z jego paskudnej córki i wyśmienicie zabawi się jej kosztem.

Teodor Rakowski postanowił, że jeszcze tego wieczoru przy kolacji przedstawi rodzinie swój plan. Zatarł z uciechy ręce i wszedł do restauracji w doskonałym nastroju. Czuł, że ma przed sobą dobry dzień.

Rozdział 2

Każdego dnia w chwili, gdy przestępował próg cukierni mieszczącej się w wytwornej kamienicy na rogu ulic Szpitalnej i Hortensji, nazywanej przez jednych czule, przez innych kpiąco wedlowską bombonierką, Wojtek w duchu dziękował ojcu, że namówił go do przyjęcia posady czeladnika w dekoratorni Jana Wedla. Wraz z pierwszym uderzeniem gorzkawego zapachu palonego kakao, przeplecionego waniliowymi i korzennymi nutami, czuł, że wszystko w jego życiu jest na swoim miejscu, a jego wiara w to, że jutro przyniesie mu tylko lepsze chwile, jeszcze wzrastała.

Zaplecze, gdzie znajdowała się dekoratornia, znacznie różniło się od urokliwego sklepiku, połączonego z elegancką pijalnią czekolady. W sklepie, do którego wchodziło się rzęsiście oświetlonym wejściem od ulicy Szpitalnej, zachowany został staroświecki nastrój minionej *la belle époque*, do której wciąż tęskniło wielu mieszkańców stolicy. Królowały tu ciężkie, ciemne meble, w których lśniących blatach odbijały się złożone sztukaterie, bogato zdobione żyrandole i kinkiety, stylizowane na kandelabry z dawnych sal balowych. Olbrzymie lustrzane szafy, wznoszące się do sufitu, w których kryształowych taflach z lubością przeglądały się klientki w oczekiwaniu na chwilę, gdy będą mogły dokonać zakupów, kryły w sobie wielkie zapasy słodkiego wedlowskiego asortymentu.

Na kontuarach ustawiono patery ozdobione złożonymi literami E.W., emblematem cukierni; piętrzyły się na nich ułożone w efektowne piramidki czekoladki, pralinki, czekoladowe jęczyczki, ruloniki, trufelki i pomadki, z czekolady gorzkiej, białej, mlecznej i deserowej. Obok nich pyszniła się wystawa czekoladowych figurek, z których najładniejsza zwykle nie była przeznaczona na sprzedaż, a na prezent dla jakiejś znakomitości, jeśli takowa zajrzała do wedlowskiego sklepiku. W tym tygodniu ową najpiękniejszą słodką rzeźbą był wykonany przez Wojtka posążek czekoladowego chłopca w czapce, szaliku i kusej kurteczce, trzymającego w dłoni liść klonu.

Dalej na tacach i w specjalnych koszyczkach skrzyły się kandyzowane owoce, kawałki ananasa, skórki pomarańczy, cykata, wiśnie, płatki róż i fiołki w cukrze, niemiłosiernie nęcące zapachami, zwłaszcza tych, którym przyszło czekać w kolejce z pustym żołądkiem. Wreszcie nieco z boku ułożone były pluszowe pudła cukierków i wyściełane atłasem bombonierki, swoją urodą i, niestety, także ceną przyćmiewające wszystko inne. Poniżej, za szklanymi szybami, dokładnie na wysokości dziecięcych oczu, widniała wystawa słodyczy paczkowanych, z których każde najmniejsze i najtańsze pudełeczko było osobnym dziełem sztuki. Na ścianach zaś, obok dekoracyjnych malowideł, powieszono oprawione w złożone ramki rysunki używane do reklamowania produktów. Był tam więc chłopczyk jadący na zebrze, wymachujący koszyczkiem czekolad, czy parująca filiżanka owsianego kakao. Mimo zróżnicowania, wszystkie

dekoracje doskonale do siebie pasowały, dodając wnętrzu uroku, tak że urządzony z pietyzmem salonik Wedla był istną krainą czarów.

Jak część kawiarniano-sklepowa była westchnieniem ku przeszłości, tak zaplecze było hołdem złożonym współczesności. Choć pięć lat temu Jan Wedel przeniósł produkcję słodyczy na prawy brzeg Wisły, gdzie na ulicy Zamojskiego wybudował bardzo nowoczesną fabrykę, którą wyposażył maszynami sprowadzonymi z zagranicy, na Szpitalnej pozostawiając jedynie sprzęty niezbędne do codziennej obsługi klientów, Wojtek nigdy wcześniej nie pracował wśród tylu nowinek technicznych.

Była tu między innymi specjalna maszyna do mieszania czekolady i utrzymywania jej w temperaturze zapobiegającej rozwarstwieniu. Szacowano, iż dziennie przy Szpitalnej serwowano klientom blisko pięćset filiżanek czekolady, a liczba ta w chłodnym, jesienno-zimowym czasie jeszcze wzrastała. Maszyna mieszająca umożliwiała sprawną realizację zamówień, zachowywała bowiem konsystencję i aromat pitnej czekolady.

Fabryka na Zamojskiego była niemal całkowicie zautomatyzowana. Wielkie, skomplikowane urządzenia odmierzały składniki, mieszały je ze sobą, wyrabiały ciasto, układały w formach, piekły, studziły, na koniec wypluwając gotowy produkt, nierzadko od razu opakowany. Gdy podczas obowiązkowego dla każdego nowego pracownika zwiedzania fabryki Wojtek zobaczył po raz pierwszy owo mechaniczne widowisko, miał uczucie końca jakiejś epoki. Przed oczami

stanęły mu wielkie kadzie z ciastem na zapleczu cukierni ojca, w której również roiło się od ułatwiających pracę urządzeń. Różnica polegała na tym, że „U Hanki” wszystkimi procesami dyrygował człowiek, podczas gdy w praskiej fabryce Wedla w wielu działach był on niepotrzebnym elementem.

Dekoratornia, mieszcząca się w olbrzymiej, doskonale oświetlonej sali, również pełna była cudów techniki. Stały tu automatyczne szlifierki, wyciskarki wzorów, krajalnice i mnóstwo innych urządzeń, które do tej pory Wojtek znał tylko w teorii, a które znacznie przyspieszały wykonywanie żmudnych czynności niemających za wiele wspólnego z prawdziwym dekoratorstwem. Jednak gdy maszyny wykonały już swoje zadania, w ruch szły ręczne miniaturowe dłutka, szpryce, noże, rozetki, rękawy cukiernicze, tarki, ubijaczki i całe mnóstwo dziwacznych niekiedy przyrządów, przy pomocy których zatrudnieni u Wedla dekoratorzy przemieniali idealnie oszlifowane bryłki czekolady w najwymyślniejsze arcydzieła.

Wojtek kochał pracę z czekoladą. Każdy artysta ma swoje ulubione tworzywo. Jedni preferują chłód szkła, inni gładkość marmuru, jeszcze inni elastyczność gliny. Wojtek zaś uwielbiał połączenie plastyczności i zmysłowości kryjące się w czekoladzie. Gdy pod koniec szkoły odkrył możliwości dekoratorskie związane z obróbką tego specjału, jego plan na życie uległ zmianie.

Dotąd naturalne wydawało mu się bowiem, że powinien wesprzeć w pracy ukochanego ojca. Cukiernia „U Hanki” była miejscem, w którym spędził znaczną część swojego życia

i gdzie czuł się jak w domu. Znał każdy jej zakamarek, obsługa była mu niemal równie bliska jak rodzina, a receptury flagowych wypieków i innych słodkości potrafił wyrecytować z pamięci o dowolnej porze dnia i nocy. Może dekoratornia była troszkę zbyt mała i nie tak dobrze wyposażona jak choćby ta szkolna, ale i tu nie mógł narzekać.

Po ukończeniu z wyróżnieniem szkoły cukierniczej i wielkim triumfie, jakim była dla niego ubiegłoroczna rewia rzemiosł, na którą przygotował tort w kształcie budynku Prudentiala, o młodym synu sławnego Starczewskiego zrobiło się głośno. Wojtek zaczął otrzymywać propozycje objęcia posady czeladnika cukierniczego od wielu warszawskich mistrzów. Każda taka oferta sprawiała mu ogromnie dużo radości, ale był przekonany, że żadnej z nich nie chce i nie powinien przyjmować. Odmawiał grzecznie, z właściwą sobie nieśmiałością tłumacząc, iż planuje zająć się rodzinnym interesem.

I byłby zapewne wcale zadowolony z poświęcenia życia pracy w rodzinnej cukierni, gdyby nie czekolada. Owszem, nie mógł odmówić urody figurkom z kolorowych mas cukierniczych lub marcepanu ani wdzięku kruchym piramidkom tortowym, ale dekoracje te rzadko nadawały się do zjedzenia. Nie kryły w sobie żadnej tajemnicy, nie wodziły na pokuszenie, nie nęciły – każdy wiedział, że są zbyt słodkie, żeby je jeść. Służyły wyłącznie ozdobie, przynosząc zawód każdemu bez wyjątku, kto kiedykolwiek ośmielił się ich spróbować.

Z czekoladą było inaczej. Czekolada od początku była tajemnicą, a każdy przyrządzony z niej przysmak zaskakiwał

i podniecał wszystkie zmysły jak żadne inne słodyczne. Wojtek miał wrażenie, że czekolada hipnotyzuje go ukrytą w jej wnętrzu cząsteczką magii. Gdy pochylał się nad pachnącą oszałamiająco kadzią pełną delikatnie bulgoczącej czekolady, rozbrzmiewały mu w uszach zasłyszane niegdyś słowa Montezumy, ostatniego władcy Azteków, który twierdził, że czekolada jest napojem bogów. Aztekowie wierzyli ponoć, że bogowie zasadzili na ziemi kwitnące drzewa kakaowca, a w jego owocach skryli bezcenne ziarna, by napój z nich przyrządzany był źródłem mądrości i błogosławieństwa dla ludzi.

Ta zagadkowa substancja, szalenie plastyczna, zachwycająca w smaku i zapachu, magiczna w każdej postaci: od płynnej, gęstej masy pitnej, przez puszyste struktury kakaowych pianek, delikatne nadziewane praliny, aż po twarde tablice gorzkich czekolad, wydających przy kruszeniu wspaniałe dźwięki, okazała się tym, czego Wojtek poszukiwał od początku swojej drogi, idealnym materiałem do tworzenia małych cukierniczych dzieł sztuki.

Pan Antoni dobrze znał swego syna i szybko dostrzegł jego fascynację czekoladą. Był też pewien, że choć serce chłopaka rwało się do nowoczesnych dekoratorni, zwłaszcza tych należących do cukierni specjalizujących się w wyrobach czekoladowych, prędzej czy później Wojtek wyrazi gotowość pracy w rodzinnej firmie, nawet za cenę poświęcenia własnych ambicji i marzeń. Zbyt głęboko zakorzenione było w nim przekonanie o spoczywającym nań obowiązku zajęcia się rodzinnym interesem, o konieczności przejęcia i kontynuacji

dzieła życia ukochanego ojca. Pan Antoni mógł wprawdzie, korzystając ze świętych praw rodzica, zignorować wszystko, namaścić Wojtka na swojego następcę i powoli przenosić ciężar odpowiedzialności na jego młode barki. Wszak to ojcu chłopak zawdzięczał zdobycie najlepszego możliwego wykształcenia cukierniczego, dzięki któremu przez resztę swoich dni będzie mógł wieść dostatnie życie. Pan Antoni jednak czuł, że musi zrobić wszystko, by droga, którą obierze Wojtek, była mu jak najbliższa, bo tylko wówczas będzie w stanie na niej wytrwać i być szczęśliwy. Chciał dać mu szansę na odnalezienie w tym szlachetnym rzemiośle miejsca dla samego siebie. Tylko to mogło sprawić, że odniesie sukces i będzie czerpał z pracy prawdziwą satysfakcję.

Było coś jeszcze, co nie pozwalało mu zachować się w ten sposób. Pan Antoni od dawna wiedział, że Wojtek jest artystą, a nie rzemieślnikiem, choć zaledwie garstka ludzi potrafiła odróżnić jednych od drugich. Jego synowi brakowało zmysłu przedsiębiorczości. Choć ze wszystkich sił starał się to ukryć, ojciec widział, że nie interesowały go zamówienia i dostawy, nie potrafił rozsądzać konfliktów pomiędzy ludźmi, czuł się ogromnie zażenowany, że w ogóle musi ich wysłuchiwać, a negocjowanie ceny w jego wykonaniu zwykle kończyło się przyjęciem pierwszej propozycji sprzedawcy, gdyż rozmowy o pieniądzu były dlań niemal równie zawstydzające jak spory pracowników. Wrażliwość uwydatniająca się w jego słodkich arcydziełach była także poważną przeszkodą w prowadzeniu interesu. Wojtek był bardzo inteligentnym mężczyzną, więc niejednokrotnie udawało mu się, mimo

wszystko, znaleźć jakieś wyjście z zaistniałej sytuacji, ale podobne wydarzenia męczyły go bardzo, a po dobrze dobitym targu nie odczuwał nawet cienia satysfakcji właściwej ludziom obdarzonym smykałką do interesów, a jedynie ulgę, że skończyła się jego udręka i znów może odejść w cień, ukryć się w dekoratorni i zająć tym, co naprawdę kochał. Owa wrażliwość, w połączeniu z nieśmiałością i brakiem siły przebiccia, mimo niewątpliwego talentu cukierniczego uniemożliwiłaby mu najprawdopodobniej osiągnięcie jakiegokolwiek zysku.

Pan Antoni wiedział, że silnie zakorzeniona tradycja solidnej pracy w połączeniu z niespotykaną wrażliwością artystyczną i wyczuciem estetycznym mogą doprowadzić Wojtka w niezwykle miejsce. Posiadanie cukierni i konieczność sprostania wszystkim związanym z nią obowiązkom, a przede wszystkim wyrzeczenie się marzeń, mogło jedynie zniszczyć ten idylliczny obraz przyszłości syna, pozostawiając po sobie gorycz niespełnienia, a tego pan Antoni chciał mu za wszelką cenę oszczędzić.

Pan Starczewski, obserwując zawodową drogę Wojtka, zdawał sobie sprawę, że nadejdzie dzień, w którym będzie musiał oddać „U Hanki” w czyjeś dobre, ale obce ręce, bo syna ta scheda zdecydowanie by unieszczęśliwiła. Myśl ta sprawiała mu ogromną przykrość, ale kochał Wojtka zbyt mocno, by podciąć mu skrzydła, obdarzając wątpliwie upragnionym interesem rodzinnym. Czuł, że powinien umożliwić mu poszukiwanie własnej ścieżki. Wojtek powinien popracować u różnych cukierników, poznać odmienne od ojcowskiego

podejście do zawodu, kilkakrotnie zmienić posadę, może nawet wyjechać za granicę, podpatrzeć receptury rzemieślników z innych krajów. Gdy więc posłaniec przyniósł wiadomość, że Wojtek mógłby rozpocząć praktykę czeladniczą w dekoratorni tortów i czekoladek na Szpitalnej u Jana Wedla, pan Antoni dołożył wszelkich starań, aby syn przyjął tę propozycję. Nie było to łatwe, jednak ostatecznie fascynacja czekoladą zwyciężyła i Wojtek z radością, którą starał się ukrywać, żeby nie sprawić ojcu przykrości, zdecydował się praktykować na Szpitalnej. By nie wtajemniczać osób postronnych w sprawy rodzinne i nie dać podstaw do plotek, ustalili, iż oficjalnie argumentem, który przeważył szalę na korzyść terminowania u Wedla, było to, że zarówno ukochany przez ojca Prus, jak i faworyt Wojtka – Sienkiewicz – zaopatrywali się w słodyczne właśnie w lokalu przy Szpitalnej.

– A gdy duch literackich miłości wzywa do pójścia szlakiem przeznaczenia, czyż można mu się oprzeć? – puentował wesoło pan Antoni, gdy ten i ów zaciekawiony rozejściem się dróg cukierniczych ojca i syna dopytywał o jego przyczyny.

Ciekawscy przyjmowali ten argument jako kolejne niegroźne dziwactwo Starczewskich, kiwali ze zrozumieniem głowami i co najważniejsze, nie wracali więcej do tematu.

Rozdział 3

Pan Antoni przystanął, oparł się o kontuar i próbował kilkoma głębszymi wdechami opanować przyspieszone bicie serca.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał zaniepokojony Eustachy, który z właściwą sobie dyskrecją niemal bezszelestnie pojawił się u boku pracodawcy.

– Dobrze, dobrze – odpowiedział Starczewski i siląc się na uśmiech, dał mu znać, żeby wracał do swoich obowiązków.

Prawda była jednak inna; od dłuższego czasu pan Antoni czuł się słabo. Z niepokojem obserwował, jak z każdym dniem podupada na zdrowiu, choć nawet przed samym sobą usiłował udawać, że jest inaczej. Żył jak dawniej, lecz wypełnianie rytuałów coraz więcej go kosztowało. Zaczął chodzić spać wcześniej, ale mimo to codziennie budził się odrętwiały i niemal równie zmęczony jak wówczas, gdy się kładł. Poranny spacer sprawiał mu trudność, co kilkadziesiąt kroków musiał przystanąć, by wyrównać oddech. Raz nawet podjechał kilka przystanków tramwajem, o czym oczywiście nikomu nie powiedział. Miał dziwne uczucie, jakby to wydarzenie było powodem do wstydu. Wiedział, że powinien pójść do lekarza, dać się zbadać i dowiedzieć się, co mu dolega, ale najzwyczajniej w świecie się bał. Powstrzymywało go niezrozumiałe przeświadczenie, że człowiek w jego wieku do doktora udaje się tylko po to, by usłyszeć, że jego dawne życie się skończyło i nadeszła pora odpoczynku. On jednak nie miał najmniejszej ochoty na ów odpoczynek, więc nawet myśl

o wizycie u medyka była mu niemiła. Od dziecka pracował i nie wyobrażał sobie, jak miałby żyć bez pracy. Kochał to, co robił. Dzięki pracy czuł się potrzebny, miał po co wstawać o poranku. Postanowił, że nie czas na uzalanie się nad sobą. Najlepszym lekarstwem na wszystkie choroby była dla niego zawsze praca i tym razem owa sprawdzona receptura także przyniesie spodziewany rezultat. A na serce, jak mawiał jego dziadek, najlepszy jest łyk koniaku z rana.

Pokrzepiony wspomnieniem dziadka, który do ostatnich chwil życia zachował witalność i energię, wziął głęboki wdech i wyprostował się.

W samą porę, pomyślał, gdy zobaczył postać, która pojawiła się właśnie na progu kawiarni „U Hanki”.

Teodor Rakowski usłużnie przepuścił w drzwiach towarzyszącego mu niskiego, przygarbionego mężczyznę, którego długi nos z różową naroślą i dziwnie przyszczyżone, intensywnie napomadowane wąsiki natychmiast wywołały skojarzenie ze szczurem. Gdy do tego zatarł zziębnięte drobne ręce paroma krótkimi, szybkimi ruchami, skojarzenie z nieprzyjemnym gryzoniem wprost uderzyło pana Antoniego.

Rakowski, z miejsca zauważywszy cukiernika, podszedł do niego i zaczął zaznajamiać ze sobą mężczyznę.

– Antoni Starczewski, najzdolniejszy cukiernik w tym mieście i właściciel tego królewskiego przybytku rozkoszy.

Drugą część zdania powiedział z emfazą, patrząc na Starczewskiego prowokacyjnie.

– Łopień. Marian Łopień – przedstawił się mężczyzna o szczurowatym wyglądzie.

– Bardzo mi miło pana poznać – grzecznie odparł pan Antoni, który odzyskał już panowanie nad sobą.

– Inspektor Łopień – dodał Rakowski, patrząc panu Antoniemu prosto w oczy, w których ten ostatni dostrzegł znajomy błysk, zwiastujący kłopoty. – Proszę nie być tak skromnym, panie Marianie.

Starczewski poczuł, że ucisk w klatce piersiowej się nasila.

– Inspektor Marian Łopień. Państwowy Zakład Higieny – powiedział na jednym wydechu towarzysz Rakowskiego, po czym prostując się, dodał dumnie: – Pion kontroli żywności i żywienia.

– Starczewski...

– Panie Antoni, proszę się nie martwić – wszedł mu w słowo Rakowski, przybierając swój charakterystyczny, poufały ton. – Inspektor Łopień jest tu dziś prywatnie. Przyszliśmy zjeść najlepszą stefankę w mieście.

Gdy wypowiedział te słowa, w nieświadomym rozgrywki, w której bierze udział, inspektorze odezwał się instynkt łowczy. Przygarbił się, pociągnął nosem i zaczął czujnie, choć dyskretnie, rozglądać się wokoło. Rakowski poklepał go po ramieniu i rzekł:

– Niczego pan tu nie znajdzie, inspektorze. Ten lokal jest prowadzony wzorowo.

– Zawsze coś się znajdzie – powiedział Łopień, któremu wyraźnie zmienił się ton głosu.

Pan Antoni przejrzał przebiegły plan Rakowskiego i z minuty na minutę czuł się coraz gorzej. Miał wrażenie, jakby powietrze w sali kawiarnianej niemiłosiernie zgęstniało.

Zrobiło mu się gorąco i marzył tylko o tym, aby wyjść na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza. Tym, co go tak rozstroiło nerwowo, nie była bynajmniej perspektywa niezapowiedzianej inspekcji. Wiedział, że w jego kawiarni panuje wzorowy porządek, bezgranicznie ufał gospodarskiej pedanterii panny Maryli. Zirytował go natomiast tupet Rakowskiego, który za wszelką cenę starał się uprzykrzyć mu życie. Inspekcja oznaczała konieczność przerwania pracy na zapleczu, rozkręcenia maszyn i spędzenia całego dnia na spełnianiu wszelkich życzeń przybyłego na wizytację inspektora. O wynik inspekcji się nie martwił, ale cały dzień bez obrotu w obecnej nie najlepszej sytuacji finansowej cukierni był już wystarczającym powodem do niepokoju.

Tymczasem Rakowski poprowadził wciąż rozglądającego się na boki inspektora Łopnia do stolika i zaczął mu coś opowiadać, ścisząc głos i pochylając się w stronę rozmówcy tak, by nie być słyszany przez postronnych. Pan Antoni postanowił, że nie da się sprowokować, i przywołał Eustachego, polecając mu, by wyjątkowo troskliwie zaopiekował się gościem siedzącym przy stoliku z Rakowskim. Eustachy skłonił się i chciał odejść, jednak pan Antoni zatrzymał go:

– A, i proszę im podać na czas oczekiwania czarną kawę ze śmietanką i po kawałku baby petynetowej z masłem i gruszką.

Zszokowany Eustachy uniósł brwi i otworzył usta, jakby chciał zaprotestować. Babka petynetowa, zwana także muślinową, podawana była tylko najważniejszym gościom. Był to szczególnie wypiek, przyrządzany z dwudziestu czterech

żółtek, ubijanych ręcznie przez minimum pół godziny. Choć do jego wykonania używano dużej ilości ciężkich składników, samo ciasto było leciuteńkie, puszyste, nie nazbyt słodkie i niezwykle wilgotne. Ową rozkosz dla podniebienia raz na dwa tygodnie przygotowywał osobiście pan Antoni. Następnie babka przechowywana była w specjalnym szwajcarskim pojemniku w spiżarni i podawano ją wyłącznie na wyraźne polecenie właściciela cukierni. Eustachy zdziwił się, że Starczewski chce tym cukierniczym cudem podjąć akurat Rakowskiego, lecz gdy pierwsza fala oburzenia minęła, zamknął usta i nie pytając o nic, czym prędzej pośpieszył wykonać polecenie.

Tymczasem pan Antoni przeszedł do sali bilardowej, która o tej porze dnia była pusta. Usiadł w jednym z ciemnych, lśniących foteli, mimo upływu lat wciąż intensywnie pachnących skórą, i spróbował zebrać myśli.

Spędził w tej cukierni niemal dwadzieścia lat, spory kawał życia swojego i innych. Na jego oczach dzieci dorastały, głowy dorosłych przyprószała siwizna, zmieniały się stroje i obyczaje, a w jego cukierni wszystko było jak dawniej.

Wielu spośród klientów „U Hanki” pan Antoni znał od dziecka. Najpierw przychodzili z rodzicami, ubrani w krótkie spodenki na szelkach i śmieszne, kolorowe czapki. Dorośli załatwiali słodkie sprawunki, a maluchy przyklejały nosy i niezbyt czyste łapki do szyby wystawowej, by podziwiać zgromadzone po drugiej stronie skarby. Niejeden sprawdzał, czy jeśli polize przezroczystą szklaną powierzchnię, uda mu się skosztować kremu albo lukru z pięknie przyozdobionych

ciast. Potem przychodzili już sami, zaopatrzeni w szczegółowe listy dotyczące ciastek i słodkości, których zakup powierzały im matki. Wreszcie gdy dorastali, przychodzili już bez rodziców i bez listy, za to z coraz to nowymi koleżankami. Pan Antoni z trudem utrzymywał powagę, gdy ten i ów znany mu od lat łasuch, przy każdej wizycie w cukierni wymuszający od rodziców największe desery, teraz jako gimnazjalista z lękiem spoglądał na panienkę wybierającą ciasteczka tacowe z większym zapałem i apetytem, niż przewidywał jego budżet, a dla siebie zamawiał jedynie herbatę. Cukiernik udawał oczywiście, że nie zna ani kawalera, ani jego rodziców, ale z dobroci serca dokładał do skromnego zamówienia babeczkę śmietankową lub rożek z konfiturą z róży, za co jedyną nagrodą było pełne zawstydzenia i oddania spojrzenie młodocianego absztyfikanta, uderzającego w konkury bez wiedzy rodziców, dysponującego jedynie skromnymi środkami zgromadzonymi w dziecięcej skarbonce. Na studiach zamiast z panienkami przychodzili z kolegami i przy czarnej kawie, nierzadko zamawianej na trzech, rozmawiali godzinami o polityce, wojnach, nowinkach technologicznych i wszystkim tym, czym żyły ich młode, chłonne umysły. Spotkania te niejednokrotnie zakłócały miły spokój panujący w eleganckiej kawiarni „U Hanki”, ale pan Antoni nie mógł się zdobyć na zakazanie ich owym dziwnie bliskim młodym ludziom, którzy jeszcze niedawno byli przecież tacy mali.

I wreszcie nadchodził dzień, w którym zjawiali się rodzice młodzieńca, żeby zamówić słodki chleb na przyjęcie weselne syna. Był to czekoladowy tort w kształcie okrągłego bochenka

chleba, polany lśniąca gorzką czekoladą i udekorowany rzeźbionymi w marcepanie figurkami solniczki i pieprzniczki, by młodej parze nie zabrakło żadnego ze smaków życia i miłości. Wewnątrz tej pierwszej znajdował się cukier puder, symbolizujący sól, w drugiej czekoladowe okruszki imitujące pieprz, wokół nich zaś biegł pięknie wykaligrafowany napis: „Szczęść Boże Młodej Parze”. Matki odbierały go zwykle osobiście i niejednokrotnie ocierając chusteczką łzę wzruszenia, pozwalały sobie na wspominki, które także pana Antoniego wprowadzały w dziwnie tęskny nastrój i skłaniały do rozważań nad upływającym czasem. Każdy taki pożegnalny – bo mężczyźni zwykle przeprowadzali się ze swoimi wybrankami w inne części miasta – tort pan Antoni przygotowywał osobiście, traktując wypiek jak zamknięcie kolejnego rozdziału w księdze dziejów cukierni.

To miejsce naznaczone było także obecnością Hanki i dowodem na jej istnienie. Uczciwą pracą, licznymi wyrzeczeniami i ogromnym wysiłkiem zyskał posiadaną obecnie renomę, którą starał się utrzymać mimo znacznego spadku sił, jakiego doświadczał w ostatnim czasie.

Przez moment zawahał się, czy aby nie nazbyt pochopnie postąpił, tak stanowczo odrzucając propozycję wejścia do spółki z Teodorem Rakowskim; ten ostatni złożył mu ją wkrótce po owej nieszczęsnej aferze ze Spółdzielczym Bankiem Przemysłu Cukierniczego. Wówczas był jednak pewien, że sobie poradzi. Niedługo potem zaczęły się jego kłopoty z sercem. Początkowo pocieszał się, że gdyby coś mu się stało, „U Hanki” będzie w dobrych rękach jego syna, ale im dłużej go

obserwował, tym większą miał pewność, że nie przyniosłoby to korzyści ani jemu, ani interesom. Praca w cukiernictwie była ciężka. Pan Antoni na własnej skórze odczuł wielokrotnie, jak dalekie od przyjemności było prowadzenie działalności, która wszystkim tak miło się kojarzy. Znowu naszły go niepokojące myśli o tym, że pewnego dnia będzie musiał rozstać się z tym ukochanym miejscem.

Głęboki żal ścisnął mu gardło, gdy zastanawiał się, czy aby nie powinien był przemyśleć odprzedaży przynajmniej części udziałów w cukierni „U Hanki”, zanim jego pogarszający się stan zdrowia doprowadzi i lokal do upadku.

Może powinienem, ale nie oddam naszej cukierni Rakowskiemu, pomyślał nagle, z gniewem przypominając sobie o trwającej właśnie wizycie tego ostatniego, w dodatku w towarzystwie inspektora Łopnia. Nie jemu! Zresztą nie mam jeszcze nawet pięćdziesięciu lat, jestem przecież wcale młody!

Gniew przyniósł mu ulgę. Pan Antoni niepodziewanie dla samego siebie wpadł w doskonały nastrój. Wkrótce po przygnębieniu nie pozostało ani śladu, a jego miejsce zajęło najszczęśliwsze rozbawienie. Z niewiadomych przyczyn zupełnie nieoczekiwanie przypomniawszy mu się bowiem powtarzana z ust do ust anegdota o pani Stanisławek, warszawskiej mistrzyni symulacji ulicznej. Kobieta ta miała oryginalny zwyczaj układania się na chodnikach w najbardziej ekskluzywnych częściach miasta, udając zemdloną. Gdy któryś z wytwornych mieszkańców, przejęty jej losem, postanawiał się nią zaopiekować, lekko uchylając powieki, przyjmowała zaproszenie do jego posiadłości. Czasem jednak

tak dalece dobrze udawała atak epilepsji czy duszności, iż rzeczony arystokrata wzywał doktora, który natychmiast demaskował oszustwo. Raz nawet „wyłożyła się” finezyjnie wprost na asfalcie na środku Mazowieckiej, nieopodal Małej Ziemiańskiej, blokując ruch w obu kierunkach. Fantazja tej pani i kilku innych, którzy w podobny sposób ubarwiali sobie życie bądź wyłudzały pieniądze od litościwych przechodniów, rozproszyła troski pana Antoniego.

Jeśli nie będę mógł pracować w zawodzie, pozostanie mi pójście w ślady pani Stanisławek, pomyślał wesoło.

Serdecznie ubawiony i pokrzepiony wizją samego siebie symulującego atak epilepsji na środku Krakowskiego Przedmieścia, wśród tłumów warszawiaków kiwających z politowaniem głowami i powtarzających, że „nie ma cukiernika, żeby na starość nie miał bzika”, postanowił przestać zamartwiać się na zapas i zamiast tego po południu poprosić Wiesię, by zakupiła mu jakieś ziółka na wzmocnienie. Tymczasem zaś ze wszystkich sił zapragnął zająć się pracą.

Rozdział 4

Znajdująca się u zbiegu ulic Lwowskiej i Noakowskiego kamienica Rubinlichta, w której mieszkali Rakowscy, swym wczesnomodernistycznym wystrojem idealnie pasowała do otaczających ją dostojnych budynków Politechniki Warszawskiej. Rakowski, choć nie był zbyt sentymentalny, a jego usposobienie dalekie było od poetyckich wzruszeń czy wyczulenia na piękno przyrody, lubił zieleni. Stare, potężne drzewa, rosnące dumnie na podwórzu, pozostałość mieszczącego się w tej okolicy jeszcze w ubiegłym stuleciu folwarku Koszyki, sprawiały, że dobrze się tu czuł.

Teodor Rakowski celowo wystarał się o mieszkanie w budynku naprzeciwko Gmachu Głównego Politechniki Warszawskiej, by nawiązać kolejne przydatne i prestiżowe koneksje; dostojny drzewostan był jedynie wisienką na torcie. W kamienicy przy Noakowskiego 4 mieszkali wysocy rangą wojskowi, znani lekarze i wybitni inżynierowie, słowem sama śmietanka towarzyska kolejnego szczebla drabiny społecznej, po której piał się wytrwale od lat.

Popatrzył z zadowoleniem na bogato, acz nowocześnie ozdobioną elewację kamienicy. W łukowatych oknach jego mieszkania paliło się światło. Skierował się w stronę wejścia, gdy nagle jego wzrok przyciągnęła gromadka małych chłopców.

– Boicie się czarnego męża? – zapytał malec w szkolnej czapce, stojący przed ustawionymi w szeregu kolegami.

– Nie! – odkrzyknęli mu pozostali.

– Co gryzie?

– Kości!

– Co pije?

– Pomyje!

– Boicie się czarnego męża? – padło kolejne pytanie, ale tym razem odpowiedź poprzedził pełen nerwowego napięcia chichot, którego kilku chłopców nie zdołało powstrzymać.

– Nie! – odkrzyknęli pozostali i cała grupa rozbiegła się na wszystkie strony.

Rakowski zaśmiał się głośno. Nie mógł uwierzyć, że inteligenckie dzieci grają w ulubioną zabawę jego dzieciństwa, choć u niego na Lesznie, w dzielnicy biedoty, zaczynała się ona słowami: „Kto się boi czarnego luda?”.

Kto mógł wówczas przypuszczać, że podwórzowy mistrz gry w czarnego luda, z braku jedzenia raz po raz zapadający na blednicę, zajdzie tak daleko, pomyślał z wyraźną przyjemnością. A to nie koniec, o nie, nie.

Życzliwie usposobiony, ruszył w stronę wejścia. Dozorca otworzył przed nim drzwi, wykonując jednocześnie głęboki ukłon.

– Jak zdrowie szanownego pana? – zapytał, prostując się.

– Wyśmienicie – powiedział pobłażliwym tonem Rakowski i wsunął w dłoń portiera banknot. Jednym z sekretów sukcesu życiowego Rakowskiego była umiejętność zjednywania sobie służby, tak by nie spoufalając się zbyt, móc od czasu do czasu uzyskać od niej jakieś przydatne informacje.

– Moje uszanowanie – rzucił obdarowany i ponownie się uklonił.

Rakowski uśmiechnął się zadowolony. Lubił, gdy mu się kłaniano. Od zawsze wiedział, że do tego właśnie jest stworzony.

Dozorca specjalnym kluczem, którego nigdy nie pozwalał nikomu dotknąć, uruchomił windę i Rakowski wjechał na trzecie piętro, gdzie mieściło się jego mieszkanie. Podobało mu się połączenie tradycyjnego wyglądu kamienicy z dyskretnymi akcentami nowoczesności. Uwielbiał powiew luksusu, jakim była chociażby winda, spełnienie jego dziecięcych marzeń.

Wiele lat temu, nosząc po schodach ciężkie wiadra wody dla matki, mógł tylko pomarzyć o metalowych kabinach wożących ludzi wewnątrz kamienic, by nie musieli się zbytnio męczyć. Zawsze pragnął takiego wygodnego życia, a że był człowiekiem czynu, od małego rozmyślał, co by tu zrobić, żeby owo marzenie się ziściło. Czasami dorabiał, czyszcząc konie dorożkarzy. Ten i ów zapraszał przyjemnego w obyciu chłopaka, by dotrzymał mu towarzystwa. Rakowski udawał się więc z nimi na przejażdżki i siedząc na koźle obok woźnicy, przyglądał się bogatym warszawiakom, po których zajeżdżali pod operę czy teatr. Ręce i nogi mu marzły, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności patrzenia na tych ludzi z innego, lepszego świata, przebywania choć przez chwilę w ich towarzystwie. Wdychał subtelny zapach perfum, słuchał cichutkiego śmiechu pań z wyższych sfer i tubalnych męskich głosów rozprawiających o polityce i gospodarce, tematach tajemniczych, niezrozumiałych, lecz będących kluczem do ich

rzeczywistości. Starał się zapamiętywać słowa, którymi porozumiewali się między sobą, gdy przykładali do oczu pięknie zdobione lorgnony, idealnie współgrające z ich wypomadowanymi wąsami. Później w domu, przed zaśnieżonym lustrem we wspólnej łazience na półpiętrze, naśladował ich sposób wypowiedzi i ćwiczył wielkopańskie miny. Owe nieczęste przejażdżki były najszcześniejszymi momentami jego dzieciństwa, pełnego biedy, głodu i przemocy. Rozcierając zgrabią ręce, obiecywał sobie, że pewnego dnia i on stanie się częścią tego zaczarowanego świata, w którym na śniadanie jada się coś więcej niż ziemniaki, chodzi się do teatru, nosi piękne stroje i spogląda na wszystko wokół przez elegancki lorgnon, który kojarzył mu się z magiczną różdżką odmieńającą rzeczywistość.

Od lorgnonu wszystko się zaczęło. Wprawdzie nim dorósł, przestały one być w modzie, ustąpiły pola praktyczniejszym binoklom, a w późniejszym czasie także okularom, ale dla Teodora Rakowskiego słoneczne, wiosenne przedpołudnie na Kercelaku, kiedy udało mu się zakupić ów przyrząd, było początkiem drogi spełniania marzeń. Tamten lorgnon był wprawdzie metalowy i miał uszkodzoną rączkę, przez co nie składał się tak łatwo i zgrabnie jak te należące do kawalerów z dziecięcych wspomnień, ale dla młodego Rakowskiego był nadzieją na ziszczenie się wszystkich jego snów o potędze, władzy i pieniądzu. Do dziś przechowywał ten zdezelowany lorgnon w szafie, by od czasu do czasu przypominać sobie, jak dzięki własnej pomysłowości i sile charakteru z nikogo stał się kimś ważnym; liczącym się w stolicy przedsiębiorcą, który

mieszka w kamienicy z windą i centralnym ogrzewaniem, mając za sąsiada ministra.

Wszedł do domu i oddawszy służącemu futro, podążył do salonu.

Emilia siedziała na kanapie we wdzięcznej pozie i przeglądała zagraniczne czasopismo. Rakowski miał świadomość, że nie rozumie ani słowa, ale starała się, by służba zawsze widywała ją z obcojęzycznymi lekturami. W Warszawie wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Rakowscy doskonale zdawali sobie sprawę, jak wielką rolę w tym ogólnym przepływie informacji odgrywa służba, która poza obmawianiem rodzin, u których pracuje, nie miała zbyt wielu rozrywek. Należało nieustannie zabiegać o to, by plotki dostarczane miastu przez gospodynię, kucharkę i lokaja stawały ich w jak najkorzystniejszym świetle. Rakowski już dawno pojął znaczenie opinii społecznej i wykorzystywał ją do osiągnięcia swoich celów.

Na widok męża Emilia zamknęła gazetę i uśmiechnęła się. Nie był to przyjemny uśmiech. W przeciwieństwie do Rakowskiego, który mimo braku urody robił na wszystkich doskonałe wrażenie, Emilia budziła dystans, paradoksalnie dający jej przewagę nad innymi. Większość ludzi bała się jej, choć nie potrafiła uzasadnić dlaczego. Nie można było jej odmówić urody, ale każdy, kto się z nią zetknął, przeczuwał, że pod tymi idealnie arystokratycznymi, posągowo regularnymi rysami, bladą cerą, elegancko i zawsze modnie upiętą fryzurą oraz nienagannymi manierami kryje się natura złośliwa, zacięta i nieprzewidywalna. W istocie jednak Emilia

była zbyt krnąbrna i znudzona, żeby komukolwiek zaszkodzić. Niewiele obchodziły ją sprawy własnej rodziny, innymi nie zajmowała się wcale. Była rzadko spotykanym okazem człowieka pozbawionego jakichkolwiek ambicji, pasji, marzeń, zainteresowań. Mimo ogólnego rozleniwienia starała się jednak zaspokajać wszystkie zachcianki męża, dbając, by był dobrze usposobiony. Gdy tak się działo, nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi, pozostawiając wolną rękę nie tylko w kwestii doboru zajęć, ale i wydatków, co wystarczało Emilii do szczęścia. Wzajemne stosunki małżonków przypominały dobrze prosperujący interes, w którym wszyscy, o dziwo, byli bardzo zadowoleni.

– Michał w domu? – zapytał, podchodząc do małżonki i całując podaną mu dłoń.

– Nie wrócił jeszcze z treningu. Dziś czwartek. Zadysponować kolację?

– Nie, nie, poczekamy na Michała.

Emilia spojrzała na męża zdziwiona. Zwykle od progu domagał się smacznego posiłku, zakrapianego obficie doskonale dobranymi trunkami, niezależnie od tego, czy domownicy wrócili już od swych zajęć, czy nie. Gdy pan domu wracał, kolacja miała być podana natychmiast.

– Coś się stało? – spytała zaniepokojona.

– Skądże znowu! – odparł wesoło. – Dziś jest znakomity dzień.

Uśmiechnął się, czym wzbudził jeszcze większe obawy żony. Emilia podeszła do eleganckiego barku i nalała mężowi kieliszek koniaku. Rakowski z miną człowieka wielce

zadowolonego z siebie usiadł na fotelu i zaczął z lubością przyglądać się miedzianemu trunkowi spływającemu po ścianie kieliszka. W salonie zapadła cisza. Pan domu delectował się swoim planem, a Emilia analizowała wszystkie możliwe przyczyny aż takiego zadowolenia małżonka.

W niecałą godzinę później wpadł do domu lekko spocony i zdyszany Michał.

– Najmocniej przepraszam, matuś – zaczął od progu, podchodząc do matki i całując ją serdecznie w policzek.

Rakowski przyglądał się synowi z miną kupca, który ogląda świeżo nabytego konia szlacheckiej krwi. Michał odziedziczył po matce subtelną urodę, pozbawioną jednak owego psującego efekt rysu znudzenia. Twarz chłopaka promieniała zdrowiem, wigorem i radością życia. Był wysoki i muskularnie zbudowany, ale nie na tyle, by miało to ująć jego figurze powabu. Jasne włosy, lekko pogniecione od wilgoci i kapelusza, układały się w nieregularne fale, a zza okularów wзираło spojrzenie żywe i inteligentne. Modne, okrągłe oprawki zdaniem wielu przydawały chłopcom męskości, jednak Michała znacznie odmładzały, nadając jego twarzy jeszcze bardziej niewinny i dziecięcy wyraz. Rakowski aż cmoknął z zadowolenia.

– Papa w domu? – spytał Michał, dopiero dostrzegając obecność rodzica.

– Witaj, witaj, czekaliśmy na ciebie z kolacją – przywitał syna Rakowski.

Michał posłał matce zdziwione spojrzenie, ale w jej oczach wyczytał, iż nie zna ona przyczyny nietypowego zachowania

małżonka.

Kolacja mijiała w przyjaznej atmosferze. Teodor Rakowski, gdy zechciał, potrafił być wymarzonym kompanem. Wychwalał nadzwyczajny wybór potraw dokonany przez żonę, z niespotykaną uwagą wysłuchał relacji syna ze zmagania wioślarskich, po czym zaczął opowiadać o swoim dniu. Emilia i Michał kilkakrotnie wymieniali między sobą spojrzenia, w napięciu oczekując chwili, w której Teodor ujawni przyczynę tak prześwietnego nastroju.

Wreszcie przy deserze Rakowski podniósł do góry kieliszek z alaszem. Nie był to trunek zbyt wykwintny, więc raczył się jego kminkowym aromatem wyłącznie podczas rodzinnych kolacji, w zaciszu domowym, przed służbą udając, że spożywa go jedynie w celu wzmocnienia słabego żołądka.

– Kochani, mam dla was pierwszorzędne wieści! – rzekł.

Emilia, w wyuczonym przez lata odruchu, słysząc zwycięskie nutki w głosie męża, natychmiast uśmiechnęła się dumnie. Był to wyraz twarzy, przybierany przez nią, ilekroć Rakowski publicznie obwieszczał któryś ze swoich sukcesów.

– Cukiernia „U Hanki” wkrótce będzie nasza! – oznajmił, delektując się dźwiękiem wypowiedzianych słów.

Emilia przyklasnęła, bardziej w odruchu niż z radości.

– Starczewski ustąpił? – zapytał Michał, chcąc podtrzymać dobry nastrój ojca, dając mu szansę do opowiedzenia historii kolejnego triumfu.

– Nie o Starczewskiego tu chodzi – rzekł Rakowski, mlasnął i pociągnął łyk likieru, po czym dodał z szelmowskim uśmiechem: – Jego zgoda nie będzie nam potrzebna.

Michał zerknął z zaciekawiony, lecz nim zdążył zadać kolejne pytanie, ojciec dorzucił:

– Wystarczy, że zgodzi się jego córka.

Emilia głośno wciągnęła powietrze, gdyż przez lata wspólnego pożycia nauczyła się bezbłędnie rozszyfrowywać przebiegłe plany męża.

– Córka? – dopytywał Michał.

Rakowski pokiwał głową, przybierając jeszcze bardziej rozanielony wyraz twarzy.

– Ale co jego córka ma wspólnego z przejęciem przez papę interesu jej ojca? – Michał zaczął odczuwać zniecierpliwienie i pewien dyskomfort, wynikający ze świadomości, że jest jedyną osobą przy stole, która nie rozumie, o czym mowa.

– Jak ci się podoba Apolonia Starczewska? – zagadnął ojciec, nagle zmieniając temat.

– Wcale mi się nie podoba – odparł Michał, wciąż niczego nie pojmując. – Wątpię, czy komukolwiek może przypaść do gustu kobieta tak wielka i niezgrabna, o nieprzyjemnych rysach twarzy. Zresztą, co ja tam o niej wiem. Widziałem ją ledwie kilka razy. Zdradzi nam papa swój sekretny plan?

– Zdradzę, zdradzę – odrzekł Rakowski, wycierając usta serwetką. – Otóż plan jest następujący: ty ożenisz się z córką Starczewskiego, a ja przejmę jego interes.

Michał dłuższą chwilę milczał, wpatrując się w ojca szeroko otwartymi oczami. Próbował dociec, czy ten aby sobie z niego nie kpi. Jednak na jego twarzy zobaczył wyraz satysfakcji i ukontentowania z własnej inwencji, które nie pozostawiały

choćby cienia wątpliwości. Rodzic rzeczywiście chciał go ożenić z tamtą dziewczyną, by przejąć cukiernię.

– Ale Starczewski ma także syna... – zaczął Michał, desperacko próbując znaleźć rozwiązanie niewątpliwie kłopotliwego położenia, w jakim się znalazł.

Rakowski machnął ręką, jakby odganiał natrętnego owada.

– Syn nie odziedziczy „U Hanki”. Wywiedziałem się, że młody Starczewski to utalentowany cukiernik, ale brak mu smykałki do interesów. Co bardziej przedsiębiorczy sprzedawcy uwielbiają, gdy odbiera dostawy towarów, bo nigdy nie sprawdza, czy stan faktyczny jest zgodny z zamówieniem – tu Rakowski aż zachichotał, nie mogąc dłużej tłumić przepełniającej go radości, potęgowanej jeszcze działaniem czterdziestoprocentowego trunku. – Zresztą jest zbyt zajęty młodą żoną i ma kontrakt z Wedlem, podpisany na najbliższe dwa lata.

– Przecież nie ożenię się z nią w dwa lata!

– Ożenisz, kochanieńki, ożenisz. Najlepiej już na wiosnę!

Michał milczał przez chwilę, wbijając spojrzenie w talerz.

– A co potem?

– Potem ty będziesz miał żonę, a ja cukiernię – wykrzyknął Rakowski, czknął i nalał sobie jeszcze trochę alasz.

– Papo, a potem? – nie ustępował Michał.

– A po roku, nie dłużej, przepiszemy cukiernię na ciebie i się z nią rozwiedziesz. Z twoją urodą, przyjemnym usposobieniem i dużym majątkiem status rozwodnika nie będzie żadną życiową przeszkodą. Znajdziemy ci wówczas pannę jak

marzenie, z któregoś z wyśmienitych warszawskich rodów, godną miana mojej synowej.

– A... co będzie ze Starczewską? – zapytał Michał, tknięty nagłymi wyrzutami sumienia.

– A co mnie obchodzi ta dziewczucha! – fuknął Rakowski, okazując, że nie ma ochoty zastanawiać się nad reputacją córki pana Antoniego. – Najwyżej pójdzie do klasztoru!

Klasnął w dłonie i oblizał grube wargi.

– Do zakonu! – zaśmiał się znowu. – Dziwię się, że z taką twarzą nikt jeszcze jej tam nie zamknął!

Michał jęknął i szukał ratunku u matki, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Oboje wiedzieli, że gdy Teodor Rakowski coś postanowi, nie ma odwrotu. Próba przedłożenia ojcu bezzasadności owego pomysłu z pewnością skończyłaby się niepowodzeniem. Michał westchnął ciężko. Z natury był człowiekiem łagodnym, nie sprzeciwiał się ojcu, słusznie mniemając, że jego sprzeciw w jakiegokolwiek sprawie i tak niczego by nie zmienił. Domyślał się wprawdzie, że wiele interesów rodzica prowadzonych jest na granicy prawa, ale ponieważ nie miał pewności, starał się go nie oceniać. Podziwiał ojca za to, jak daleko zaszedł w tym mieście, w którym każdy od kolebki miał wyznaczony los, bo pochodzenie społeczne naznaczało niezmywalnym piętnem. Teodorowi Rakowskiemu udało się złamać te ograniczenia i bez względu na to, jakimi metodami tego dokonał, zrobił coś wielkiego. Michał wiedział, że sam może ot, choćby przynależeć do elitarnego Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego, tylko dlatego, że jego ojciec uelastycznia

czasem swoje sumienie. Zamiast się rozgniewać, z właściwą sobie pogodą ducha zaczął zastanawiać się nad jasnymi stronami całej tej niedorzecznej miłosnej awantury, w którą został wplątany przez więzy krwi i chciwość rodzica. Był pewien, że ojciec nie posunie się aż do zmuszenia go do tego ślubu, z pewnością opamięta się, nim dojdzie choćby do zaręczyn. Papa szybko zapalał się do różnych pomysłów, więc zapewne w międzyczasie na jego drodze pojawi się kolejne przedsięwzięcie, które pochłonie bez reszty jego uwagę i pozwoli zapomnieć o nieszczęsnej cukierni Antoniego Starczewskiego. Do tego jednak czasu Michał zdecydował się potraktować całą historię jako pyszny żart.

– Zgoda – powiedział nagle. – Wyślemy Starczewskiemu córkę do zakonu.

Rakowski huknął śmiechem.

– Zuch chłopak! Wyślemy, ale najpierw ślubny kobierzec i kontrakcik małżeński.

Michał tylko przytaknął, uśmiechając się niemrawo. Widział, że ojciec zbyt dużo wypił tego wieczoru i za chwilę zaśnie.

– Tylko się w niej nie zakochaj! – dorzucił żartobliwie Rakowski, podpierając głowę na stole i mrużąc ociężałe od senności oczy.

– Bez obaw, ojczy – wykrztusił Michał, którego nagle wizja zakochania się w Apolonii Starczewskiej bardzo rozbawiła. – Możesz spać spokojnie.

Rozdział 5

Ucieczka z Warszawy po tragicznej śmierci ukochanej Marii na niewiele się zdała. Jan nie był sobą, z trudem przychodziły mu próby odnalezienia choćby namiastek znanego mu siebie. Nie wiedział, kim jest, nie odczuwał też żadnej potrzeby dowiedzenia się tego. Jednego był pewien – Maria umarła przez niego, zabierając ze sobą jego syna lub córkę. Ta świadomość wystarczyła, by życie przestało go interesować. Czuł, że zasługuje na karę, i starał się ją sobie wymierzyć, lecz żadna nie była wystarczająco dotkliwa. Niewiele jadł, zresztą jedzenie nie sprawiało mu obecnie żadnej przyjemności. Niemal co noc zaraz po zaśnięciu nawiedzał go ten sam sen, w którym widział Marię z maleństwem w ramionach. Gdy zbliżał się do nich i chciał odwinąć kocyk, by spojrzeć na twarz swojego dziecka, budził się, choć z całych sił pragnął pozostać w tym śnie na zawsze. Resztę nocy spędzał, wpatrując się w tańczące na suficie smugi światła, rzucane przez przejeżdżające pod oknami samochody. Zwykle nad ranem ogarniała go senność i zasypiał, gdy nowy dzień się budził. Nie był to jednak ów rodzaj snu dający wytchnienie ciału i zapomnienie duszy, a półsen, w którym rzeczywistość mieszała się z dręczącymi wizjami.

Początkowo nikt nie wymagał od niego, by wstawał rano i myślał o czymkolwiek. Kancelaria, którą zarejestrowali w kilka dni po przyjeździe do Monachium pod dumną nazwą „Stein i Zasławski porady prawne”, nie miała zbyt wielu

klientów. Mieszkający w mieście Polacy z dużą nieufnością podchodzili do nowo przybyłych młodych adeptów prawa, z których żaden nie był jeszcze w pełni samodzielnym adwokatem, zwłaszcza gdy jeden z nich okazał się żydem. Odwiedzali ich zatem jedynie robotnicy, którym wszystkie poważane, obsługujące klientów po polsku kancelarie w mieście odmówiły pomocy. Z rzadka zachodziły do nich też zubożałe wdowy lub samotne matki, szwaczki, pomywaczki i kucharki, z pismami z niemieckich urzędów, z których nic nie rozumiały. Berkowi udawało się wówczas jakoś pracować za siebie i za przyjaciela. Dochody były skromne, ale oni nie potrzebowali pieniędzy. Berek dysponował sporym majątkiem własnym i chętnie dzielił się nim z Janem, chcąc dać mu czas na dojście do siebie po tragicznych wypadkach, które odcisnęły na nim tak straszne piętno. Liczył, że nowe zajęcie z czasem go wciągnie, zajmie czymś głowę, odwróci uwagę od dręczących wspomnień, pozwoli stanąć na nogi i odnaleźć sens życia. Jednak czas mijał, a Jan nadal pozostawał równie otepiały, jak w dniu wyjazdu z Warszawy.

Wkrótce rozliczne koneksje mecenas Steina zapewniły im petentów spośród grona zamożnych obywateli niemieckiego wyznania mojżeszowego. Z czasem, kiedy świadczona przez ich kancelarię pomoc prawna okazała się skuteczna, a chłodna rzetelność i doskonała znajomość niemieckiego zjednały Berkowi życzliwość wielu urzędników, zaczęto mawiać, że nie ma takiej sprawy, której młody Stein by nie załatwił. Zarobki przyjaciół także znacząco wzrosły. Co za tym idzie, mieli coraz więcej pracy, której terminowe wykonanie

następowało Berkowi coraz większych trudności. Dość długo starał się mimo wszystko nie oczekiwać od Jana pomocy, lecz w pewnej chwili i on nie mógł dłużej wytrzymać bezwolności przyjaciela i jego obojętności wobec wspólnego interesu. Czuł, że dawna nić porozumienia między nimi naciąga się coraz bardziej, że zmiernają w różnych kierunkach. Każdego dnia wyraźniej widział, iż nie zdoła pomóc Zasławskiemu, jeśli on sam tego nie zapragnie. Robienie wszystkiego za Jana, maskowanie jego niedociągnięć i zaniedbań, pozostawianie bezkarnym niedbalstwa w codziennych obowiązkach, tylko pogłębiało jego bierność i jeszcze bardziej oddalało od teraźniejszości.

Berek wielokrotnie rozmawiał z Janem, próbując zmobilizować go do pomocy, roztaczając przed nim wizję czekającej ich świetlanej przyszłości, jeśli tylko obaj zaczną rzetelnie i konsekwentnie dążyć do jej zbudowania. Jan jednak pozostawał obojętny i rzadko kiedy wykonywał przydzielone mu na siłę zadanie w terminie. Dodatkowo obiecującym perspektywom rozwoju ich interesu oprócz postawy Jana zaczęła zagrażać także polityka władz niemieckich.

Po tym, jak po zwycięskich dla NSDAP wyborach, jeszcze przed ich przyjazdem do Monachium, odbyła się wielka akcja bojkotowania sklepów żydowskich, banków, gabinetów lekarskich, kancelarii prawnych, a także wszystkich małych i średnich zakładów produkcyjnych oraz usługowych, w Niemczech zastali już ogólnie panującą atmosferę spokoju i nadziei na to, że uda się utrzymać istniejący porządek rzeczy.

Minione wydarzenia, na których wielu żydowskich przedsiębiorców straciło sporo majątku, zaczęto powoli traktować jako chwilowy polityczny wybieg kanclerza Hitlera, który musiał odwrócić od siebie niechęć narodu, spowodowaną niepoprawiającą się wciąż kondycją gospodarki kraju, pokłosem załamania się światowych rynków. Do roli winnych zaistniałej sytuacji wybrano żydów. Straszono nimi dzieci, opowiadano bajki o międzynarodowym spisku starozakonnych bankierów, przemysłowców i polityków, który doprowadził do upadku świata wartości i ogólnej demoralizacji narodów. Zdawało się jednak, że ludność niemiecka, przynajmniej tu w Monachium, traktowała te propagandowe rewelacje ze stosownym dystansem. Wkrótce wszystko wróciło do normy i choć gazety partyjne wciąż od czasu do czasu czekały przeciwko Niemcom wyznania mojżeszowego, nikt się tym specjalnie nie przejmował. Ludzie jak gdyby nigdy nic prowadzili dalej wspólne interesy.

Teraz jednak żydowska propaganda zwolenników Hitlera znów przybierała na sile, zataczając coraz szersze kręgi. Od maja zakazano żydom pełnej krwi pracowania w niemieckich firmach państwowych czy pełnienia służby wojskowej. Na wielu restauracjach, kawiarniach, teatrach czy kinach wisiały tabliczki zabraniające wstępu żydom. Nastroje w kraju z dnia na dzień się pogarszały, a codzienność stawała się coraz trudniejsza.

Berek, w przeciwieństwie do Jana, zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Niektórzy spośród urzędników, z którymi utrzymywał niemal przyjacielskie stosunki, nadal rzetelnie

rozpatrywali sprawy, z którymi się do nich zwracał. Wielu jednak, zwłaszcza tych, którzy deklarowali swoją sympatię wobec NSDAP i stawiali na biurkach obok zdjęcia żony podobiznę kanclerza Hitlera, z dnia na dzień zaczęło wydawać decyzję odmowną, nie przeczytawszy nawet treści pisma, które składał. Berek powoli zaczynał rozważać możliwość zamknięcia kancelarii i powrotu do Warszawy, choć sam nie był pewien, czy większy wpływ na jego decyzję ma polityka Hitlera, czy apatia Jana, z której nie udało mu się go wyrwać.

Pewnego wrześniowego ranka przy śniadaniu postanowił rozmówić się z przyjacielem.

– Janek, tak dłużej nie można – zaczął, marszcząc brwi, jakby zastanawiał się, co powinien dalej powiedzieć.

Zasławski spojrzał na przyjaciela bez zainteresowania.

– Ten wyjazd był pomyłką. Myślałem, że gdy oderwiesz się od przeszłości, będzie ci łatwiej, ale nie udało się – kontynuował Berek.

Jan w milczeniu pociągnął łyk kawy z filiżanki. Od dłuższego czasu ignorował zarówno krzepiące, jak i przyganiające przemowy Berka, więc i tym razem, słysząc w jego głosie znajome nutki, wyłączył uwagę. Młody Stein natychmiast to dostrzegł. Zirykowało go takie traktowanie.

– W następną sobotę jadę do Warszawy – wypalił, rozkładając na kolanach serwetkę i zdecydowanym ruchem sięgając po pieczywo.

Jan podniósł głowę, ale nic nie powiedział. Dłuższą chwilę słychać było jedynie pobrzękiwanie sztućców o zastawę.

– Przed Rosz ha-Szana nie zdążę domknąć bieżących spraw na tyle, by móc je zostawić w twoich rękach, ale pojedę do domu na Sukkot – Berek zawiesił głos, oczekując jakiegokolwiek reakcji ze strony przyjaciela, ale zderzył się z murem doskonałej obojętności. – Rozumiem, że zajmiesz się wszystkim podczas mojej nieobecności?

Nie dane mu było jednak usłyszeć odpowiedzi, bo w tej samej chwili do salonu wpadł Leon Żabiński. Był to rudowłosy, niewysoki, ale wybitnie barczysty chłopak, z wyglądu bardziej pasujący na potomka kamieniarza niż na naukowca, bratanka dyrektora warszawskiego zoo.

Państwo Żabińscy, chcąc zapewnić swoim dzieciom najlepsze wykształcenie, wysłali Leona oraz jego młodszego rodzeństwo, Henryka i Zuzannę, do szkół do Warszawy. Początkowo wszyscy troje mieli zamieszkać na stacji u znajomej matki, ale ich stryj Jan, niezwykle utalentowany zoolog, któremu mimo młodego wieku powierzono funkcję dyrektora warszawskiego ogrodu zoologicznego, z właściwą sobie serdecznością zaproponował, by cała trójka zamieszkała wraz z nim, jego małżonką Antoniną i synem Ryszardem w domu na terenie ogrodu, zwanym przez przyjaciół Willą pod Zwariowaną Gwiazdą. Propozycja została entuzjastycznie przyjęta zarówno przez matkę dzieci, jak i samych zainteresowanych.

Matka, która po cichutku, wstydząc się do tego przyznać, modliła się, by jej szwagier wystosował taką propozycję, wraz z nadejściem końca wakacji zaczęła już tracić wiarę w to, że takowa kiedykolwiek nadejdzie. Co noc prześladowały ją

apokaliptyczne wizje wszystkich tragedii, które mogą przytrafić się jej dzieciom pozostawionym samym sobie w obcym mieście. Jednak pewnego słonecznego poranka, kiedy już wyzbyła się wszelkiej nadziei, jej mąż przyniósł list od brata, w którym ów deklarował gotowość do zaopiekowania się młodzieżą. Pani Żabińska odetchnęła z ulgą na myśl o tym, że jej pisklęta będą bezpieczne, choć ich przyszłych gospodarzy miała za ekscentryków. Nie rozumiała miłości swojego szwagra i jego małżonki do zwierząt, zwłaszcza tych dzikich i groźnych, ani ich nietypowych zwyczajów, spośród których ów dotyczący trzymania w domu małych mieszkańców ogrodu zoologicznego, tymczasowo niemogących przebywać na wybiegu lub w klatkach, wydawał jej się szczególnie osobliwy. Od pamiętnej wizyty w domu Jana, podczas której o poranku znalazła w swoim łóżku nornicę, za każdym razem, gdy bawili w Warszawie, żądała od męża, by nocowali w hotelu. Była jednak pewna, że zaopiekują się jej potomstwem jak własnym.

Dla dzieci wychowanych na wsi przeprowadzka do wielkiego miasta była zarówno przerażającą, jak i ekscytującą perspektywą. Możliwość zamieszkania na terenie ogrodu zoologicznego, wśród egzotycznych zwierząt, złagodziła nieco ból rozstania z rodzicami i ukochanymi pejzażami mazowieckiej wsi, gdzie spędzili beztroskie dzieciństwo. Dodatkowe ułatwienie stanowił fakt, iż cała trójka najmłodszych Żabińskich wprost przepadała za stryjostwem. Stryj Jan, który przed wojną trenował lekkoatletykę i pobił wiele rekordów w sprincie, był ulubieńcem Henryka i Leona. Ciotka pisarka była zaś bratnią duszą ich siostry – Zuzanny.

Porozumiewały się bez słów, z podobną wrażliwością odbierając świat zewnętrzny, zarówno jego urodę i radości, jak i cienie zmartwień oraz cierpienia. A ponad wszystko obie kochały żyrafy. Żyrafiarnia była ich miejscem zwierzeń, rozmyślań i odpoczynku. Stryj Jan czasami przekomarzał się z żoną, dopytując z miną szelmy, czy aby nadal kocha go bardziej od długoszyich, zrodzonych na odległym afrykańskim stepie podopiecznych.

Pojawienie się w Willi pod Zwariowaną Gwiazdą trójki młodych ludzi rozweseliło ten i tak przyjazny dom i dodało mu uroku, tak że wszyscy byli z tej sytuacji niezmiernie zadowoleni. Cały rok uczyli się pod czujnym okiem stryjostwa, dzieląc codzienność pomiędzy szkołę a wizyty w hipopotamiarni, małpiarni, słoniarni, przy wybiegach dla białych niedźwiedzi czy basenie dla fok, wakacje zaś spędzali w domu rodzinnym, wśród mazowieckich łąk, pól i brzoźowych lasów.

Wszyscy troje zarażeni zostali przez swoich gospodarzy miłością do zwierząt i fascynacją przyrodą. Zwłaszcza Leon, wpatrzony w stryja jak w święty obraz, uczył się pilnie przedmiotów przyrodniczych, chcąc dorównać mu wiedzą i umiejętnościami. Szybko okazało się, że chłopak przejawia szczególne talenty chemiczne i pan Jan zorganizował mu dodatkowe domowe lekcje, których udzielali chłopcu tutorzy spośród grona wybitnych warszawskich chemików. Wkrótce Leon ukończył z wyróżnieniem Wydział Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego i profesorowie uznali, że niepodobna zmarnować takiego talentu.

Zasugerowali, że powinien udać się na dalsze studia do Niemiec, najlepiej na monachijski Uniwersytet Techniczny.

Stryj Jan długo musiał przekonywać do tego pomysłu matkę Leona, która twierdziła, że jej najstarszy syn nie jest gotowy na samodzielne życie, i to w miejscu tak oddalonym od rodzinnego czy choćby stryjowskiego domu. Jan Żabiński jednak cierpliwie i wytrwale tłumaczył nadopiekuńczej rodzicielce, jak wielką szansą dla Leona byłby taki wyjazd. Szaleńczo przeważył głos ojca, który bez zająknięcia zgodził się na wyprawienie syna.

– Poduczy się niemieckiego, zobaczy trochę świata, a przy okazji zazna życia bez matczynej kontroli – powiedział lekko żartobliwym tonem, mrugając do Leona porozumiewawczo.

Żona zaczerwieniła się z oburzenia, ale nie śmiała podważyć decyzji małżonka. Wiedziała, że jest nieco nadopiekuńczą matką. Codziennie pisała listy do Antoniny, w których znajdowały się szczegółowe dyspozycje dotyczące ubioru, posiłków i wszystkich spraw życia codziennego jej potomstwa. Potulna i układna stryjenka sumiennie realizowała je wszystkie, przekonana, iż matka wie najlepiej, co jest dobre dla jej dzieci, nawet gdy dzieci te są już niemal dorosłe. W efekcie cała trójka chowana była pod czułą i troskliwą opieką, który to model wychowawczy, korzystny dla najmłodszej Zuzanny, zdaniem ojca zdecydowanie nie służył synom. Byli, owszem, niezwykle dobrze wychowani, doskonale się uczyli, wyśmienicie grali na pianinie i znali na pamięć niemal całe libretta wszystkich ważniejszych oper w językach, w których zostały napisane, ale gdy przychodziło do podjęcia

decyzji czy wypowiedzenia własnego zdania na jakikolwiek temat, ich spojrzenie automatycznie biegło w stronę matki, jakby szukali u niej podpowiedzi, co powinni sądzić w omawianej kwestii. Trudno się dziwić, skoro zawsze odpowiadała za nich, a gdy akurat nie było jej w pobliżu, czym prędzej ślali list lub nawet depeszę z prośbą o wskazanie właściwej drogi postępowania. Pan Żabiński nazbyt kochał żonę, by spróbować ograniczyć jej matczyne zapędy, ale nie chciał pozwolić, aby jej dobre serce zrobiło z ich synów ułomnych osobowościowo mężczyzn. Propozycja brata bardzo go ucieszyła, bo dawała Leonowi szansę na usamodzielnienie się.

Ojciec Leona przyjaźnił się z mecenasem Steinem i wieść o przeprowadzce Berka do Monachium przyjął jako wspaniały zbieg okoliczności. Wiedział, że syn mecenasa jest odpowiedzialnym młodym mężczyzną, który z pewnością ustrzeże Leona przed popełnieniem głupstw będących wynikiem zachłyśnięcia się wolnością i swobodą. Z drugiej zaś strony miał pewność, że jego małżonka nie ośmieli się zarzucać Berka korespondencją, a nawet gdyby się przemogła, powątpiewał, czy ów wypełniałby jej życzenia z taką gorliwością jak szwagierka. Tym sposobem młody chemik dołączył wkrótce do Jana i Berka i wprowadził się do wynajmowanego przez nich mieszkania, znajdującego się nad pomieszczeniami kancelarii. Kiedy oni pracowali, Leon studiował, a popołudniami pomagał im w codziennych sprawach.

Nagłe pojawienie się chłopaka w salonie wybawiło Jana od konieczności udzielenia odpowiedzi na ostatnie pytanie Berka, obaj bowiem skupili na nim całą uwagę. Młody Żabiński był zasapany i czerwony z wysiłku, przez co jego rude włosy wydawały się jeszcze bardziej ogniste.

– Witaj, Leoś – przywitał go życzliwie Berek. – Coś się stało?

Leon podniósł rękę, pokazując, że odpowie, jak tylko odzyska oddech.

– Może wody? – zapytał znów Berek i nie czekając na odpowiedź, podał chłopakowi szklankę.

– Widzieliście? – wysapał Leon, wyjmując z kieszeni płaszcza poskładaną gazetę, którą podał Berkowi.

– „Das Schwarze Korps”? Tfu... Po co to przyniosłeś?

– Otwórz i czytaj.

Berek przebiegł oczami po tekście, po czym bez słowa oddał gazetę Janowi.

– Na mocy paragrafu trzeciego ustawy o obywatelstwie Rzeszy wyłącza się żydów spod jej obowiązywania... Żydzi zostają pozbawieni ochrony prawnej, własności prywatnej... – mruzczał Zasławski, czytając pod nosem tekst obwieszczający wejście w życie ustaw norymberskich. – O matko...

Spojrzał na Berka, ale ten nie wyglądał na zdziwionego.

– Wiedziałeś, prawda? – zapytał zszokowany, patrząc przyjacielowi prosto w oczy.

Stein kiwnął głową.

– Czemu nic mi nie powiedziałeś?!

– A skąd mogłem wiedzieć, że akurat to cię zainteresuje?

Stali, patrząc sobie prosto w oczy. Leon przenosił wzrok z jednego mężczyzny na drugiego, usiłując zrozumieć, o co im chodzi.

– Dlatego wyjeżdżasz? – przerwał milczenie Jan.

– Jeśli taki scenariusz będzie ci łatwiej przyjąć, to tak – odparł Berek.

– Wyjaśnicie mi wreszcie, o czym właściwie rozmawiacie? – zirytował się Leon. – Myślałem, że chcieliście wiedzieć.

Jan i Berek spojrzeli na niego, jakby wypowiadając ostatnie zdanie, przypomniał im o swoim istnieniu.

– Chcieliśmy – przytaknął Jan. – W każdym razie ja jestem ci bardzo wdzięczny.

W salonie zapanowało ponure milczenie. Każdy z mężczyzn, zagłębiony w niewesołych myślach, na nowo rozważał znaczenie wejścia w życie tak strasznego prawa, dzielącego bezkarnie ludzi na dwie kategorie.

– Jadę z tobą – powiedział w końcu Jan. – Nic tu po mnie. Nie chcę mieszkać w kraju, w którym zadaje się gwałt naczelnym zasadom współżycia międzyludzkiego, gdzie jedną ustawą można odebrać komuś obywatelstwo z powodu wyznania. Nie chcę tu być, brzydzę się.

Berek wiedział, jak trudna dla Jana była myśl o powrocie, zwłaszcza że jemu samemu ze strony III Rzeszy nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

– A ja zostaję – odezwał się cicho Leon.

Przyjaciele spojrzeli na niego zdziwieni.

– Zapomnieliście, prawda? Wasze sprawy są zawsze najważniejsze – chłopak westchnął ciężko, a na jego twarzy

odmalował się wyraz prawdziwej przykrości. – Za dwa tygodnie na odczyt do Monachium przyjeżdża sam profesor Otto Diels, wychowanek Fischera! Taka okazja może się nie powtórzyć! Muszę się z nim zobaczyć!

– W takim razie zostajemy jeszcze dwa tygodnie – powiedział Berek bez chwili namysłu.

Pocziwą twarz Leona natychmiast rozświetlił radosny uśmiech.

– Naprawdę?

– Przecież nie zostawimy cię samego – przytaknął wesoło Berek i klepnął młodszego kolegę w ramię. – Jeszcze byś się gdzieś zgubił...

Leon wymierzył mu kuksańca i obaj zaczęli się śmiać.

– Berek, czy to aby na pewno bezpieczne? – Jan przerwał im tę chwilę radości.

Jego przyjaciel wciąż się uśmiechał, choć w jego oczach wyraźnie dało się dostrzec cień niepewności. Nie chciał jednak okazać jej przed Leonem, by go nie straszyć.

– Nie jestem przecież obywatelem Rzeszy. Mogą pozbawić mnie pracy i zarobku, odbierając klientów, którzy nagle znaleźli się poza prawem, ale to wszystko – powiedział, przybierając lekki, beztroski ton. – Jestem żydem, ale i cudzoziemcem, a z tego, co mi wiadomo, nawet tego szaleńca Hitlera obowiązuje prawo międzynarodowe.

Choć starał się nadać głosowi jasną barwę, w uszach brzmiały mu słowa kanclerza, przemawiającego po wydarzeniach zwanych nocą długich noży, kiedy to ogłosił się „sędzią najwyższym tego ludu”. Stein nie miał wątpliwości, że

Hitler jest bezkarny, choć wciąż starał się zachować pozory, że wszystko robi dla dobra narodu niemieckiego.

– Obyś się nie mylił... – rzekł posepnie Jan, którego myśli przemierzyły tę samą drogę. – Obyś się nie mylił.

Rozdział 6

– Uuu! Nie wymawiaj przy mnie tego słowa! – wykrzyknęła Joanna i aż tupnęła ze złości, nie troszcząc się wcale o to, by nie być słyszaną przez teściów, siedzących na dole w salonie przy porannej kawie.

– Joanno, błagam, ciszej! – jęknął Andrzej, mimo woli spoglądając na drzwi.

Uwielbiał ognisty temperament swojej żony i jej orzeźwiająca nieprzewidywalność, ale odkąd sprowadzili się do rodziców na Hoene-Wrońskiego, w chwilach takich jak ta czuł się niezręcznie. Choć profesorstwo Zasławscy nigdy nie poczynili żadnej uwagi na ten temat, był pewien, że zachowanie Joanny było dla nich często zupełnie niezrozumiałe. Jednak wszelkie próby powściągnięcia temperamentu żony przez wzgląd na rodziców kończyły się sugestią Joanny, że choćby dziś gotowa jest zabrać dzieci i zmienić miejsce zamieszkania, żeby nikomu nie wadzić. Wówczas całą uwagę Andrzeja pochłaniało tłumaczenie jej, że rodzicom z pewnością nie przeszkadza ani ona sama, ani ich dzieci, i tak też było w rzeczywistości.

Po wyprowadzce Andrzeja i dramatycznych wydarzeniach, w wyniku których Jan przeniósł się do Monachium, w domu profesorstwa Zasławskich zrobiło się nieznośnie cicho. Najmłodszy z ich synów, Tadeusz, także rzadko bywał w Warszawie, wciąż jeżdżąc na zgrupowania kadry przygotowujące polską drużynę piłki nożnej do zbliżających się igrzysk olimpijskich w Berlinie. A nawet teoretycznie będąc

w domu, w praktyce całe dni spędzał na stadionie na Konwiktorskiej, trenując, grając lub szkoląc młodych adeptów piłki nożnej. Dom opustoszał. W przeszłości profesorstwo Zasławscy niejednemu raz marzyli, by w ich mieszkaniu zapanowały cisza i spokój, w których mogliby oddać się pracy naukowej, spokojnej lekturze i nieśpiesznemu życiu, za którym oboje przepadali. Jednak gdy chwila spełnienia ich marzeń nadeszła, upragnione ulga i radość się nie pojawiły, a ich miejsce zajął smutek.

Dlatego gdy Joanna, ku zaskoczeniu wszystkich, wydała na świat nie jedno, a dwoje dzieci, rodzice czym prędzej zaprosili małżonków, by zamieszkali z nimi. Młodzi państwo Zasławscy z żalem opuścili swoje pierwsze gniazdko, najbardziej ubolewając nad utratą bliskiego sąsiedztwa młodych państwa Starczewskich, i przeprowadzili się na Hoene-Wrońskiego. Każdy kolejny dzień wspólnego mieszkania ukazywał coraz to nowe korzyści płynące z tej zmiany. Jerzy i Kazimierz okazali się bowiem malcami tyleż zdrowymi, co nadmiernie żywotnymi. Mimo pomocy Helenki zmęczona położeniem Joanna ledwie dawała sobie radę z noworodkami. Możliwość pozostawienia dzieci choć na chwilę pod życzliwą opieką kogoś z domowników i udania się na krótki odpoczynek była tym, co podtrzymywało ją przy życiu przez pierwsze miesiące matkowania bliźniętom. Andrzeja zaś cieszyła przestrzeń. Wieczorami, po wykąpaniu synów, zamykał się w swoim dawnym pokoju i mógł spokojnie pracować, co na małej powierzchni mieszkania przy Rakowieckiej było niemożliwe. Profesorstwo Zasławscy byli zadowoleni, że ich

dom znów był gwarnym, pełnym życia miejscem. Wkrótce pani Janina przełamała własne zdystansowanie wobec istot nieletnich, które nie potrafią wyjaśnić przyczyn swoich zażaleń i pretensji, i bez reszty zaangażowała się w opiekę nad nimi. Profesor Zasławski żartował z żony, że instynkt macierzyński w przypadku jej wybitnego umysłu dał o sobie znać dopiero, gdy uzyskała wszystkie możliwe stopnie naukowe. Poza niezbyt częstymi napadami złości Joanny nic nie zaburzało spokoju i harmonii wspólnego zamieszkiwania trzech pokoleń Zasławskich w Kolonii Profesorskiej na Hoene-Wrońskiego.

– Obiecuję zachowywać się ciszej, jeśli ty złożysz mi uroczystą przysięgę, że przynajmniej przez tydzień nie usłyszę słowa „wystawa”! – zawołała Joanna; Andrzej odniósł wrażenie, że mimo wszystko odrobinę ściszyła głos.

– Joanno, przecież wiesz...

– Tak, ja wszystko wiem! Doskonale wiem i rozumiem, ale myślałam, że wychodzę za obiecującego inżyniera, a nie za... za... za szaleńca!

Andrzej nieopatrznie pozwolił sobie na uśmiech, czym wywołał kolejną falę złości żony.

– Mógłbyś mi, proszę, wyjaśnić przyczynę swojej wesołości? – warknęła buńczucznie. – Która część mojej wypowiedzi tak bardzo cię rozśmieszyła?!

Andrzej przyglądał jej się z niekłamaną przyjemnością. Od urodzenia bliźniąt Joanna zaokrągliła się nieco, ale dodało jej to tylko jeszcze więcej uroku, miękko łagodząc wszystkie ostrzejsze rysy. Modnie obcięte rude włosy wdzięcznie okalały jej twarz, a kilka niesfornych loczków założyła za ucho. Gdy

się złościła, jej rozemocjonowana twarz nabierała szczególnego blasku, roziskrzzone gniewem oczy jaśniały, rozedrgane usta sprawiały zaś wrażenie pełniejszych i czerwieńszych niż zwykle. Zagniewana Joanna była zdaniem Andrzeja najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi, i z pewnością jedną z najbardziej nieobliczalnych.

– Nic, Joanno, nic, przepraszam. Jesteś po prostu taka śliczna... – Andrzej spróbował komplementem ułagodzić żonę, ale niestety to mu się nie udało.

– O czym ty mówisz?! – oburzyła się. – Nie odwracaj mojej uwagi. Andrzej, to się musi skończyć!

– Wystawa...

– Nie zaczynaj! – przerwała mu Joanna, zakrywając uszy. – Miałeś nie wypowiadać przy mnie tego słowa!

– ...odbędzie się pod koniec marca – dokończył mimo wszystko Andrzej. – To tylko pół roku!

– Tylko?! Tylko?! Andrzej, przecież ja cię prawie nie widuję! Przez pół roku zapomnę, jak wyglądasz.

Andrzej miał ochotę znów się uśmiechnąć, ale rozsądek nakazał mu oprzeć się pokusie.

– Poza tym, po twojej ostatniej rozmowie z profesorem Bryłą śmiem mieć obawy, że na wystawie „Warszawa przyszłości” się nie skończy. Jeśli słuch mnie nie mylił, wybiegliście w waszych planach na blisko dekadę do przodu!

Andrzej zamyślił się nad ostatnimi słowami żony i ze zdziwieniem odkrył, że Joanna ma rację. Choć jeszcze pół roku dzieliło ich od pierwszej, propagandowej wystawy przygotowywanej przez prezydenta Stefana Starzyńskiego

i podległy mu Zarząd Miasta w nowo wybudowanym skrzydle modernistycznego Muzeum Narodowego, w świecie inżynieryjno-architektonicznym już mówiono o kolejnej. Wszyscy żyli też planowaniem kształtu pawilonu polskiego na zbliżającą się Wystawą Światową w Paryżu za niecałe dwa lata. Wśród twórców wyraźnie wyczuwalne było pragnienie powtórzenia sukcesu, jaki odniesiono zaledwie dekadę wcześniej, również w Paryżu, podczas Międzynarodowej Wystawy Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa, nazywanej przeglądem nowej sztuki użytkowej. Był to pierwszy wielki triumf niepodległej Polski na arenie światowej. Kraj uważany za peryferyjny, przestarzały, zacofany i niewart uwagi zaprezentował prace, które wywołały lawinę pochwał zachodniej prasy. Rozpisywano się na temat polskiej jednolitości, przejrzystości, humoru i fantazji w sztuce. Odrodzona Rzeczpospolita podczas tego pamiętnego zwycięstwa nowoczesności i awangardy zdobyła dwieście pięć nagród, w tym aż trzydzieści pięć grand prix, dając tym samym świadectwo energii i inwencji drzemiącej pod zaborczym jarzmem przez sto dwadzieścia trzy lata.

W warszawskich środowiskach planistycznych powszechnie wiadomo było także, iż prezydent Starzyński zabiega w Międzynarodowym Biurze Wystaw Światowych, by w dwudziestą piątą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości ową ogólnonarodową ekspozycję urządzić właśnie w Warszawie. Doświadczenie krajów, które były w przeszłości organizatorami tego wydarzenia, niejednokrotnie pokazało, jak ważna dla jego powodzenia jest spójna

i przemyślana koncepcja urbanistyczna terenów wystawowych. Z tej też przyczyny już teraz zaczęto opracowywać plan stworzenia zupełnie nowej dzielnicy na prawym brzegu Wisły, która w całości miałaby być wykorzystana do zaprezentowania dorobku kultury, sztuki, nauki i technologii wszystkich krajów świata. Udział w tym przedsięwzięciu był największym życiowym marzeniem Andrzeja, o zdobyciu medalu czy choćby dyplomu honorowego nie śmiał nawet śnić.

Mężczyzna milczał, pogrążony we własnych myślach. Joanna przyglądała mu się ukradkiem, czekając, aż zareaguje na wypowiedziane przez nią słowa. W ostatnich miesiącach Andrzej w tajemniczy sposób upodobił się do profesora Zasławskiego. Początkowo sądziła, że odnosi takie wrażenie, gdyż pierwszy raz widywała tak często ojca i syna w codziennych sytuacjach. Wkrótce jednak dostrzegła ów wcześniej nieznaną rys twarzy męża, odmalowujący się również na obliczu jego ojca i profesora Bryły. Było to coś jakby znamię odrealnienia, pogrążenia w innej rzeczywistości, zadumania i nieustającej gorączki twórczej, popychającej do planowania i późniejszej realizacji coraz to nowych przedsięwzięć. Wszyscy trzej należeli bowiem do rzadko spotykanego gatunku ludzi, którzy w nauce wyraźnie dostrzegają boski pierwiastek twórczy i cuda z nim związane. Ta świadomość nie pozwalała im żyć normalnie, tak jak gdyby to, co robią, było po prostu pracą. Oni wiedzieli, że stwarzają nową rzeczywistość, choć żaden z nich nie widział w tym powodu do pychy i wynoszenia się nad innych.

Nieoczekiwanie zorientowała się, że jej ukochany zamiast zastanawiać się nad ich małżeństwem, zaczął analizować kolejne zagadnienie wystawowe.

– Andrzej... – Joanna postanowiła przywołać męża do rzeczywistości.

– Tak? – Mężczyzna ocknął się i spojrzał na nią lekko niewidzącym wzrokiem.

– Przez następną dekadę mam siedzieć beczynn timer w domu, podczas gdy ty będziesz budował swoją Warszawę przyszłości?

– Joanno, a Jurek i Kazio? – Andrzej, raptem przypomniawszy sobie o synach i pragnąc odwrócić uwagę żony od wystawy, postanowił odwołać się do jej macierzyńskich uczuć.

– Co z nimi?

– Czy oni nie dostarczają ci wystarczającej ilości zajęć, by moja nieobecność nie była aż tak dotkliwie odczuwalna?

– Andrzej, od dwóch miesięcy Helenka i twoja matka wyręczają mnie niemal we wszystkim. Przewijają chłopców, karmią, bawią się z nimi, wyprowadzają na spacer, nierzadko nawet nie konsultując ze mną swoich zamiarów. Prawdę mówiąc, jestem im za to wdzięczna, bo... – Joanna zawiesiła głos, niepewna, czy powinna wypowiedzieć myśl, która pojawiła się w jej głowie. Obawiała się, by mąż nie odebrał opacznie jej słów.

– Tak? – zainteresował się Andrzej.

– Chodzi o to, że małe dzieci chyba interesują mnie mniej, niż powinny... – zaczęła z wahaniem, ale Andrzej nie dał jej dokończyć.

– Widzisz! To dlatego Helenka i matka przychodzą ci z pomocą. Jesteś przemęczona, kochanie, i potrzebujesz odpoczynku.

– Nie potrzebuję odpoczynku! – zirytowała się Joanna. – Nie rozumiesz? Ja potrzebuję zajęcia!

– Przecież masz zajęcia! – Andrzej wydawał się zdezorientowany.

– Jakie? Jakie?

– Rodzinę, dzieci, męża!

– Rodzina zajmuje się dziećmi, a męża interesuje tylko Warszawa, nie ja! Dla nikogo już się nie liczę, nic nie znaczę, nie jestem potrzebna! – krzyknęła.

Joanna czuła, że powiedziała zbyt wiele, ale było za późno. Pełne wyrzutu i goryczy słowa wybrzmiały z wielką mocą, odbijając się echem po ścianach pokoju. Po chwili poczuła ulgę. Od tak dawna skrywała przed Andrzejem swoje prawdziwe myśli i uczucia, nie chcąc go martwić, sprawiać mu przykrości. Obawiała się, że zawiedzie jego oczekiwania, ale uczucie osamotnienia i niezrozumienia stały się nieznośnym brzemieniem.

Andrzej przyglądał się żonie w zamyśleniu. Pochłonięty bez reszty projektowaniem nowych ulic w myśl zasady Le Corbusiera „światło, przestrzeń, zieleni”, tworzenia komfortowych warunków życia i pracy dla ludzi postępowych, mieszkańców nowej stolicy odrodzonej Polski, zapomniał o najważniejszej dlań osobie. Zawstydził się głęboko, uświadomiwszy sobie nagle, jak bardzo nieszczęśliwa jest jego żona.

– Joanno...

Joanna rzuciła mu wyzywające, pełne niechęci spojrzenie, a po policzkach spływały jej łzy.

– Joanno, przepraszam, nie wiedziałem...

Wzruszyła pogardliwie ramionami i chciała uraczyć męża jakąś uszczypliwą uwagą dotyczącą jego odrealnienia w ostatnich miesiącach, ale zamiast tego wybuchnęła płaczem, dając ujście emocjom tłumionym przez tak długi czas.

Andrzej przytulił ją, a ona przylgnęła do niego z całą tęsknotą prawdziwie kochającej kobiety.

– Joanno, Joanno – szeptał Andrzej, całując jej włosy.

W tej jednej chwili odnaleźli bliskość zagubioną wśród niedopowiedzeń, wzajemnego niezrozumienia i snów o potędze.

Rozdział 7

Kilka dni później Andrzej wrócił z kreślarni wyraźnie rozradowany. Przy obiedzie wstał i oznajmił, że ma ważne wieści. Joanna spojrzała na niego zdziwiona. Z rozpromienionego wyrazu twarzy męża natychmiast odgadła, że przygotował dla niej jakąś niespodziankę.

– Joanna obejmie od jutra posadę pielęgniarki w Gimnazjum Żeńskim im. Wandy z Posseltów Szachtmajerowej – ogłosił uroczyście, akcentując każde słowo.

– Od jutra?! – wykrzyknęła przerażona nagle Joanna.

– A na co Joannie posada? – zapytała niemal jednocześnie Helenka, która weszła właśnie do salonu, niosąc parujący półmisek. – Za moich czasów kobiety nie porzucały dzieci, żeby pracować, jeśli nie było po temu wyraźnej potrzeby – dodała. – Pielęgniarstwo to szlachetna profesja, ale przecież i czasochłonna. A na dodatek wielce niebezpieczna. Tyle chorób wokoło, jeszcze i malcy czymś się zarażą. Niepotrzebne kłopoty, same kłopoty. Miejsce matki jest przy jej dzieciach, ot i wszystko.

– Ależ Helenko! – Andrzej, nie tracąc dobrego humoru, uśmiechnął się do gospodyni. – Toteż Joanna nie będzie pracowała w szpitalu, a w gimnazjum dla dziewcząt. Chorób nie przyniesie, a i Jurka z Kaziem pozostawiać będzie zaledwie na kilka godzin, w dodatku pod najczulszymi skrzydłami na całej ziemi.

To mówiąc, puścił do Helenki oko. Staruszka machnęła na niego ręką, udając zniecierpliwienie, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– I tak zrobicie, jak uważacie. Zapamiętajcie tylko, że dzieci bez matki chować się nie mogą.

– Co też Helenka opowiada, że zaraz bez matki. Z matką, z matką, i do tego szczęśliwą, bo stworzoną do pomagania ludziom.

Profesor Zaslawska pokiwała z aprobatą głową. Już wcześniej dostrzegła w synowej ów rys zniecierpliwienia domowymi sprawami, który charakteryzował w młodości także i ją samą. Kilkakrotnie mówiła mężowi, że Joannie potrzebne jest jakieś pozadomowe zajęcie, ale wspólnie uznali, że nie powinni się wtrącać do spraw młodych małżonków.

– Od jutra? – spytała ponownie Joanna, która dotąd w nietypowym dla siebie milczeniu przysłuchiwała się rozmowie toczącej się wokół jej osoby.

– Od jutra – przytaknął Andrzej dumnym tonem człowieka, który dokonał wielkiej rzeczy. – Właśnie zwolniła się posada i pilnie poszukują zastępstwa.

Joanna uścisnęła dłoń męża.

– W takim razie, mój drogi, chyba nadszedł czas, żebyś przedstawił mi wszystkie szczegóły.

Andrzej uśmiechnął się szeroko, widząc iskierki zadowolenia w jej oczach, i zaczął opowiadać. Okazało się, że zupełnie przypadkowo spotkał tego ranka jegomościa znanego mu jeszcze z czasów szkoły podchorążych. W trakcie rozmowy Andrzej mimochodem zapytał, czy ów nie słyszał, by gdzieś

poszukiwano pielęgniarki, na co zapytany ku zdziwieniu i radości Zasławskiego odparł, że owszem, słyszał, nie dalej jak dziś rano, kiedy odwoził najmłodszą siostrę do szkoły. Od słowa do słowa wyjaśnił, że jest bratankiem Kazimierza Szachtmajera, którego żona Wanda wraz z siostrami założyła szkołę, będącą początkowo pensją żeńską, obecnie zaś ośmioklasowym gimnazjum humanistycznym.

– To doskonała placówka, choć usytuowana jest nieco poza śródmieściem – zakończył swoją opowieść Andrzej.

– Nieco? – zaabsorbowała się Joanna. – A można wiedzieć, gdzie dokładnie?

– Na Biało-brzeskiej.

– Toż to koniec miasta! – wykrzyknęła Helenka, załamując ręce w geście żałości.

– E tam, koniec miasta – zachnął się Andrzej. – Według mojej wiedzy przy Grójeckiej, po drugiej stronie placu Narutowicza, Warszawa się jeszcze nie kończy.

– Ale kanalizacja tak – dopowiedział profesor Zasławski i zachichotał.

W następnej chwili spoważniał pod wpływem piorunującego spojrzenia, jakie posłała mu małżonka. Odchrząknął lekko i pociągnął łyk poobiedniej herbaty.

– W mojej ocenie to całkiem przyjemny spacer – Andrzej nie dał się zbić z pantałyku. – A gdybyś nie miała ochoty na dłuższą przechadzkę, będziesz mogła wybierać pomiędzy przejażdżką autobusem lub tramwajem.

Helenka westchnęła ciężko i pokręciła z niezadowoleniem głową.

- To nie jest ot, takie zwyczajne żeńskie gimnazjum - kontynuował Andrzej. - Niewiele wiem o edukacji dla dziewcząt, ale ów znajomy, który ma aż cztery młodsze siostry, twierdzi, że szkoła ta cieszy się znakomitą opinią. Jeśli dać wiarę jego słowom, nie dość, że jest tam aż czternaście sal lekcyjnych, to są również bogato wyposażone pracownie nauk ścisłych, czytelnia dla uczennic, a nawet specjalne pokoje przeznaczone dla wewnątrzszkolnych organizacji młodzieżowych. Zresztą wystarczy spojrzeć, kto znajduje się w gronie nauczycielskim i uczniowskim. Choćby Wandzia i Jadwiga Piłsudskie...

Andrzej, nieświadom wrażenia, jakie zrobił na słuchaczach, wypowiadając ostatnie zdanie, chciał mówić dalej, ale Joanna przerwała mu zaniepokojona:

- Zaraz, zaraz, czy chcesz przez to powiedzieć, że od jutra będę pracowała w szkole, do której uczęszczają córki samego marszałka?!

Andrzej skinął głową.

- I Wieniawy-Długoszowskiego, i wilanowskie dziedziczki... - zaczął wyliczać z entuzjazmem, łudząc się, że ta informacja jeszcze przychylniej usposobi jego żonę.

- W takim razie nigdzie jutro nie idę - ucięła Joanna.

To powiedziawszy, zajęła się posiłkiem, uważając temat za zakończony. Andrzej przyglądał się jej, nic nie rozumiejąc.

- Słusznie - pochwaliła Helenka, ale profesor Zasławska dała jej delikatnie znać, żeby nie mówiła nic więcej.

- Dziecko drogie - przerwała milczenie pani Janina, po czym dodała pobłażliwym tonem: - Nie musisz się niczego obawiać.

I to przesądziło sprawę. Joanna była zbyt dumna i ambitna, by dać się posądzić o brak odwagi, o czym profesor Zasławska doskonale wiedziała. Wyprostowała się na krześle, uniosła podbródek, nieznacznie potrząsnęła burzą rudych kędziorów i rzuciła teściowej wyzywające spojrzenie.

– A zatem od jutra miałabym zacząć, tak?

Kiedy jednak następnego dnia rano Joanna stanęła przed budynkiem przy Białobrzeskiej 44, cała jej hardość, a co za tym idzie i duch walki, gdzieś uleciały. Spojrzała na rząd zaparkowanych przed szkołą samochodów, z których kolejno wysiadali mężczyźni w mundurach, eleganckich płaszczach bądź liberiach z herbami i spieszyli otworzyć drzwi siedzącym z tyłu paniąkom. Te zaś, podawszy im małe rączki w białych rękawiczkach, wyskakiwały wdzięcznie z wnętrz pojazdów, ubrane w przepisowe zielone mundurki z białymi bluzeczkami z marynarskimi kołnierzami oraz ciemnozielone berety z czarnymi pomponami i zielonymi koniczynkami, spod których najczęściej wystawały dwa długie warkocze. Znajomy Andrzeja twierdził, że wszystkie stroje szkolne szachtmajerek szyte są na specjalne zamówienie w Domu Towarowym Braci Jabłkowskich. Wprawdzie odkąd kilka lat wcześniej weszła w życie reforma Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, nazywana od nazwiska ministra jędrzejewiczowską, nakazująca między innymi noszenie mundurków szkolnych zgodnych z jednolitymi dla wszystkich szkół wytycznymi, wygląd całej dziatwy szkolnej znacznie się poprawił, jednak Joanna musiała przyznać, że uczennice

placówki, w której miała od dziś pracować, prezentowały się wyjątkowo elegancko.

Wciąż z oddali przyglądała się, jak dziewczynki, pożegnawszy się grzecznie, spokojnie kierowały swe kroki w stronę wejścia. Gdy się do niego zbliżały, machinalnie brały się pod rękę, łączyły w pary lub trójki i szepcząc coś między sobą, wchodziły razem do szkoły. Joanna wciąż nie mogła się zdobyć na to, by ruszyć ich śladem. Ku własnemu zdziwieniu odkryła, że mimo swojego szlacheckiego pochodzenia, doskonałego wykształcenia i przygotowania zawodowego odczuwa sprzeczne z jej naturą onieśmienie przed podjęciem pracy w do tego stopnia elitarniej szkole.

Spróbowała opanować wzmagające się z każdą chwilą zmieszanie, zwracając całą swoją uwagę na budynek szkoły, zaprojektowany przez mieszkającego po sąsiedzku na Hoene-Wrońskiego serdecznego kolegę profesora Zasławskiego, Romualda Gutta. Zdaniem Andrzeja budynek ten był doskonałym przykładem zastosowania współczesnej funkcjonalności w architekturze – i ta okoliczność winna być dla jego żony dodatkowym argumentem przemawiającym na korzyść podjęcia pracy w szkole prowadzonej przez pięć sióstr Posseltówien. Jednak Joanna mimo usilnych starań nie mogła dojrzeć w tym budynku nic wartego zachwytu. Zdecydowanie bardziej niż sam gmach, opatrzony delikatnie zaokrągloną, ceglana ścianą, w której znajdowało się przestronne wejście, podobało jej się jego otoczenie: rozległe boisko i ogródek, wieszczące możliwość zapewnienia uczennicom dużej ilości ruchu na świeżym powietrzu, który Joanna uważała za

podstawowy warunek zachowania zdrowia i urody. Była także pewna, że w szkole nie brak światła. Długi ciąg trójskrzydłowych, szerokich weneckich okien niewątpliwie doskonale oświetlał sale lekcyjne i korytarze.

Joanna do tego stopnia zajęta była oględzinami szkoły, że nie zauważyła kobiety, która przystanęła nieopodal.

– Czy mogę w czymś pomóc?

Wyrwana z zamyślenia, drgnęła nieznacznie, lecz czym prędzej odwróciła się w stronę, skąd dobiegał niski głos o przyjemnym brzmieniu. Tuż obok niej stała niewysoka kobieta z wąskim nosem, krzaczastymi czarnymi brwiami, zrosniętymi na środku, i ustami, których wyraz zwiastował naturę twardą i apodyktyczną, acz niepozbawioną uroku.

– Ach, nie, dziękuję. – odparła Joanna.

– Pani do szkoły? – nie ustępowała tamta, najwyraźniej zaintrygowana jej obecnością.

– Tak – przytaknęła Zasławska. – Dziś mam rozpocząć pracę i chciałam się troszkę rozejrzeć po szkolnym obejściu.

– Męczkowska. Teodora Męczkowska. Nauczycielka fizyki – rzekła kobieta i wyciągnęła w kierunku Joanny rękę w typowo męskim geście powitalnym.

– Joanna Zasławska – odparła i uściśnęła podaną jej dłoń. – Nie jestem nauczycielką. Mam objąć posadę pielęgniarki.

– Bardzo mi przyjemnie. Do rozpoczęcia zajęć pozostało jeszcze trochę czasu, może chciałaby pani, bym poprowadziła ją do gabinetu dyrektora Posseltówny?

Joanna uśmiechnęła się z wdzięcznością i ruszyła za nowo poznaną koleżanką, czując, że w obecności stanowczej

Teodory szybko odzyskuje pewność siebie.

Rozdział 8

Estera Stein spała, oddychając cicho, niemal bezszelestnie, ułożona równiutko pod puchową kołdrą, dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej położyła się poprzedniego wieczoru. Gdy była małą dziewczynką, ojciec śmiał się często, że noc jest jedynym momentem, kiedy jego córka pozostawała w bezruchu, zastygła we śnie. Tego dnia poranek był tak szary, że przez grube, koronkowe firanki do sypialni dziewczyny nie przedostawało się wiele światła. Estera zapewne nie obudziłaby się zbyt szybko, gdyby do jej pokoju nie weszła pokojówka, niosąc dzban z ciepłą wodą. Zaczęła krzątać się wokół przesłoniętej parawanem umywalni z satynowego drewna, układając na marmurowym blacie wszystkie rzeczy potrzebne panience o poranku. Niby przypadkiem stuknęła srebrną szczotką o brzeg dzbana z wodą, upuściła mydelniczkę, potrąciła kubek do płukania ust tak, by narobił niewielkiego hałasu, głośniej niż zwykle zamknęła drzwi szafy po wyjęciu z niej sukienki. Jednak mimo wszystkich dyskretnych prób obudzenia panienska Stein zdawała się nadal mocno spać. Pokojówka podeszła bliżej i pochyliła się nad dziewczyną, nasłuchując, czy oddycha, zaniepokojona, czy aby coś jej nie dolega.

– Czy Mela może mi wyjaśnić, co robi? – zapytała nagle Estera, nie otwierając oczu i nadal nie wykonując najmniejszego ruchu.

Pokojówka aż podskoczyła i wydała z siebie krótki okrzyk przerażenia. Tymczasem Estera, zadowolona z żartu, który udało jej się zrobić, usiadła na łóżku, ziewnęła przeciągle i spojrzała najpierw na stojący nieopodal zegar, a potem na spłoszoną Melę, która wyglądała tak, jakby ze wszystkich sił starała się nie rozpłakać.

– Dowiem się, czemu budzisz mnie tak wcześnie? – zagadnęła znów Estera, niewzruszona tym, że przestraszyła pokojówkę.

Mela nie należała do jej ulubienic. Była zbyt powolna i niezgrabna, a co najgorsze, okropnie nudna. Potrafiła wprawdzie doskonale układać włosy, ale podczas przedłużającego się nierzadko czesania nie mówiła prawie nic, a gdy już się odezwała, rozprawiała tylko o swoim domu rodzinnym na wsi, o gospodarstwie pod Karczewem, w którym pracują jej rodzice, i o malutkich braciach. W opowieściach tych, zdaniem Estery, nie było nic ciekawego.

Pod wpływem jej lekko karcącego wzroku Mela opanowała się i powiedziała, że pani Stein życzy sobie jak najszybciej widzieć córkę w swoim saloniku. Estera uniosła brwi.

– Przed śniadaniem?! – wykrzyknęła zdziwiona.

Sara Stein prowadziła bowiem bujne życie towarzyskie i zwykle spała najdłużej ze wszystkich domowników. Wyznawała także zasadę (której przestrzegania bezwzględnie wymagała), że godziny poranne należą wyłącznie do niej i do śniadania nie rozmawia bez wyjątku z nikim, o niczym, chyba że Eugeniusz Bodo zdecydowałby się w końcu, po tych wszystkich listach pełnych uwielbienia dla jego gry aktorskiej,

które słała mu po każdej premierze, odwiedzić ją na porannej kawie. Była to jednak jedyna, niestety raczej mało prawdopodobna okoliczność usprawiedliwiająca zrobienie wyłomu od owej żelaznej reguły.

– A nie mówiła, o co chodzi? – dopytywała Estera.

Mela wzruszyła ramionami i popatrzyła na swoją młodą panią ociężałą, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Estera westchnęła ciężko, widząc, że znów niczego się od pokojówki nie dowie. Zaintrygowana, wstała jednak czym prędzej i po kilkunastu minutach zeszła po schodach do saloniku matki.

Było to przyjemne wnętrze, choć wyraźnie dawało się w nim wyczuć słabość Sary Stein do zwracania na siebie uwagi i chęć imponowania odwiedzającym ją tu znajomym paniom z towarzystwa, zwanym przez ojca pobłaźliwie przyjaciółeczkami. Zostanie przyjaciółeczką Sary Stein było ogromnym osiągnięciem towarzyskim, o które zabiegało wiele dobrze sytuowanych dam. Te, którym się to udało, były równie bogate i równie bezwzględne w swoich sądach, co sprawiało, iż każda osoba z tego grona musiała ogromnie się wysilać, by utrzymać uwagę i zainteresowanie pozostałych. Berek niejednokrotnie śmiał się, że choć tyle pań z porządnych rodzin chciałoby zaprzyjaźnić się z ich matką, ona od ich wierności i oddania woli nieustannie batożenie oraz wyzwania szarpiące jej nerwy i dbające o linię mężowskiego portfela. Sara Stein, słysząc to, przewracała oczami, fukała i zwykle żądała, by małżonek wyjaśnił synowi, gdzie jest jego miejsce i jak należy się zwracać do matki. W głębi duszy jednak zdawała sobie sprawę, że Berek ma rację, tyle że nieustanny

udział w rozgrywkach polegających na pokazywaniu innym, kto jest najpiękniejszy, najlepiej ubrany, ma najlepszy gust, kto przyciąga uwagę najmłodszych mężczyzn, sprawiał jej wielką przyjemność i – prawdę mówiąc – był jedyną rzeczą, która naprawdę ją interesowała.

Salonik matki zmieniał wystrój przynajmniej dwa razy w sezonie, przeważnie wówczas, gdy jego lokatorka wraz ze swym towarzystwem przebywała w którymś ze znanych europejskich uzdrowisk, zażywając kąpiele mineralnych i leczniczymi wodami reperując zdrowie, z którym ku jej niezadowoleniu wciąż było wszystko w porządku.

Ostatnimi czasy nastała moda na folklor. Pasy, najlepiej w kolorach używanych na strojach ludowych, szturmem zdobyły okładki czasopism, których główną tematyką było życie modne i gustowne. Matka Estery czym prędzej przemalowała swój buduar na zielono, co kilkadziesiąt centymetrów intensywnie ożywiając go imitacją grubych, wielobarwnych pasów. Miękkie meble zostały obite pasiastymi tkaninami. Nawet na ramie staroświeckiego tremo zawisły kolorowe wstęgi. Niewielki zgrzyt w tym morzu ludowych akcentów stanowiły elegancki sekretarzyk, toaletka, stoliki do kart i kawy, masywny kredens oraz wysoka szyfoniera, w której matka przechowywała biżuterię i kosztowną pasmanterię, bo nijak nie dało się ich upodobnić do wyposażenia wiejskiej chaty. Sara Stein, zapewne słusznie, podejrzewała też, że przy próbie podobnego wystylizowania jej łagodny i wyrozumiały dla kobiecych kaprysów mąż wyraziłby swój zdecydowany sprzeciw. Meble były bowiem antykami

przekazywanymi w rodzinie Steinów od pokoleń i miały ogromną wartość, zarówno emocjonalną, jak i materialną. Każda drewniana powierzchnia otrzymała jednak stosowną wielokolorową, by nie rzec pstrokatą, serwetę, a za szybką kredensu stanął specjalnie kupiony zestaw porcelany ręcznie malowany w barwy łowickie.

Gdy mecenas Stein, szukając żony, zajrzał tu któregoś dnia, dostał tak silnego ataku śmiechu, że zbiegła się cała domowa służba, która nigdy wcześniej nie słyszała, by ich pan tak głośno się zachowywał. Kiedy wieść rozniosła się po mieście, Sara Stein nie rozmawiała z mężem okrągły tydzień. Gniewałaby się zapewne dłużej, gdyby jeden z dziennikarzy lokalnej gazety nie przyszedł prosić ją o możliwość zrobienia zdjęć jej salonikowi. Doszły go bowiem słuchy, że jest idealnym połączeniem tradycji i najnowszych prądów modowych. Sara Stein omal nie pękła z dumy, przyjaciółki nie mówiły o niczym innym przez wiele kolejnych spotkań, a mecenas Stein hojnie opłacił pismaka, który zgodził się przyjść mu z pomocą.

– Dzień dobry, mamó! – powiedziała Estera, wchodząc do pokoju zwawym krokiem.

Matka, ubrana w zielony, dopasowany do koloru ścian, jedwabny szlafrok, siedziała przy biurku, przeglądając korespondencję.

– Ile razy mam ci powtarzać, moja droga, że wypada zapukać, wchodząc do czyjegoś pokoju...

– Przecież mama po mnie posłała – weszła jej w słowo Estera.

- ...a poza tym - ciągnęła niewzruszenie matka, nie podnosząc wzroku znad czytanego właśnie listu - musisz wreszcie nauczyć się chodzić ciszej. Z daleka słyszałam twoje nieeleganckie tupanie.

Estera wciągnęła powietrze, żeby coś powiedzieć, ale tym razem matka nie dała sobie przerwać.

- Osoba pochodząca z tak dobrej rodziny, obdarzona twoją urodą, a wkrótce i wysoką pozycją społeczną, nie powinna tupać jak podchorąży w oficerkach.

Estera nic nie odpowiedziała, tylko przymknęła oczy i wyduła usta, dając upust zniecierpliwieniu. Już dawno obiecała sobie, że nie będzie reagowała na komentarze matki dotyczące jej świetlanej przyszłości jako żony dziedzica fortuny Zimmermanów.

Sara Stein złożyła trzymaną w dłoniach kartkę na pół, włożyła ją do rozciętej koperty leżącej nieopodal, kopertę odłożyła do szufladki i wstała.

Była wysoką, zgrabną kobietą, która na pierwszy rzut oka wydawała się zupełnie młoda. Dopiero przy dokładniejszych oględzinach dało się dostrzec srebrne pasemka, tu i ówdzie połyskujące wśród czerni jej włosów, i siateczkę drobnych zmarszczek wokół oczu. Najczęściej jednak Sara Stein, świadoma zarówno tego, jak korzystne robi pierwsze wrażenie, jak i upływającego nieubłagania czasu, którego oznaki, mimo wszelkich jej starań, były już widoczne, dbała o to, by rozmówca nie miał szansy przyjrzeć się jej dokładniej. Podczas przyjęć i rautów każdą nowo poznaną osobę, której względy chciała pozyskać, czym prędzej porywała w wir towarzyski,

przedstawiając, komu należało, opowiadając ploteczki i żarty taktowne, acz z lekko pikantnym zabarwieniem, śmiejąc się przy tym czarująco i rozkosznie. Oszołomiony jej energią i witalnością jegomość prędko uznawał, że ma do czynienia z istotą fascynującą i pozbawioną wad, zaś w kwestii oceny jej urody zachowywał w sercu obraz owego bezcennie korzystnego pierwszego wrażenia. Sara Stein swoją doskonale wystudiowaną kokieterią oczarowywała wszystkich mężczyzn, a zamiłowaniem do plotek i intensywnością prowadzonego życia towarzyskiego zyskiwała sobie życzliwość kobiet, które wiedziały, że z kimś takim jak ona zdecydowanie lepiej być w salonowym sojuszu niż w stanie wojny.

Estera przyglądała się matce jak zwykle z przyjemnością, choć dziś zirytowana początkiem rozmowy postanowiła, że w odwecie za uszczypliwe uwagi nie powie jej nic miłego.

– Mam dla ciebie niespodziankę! – wykrzyknęła radośnie Sara Stein, podchodząc, a raczej leciutko podbiegając do stoliczka kawowego, na którym leżała złożona gazeta.

Estera, widząc wyraz zadowolenia, który odmalował się na twarzy matki, poczuła, że miejsce irytacji zajmuje niepokój. To, co cieszyło panią Stein, musiało mieć coś wspólnego z rozgłosem, plotką lub smakowitą wieścią z życia towarzyskiego stolicy, jednak do tego stopnia radowały ją tylko wydarzenia związane z nią samą lub kimś bliskim. Estera poczuła nagły ucisk w żołądku, przeczuwając, że tym razem to jej może dotyczyć owa iskierka, która z rana rozpałała ogień radości matki. Nie myliła się.

– Spójrz tylko! – powiedziała matka, podsuwając jej rozłożoną gazetę.

Czarno-białe literki na wielkiej, szeleszczącej płachcie zatańczyły przed nosem dziewczyny. Próbowwała odnaleźć tekst, na który chciano zwrócić jej uwagę, ale nim zdążyła zogniskować wzrok na którymkolwiek zdaniu, rozentuzjasmowana matka odwróciła gazetę w swoją stronę i zaczęła czytać na głos:

– „Niewątpliwie ślub Estery Stein, córki mecenasa Steina, i Natana Zimmermana, którego rodziny autorka nie widzi konieczności przedstawiać, będzie towarzyskim wydarzeniem nadchodzącego sezonu wiosennego. Zaślubiny odbędą się na skwerze przed Wielką Synagogą na Tłomackiem 7, dnia 17 kwietnia roku 1936 o godzinie 14:00. Po uroczystościach zaplanowano przyjęcie, na które zaproszono przeszło tysiąc gości...”.

Estera wyrwała matce gazetę i dwukrotnie przebiegła wzrokiem tekst. Wszystkie zawarte w nim informacje były jej doskonale wiadome, a mimo to miała wrażenie, jakby właśnie w tej chwili jej los został przypieczętowany, jakby nie było już odwrotu, skoro prasa ogłosiła światu wieść o jej zamażpójściu. Spróbowała odpędzić natrętne, nieprzyjemne myśli i choć częściowo podzielić entuzjazm matki, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Przymknęła powieki, próbując się opanować, ale pod nimi ujrzała tylko błękitne oczy... Natychmiast spojrzała znów na ogłoszenie.

– Czemu tak stoisz i nic nie mówisz? – zagadnęła ją matka tonem uradowanej małej dziewczynki. – Przecież to „Kurier

Polski”! Twój ślub będzie najgłośniejszym wydarzeniem nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju. Zobacysz, zrobimy uroczystość tak wzruszającą, że nawet ciotka Judyta uroni łzę, a o waszym weselu przez wiele kolejnych lat będą krążyły legendy. Tak się cieszę!

Sara Stein klasnęła z uciechy w dłoń i wyjąwszy delikatnie gazetę z rąk córki, z lubością spojrzała po raz kolejny na ogłoszenie, zapowiedź jej wielkiego towarzyskiego triumfu. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, po czym z niemal nabożnym szacunkiem złożyła dziennik i odłożyła go na pobliską komodę. Z trudem powstrzymała się, by nie sięgnąć po niego ponownie i nie przeczytać raz jeszcze anonsu o ślubie córki, westchnęła jednak i skierowała swą uwagę na dziwnie milczącą przyszłą pannę młodą.

– Esterko, dobrze się czujesz? – zapytała i dotknęła jej czoła.

– Wyśmienicie! – wybuchnęła Estera. – Jak na kukielkę roku przystało!

Sama nie wiedziała, skąd wzięło się uczucie rozdrażnienia, które nagle zawładnęło nią bez reszty, ani dlaczego dała mu upust wobec matki. Znała jej słabość do towarzyskiego splendoru i zwykle spoglądała na to jak wszyscy członkowie rodziny, z lekkim rozbawieniem i przymrużeniem oka. Jednak tym razem uświadomiła sobie, że jest wściekła. Przez moment przemknęła jej przez głowę ostrzegawcza myśl, że powinna była te emocje zatrzymać dla siebie, zwłaszcza że temperament w dużej mierze odziedziczyła po matce, ale było już za późno, by powstrzymać lawinę wydarzeń.

– Słucham? – zapytała matka podniesionym, lekko piskliwym głosem, zwiastującym kłopoty. – Kukielka?! Tak się czujesz? Ty?!

– Ja, mammo, ja!

Oburzona pani Stein głośno wciągnęła powietrze.

– A kto, moja droga, od ponad roku bawi się kosztem innych, przekładając na kolejne miesiące datę ślubu?

– Ha, a więc teraz to moja wina, że wuj Marek umarł?! Przecież mama wie, co mówi micwa *chesed szel emet*: „dobroć wobec zmarłych jest najwyższą formą dobroci”...

– Dość – przerwała jej gwałtownie matka. – Estero, miej trochę odwagi. Nie ośmieszaj spraw najważniejszych, używając ich jako argumentów mających usprawiedliwić niegodne zachowanie. Nikt nie bronił ci opłakiwać zmarłego, nawet jeśli Halacha ci tego nie nakazuje, ale roczna żałoba obowiązuje tylko po śmierci ojca i matki, a nie wuja. Zrobiłaś wspaniałe przedstawienie i opłakiwałaś wuja mocniej i dłużej niż jego własne dzieci!

– Sama mama mówiła, że gdy byłam dzieckiem, był moim ulubionym wujkiem!

– Powiedziałam tak raz, dokładnie raz, podczas obiadu z okazji jego urodzin, żeby sprawić przyjemność starszemu człowiekowi, a nie po to, by dawać ci pretekst do kapryszenia co do terminu własnego ślubu.

– Kapryszenia?! – zaperzyła się Estera.

– Kapryszenia! – przytaknęła matka, również podniesionym głosem. – Czemu ślub nie odbędzie się już teraz, za tydzień,

jeszcze w październiku?! Ta wątpliwie uzasadniona żałoba minęła, a ty wycofałaś w ostatniej chwili zaproszenia.

– Natan musiał wyjechać! Przecież mama wie!

– Wiem tyle, że Natan wyjechał, bo i on dostrzegł, że się wahasz i szukasz wymówek, żeby odwlec wasz ślub. Chciał dać ci czas, abyś zdecydowała, czego tak naprawdę chcesz! Z tego, co pamiętam, pojechał, bo pokłóciliście się o to, że nagle, gdy wszystko było już prawie gotowe, zapragnęłaś jednak nie brać ślubu jesienią, lecz na wiosnę, po Purimie. Popraw mnie, jeśli coś przeinaczyłam.

Estera otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale prawdziwość słów matki uderzyła ją z wielką mocą. Spojrzała na połyskujący na palcu złoty pierścionek z czerwonym jak wino rubinem. Przypomniało jej się, jak bardzo się cieszyła przez pierwsze tygodnie noszenia go, jaka dumna i ważna się czuła jako narzeczona Natana Zimmermana. A potem wydarzyło się coś, a raczej ktoś, kto odmienił wszystko. W życiu Estery pojawił się błękitnooki Tadeusz Zaslowski. Przy pełnym życia i fantazji chłopaku stateczny Natan wydawał się nijaki, a wszystkie jego dobre cechy zbladły tak bardzo, że ledwie potrafiła je dostrzec. Pierścionek wylądował w szufladce, a ona sama wpadła w wir emocji. Żyła chwilą, nie zastanawiając się nad przyszłością. Tadeusz drażnił ją niemiłosiernie, ale jednocześnie sprawiał, że w jego obecności zapomniała o całym świecie i czuła, że po prostu żyje. Kłóciła się z nim, by zaraz potem namiętnie się z nim godzić. Pochodzili z zupełnie innych światów, różnili się prawie we wszystkim, lecz Esterze długo wydawało się, że ledwie może oddychać, gdy Tadeusza

nie było w pobliżu. Mimo to nie zdecydowała się na zerwanie zaręczyn z Natanem. Wmawiała Tadeuszowi, że muszą spotykać się potajemnie przez wzgląd na jej surowych rodziców, o narzeczonym nie wspomniała. Była wówczas zbyt zajęta byciem na emocjonalnej huśtawce, żeby zdobyć się na szczerłość wobec samej siebie, na chwilę refleksji. By zastanowić się, co robi, czego naprawdę potrzebuje do szczęścia i czego chce od życia. Racjonalny Berek, który poznał ich sekret, pomógł jej wreszcie podjąć ostateczną decyzję o zerwaniu z Tadeuszem. Wkrótce potem Zasławski wyjechał do Anglii i od tej pory nie miała o nim żadnych wieści.

Nagle dotarło do niej, że matka ma rację – to ona, Estera, odsuwała od ponad roku ślub z Natanem. To ona robiła wszystko, żeby wciąż pozostawić sobie możliwość wycofania się. W tej jednej chwili pojęła także, co było powodem takiego zachowania z jej strony. Choć spotykali się w tajemnicy przez zaledwie kilka miesięcy, związek z Tadeuszem zostawił w jej sercu pustkę, której nie potrafiła niczym zapełnić. Starła się o nim nie myśleć, jednak nieustannie prześladowała ją wątpliwość, czy dobrze zrobiła, rozstając się z Tadeuszem za radą Berka. Wciąż na niego czekała, a gdy się nie pojawiał, czekała jeszcze miesiąc, i kolejny, starając się jak najdłużej pozostawić sobie możliwość ucieczki w jego ramiona. Bała się, bo ślub z Natanem oznaczał ostateczne wyrzeczenie się marzenia, którym ukradkowo żyła od tak dawna. Ze wszystkich sił pragnęła, by Tadeusz wrócił i nie pytając jej o zdanie, zawładnął nią bez reszty. Była rozdarta pomiędzy

namiętnością, jaką wzbudzał w niej Tadeusz, a rozsądkiem i cichym szeptem w duszy, który podpowiadał jej, że szczęśliwa będzie tylko przy Natanie. Od miesiący usiłowała wymyślić, w jaki sposób mogłaby być żoną dobrego Natana, wiernego, oddanego przyjaciela, który rozpieszczał ją, spełniając wszystkie jej zachcianki, i jednocześnie nie zrezygnować ze związku z Zasławskim. W ciągu paru chwil zrozumiała to, co kłębiło się w jej sercu przez ostatnie miesiące, i prawdę mówiąc, przeraziła się własnego odkrycia.

Matka, widząc jej zakłopotanie, była pewna, że córka się opamięta i tym razem ślub odbędzie się w wyznaczonym terminie. Zadowolona z osiągniętego efektu, postanowiła zmienić ton rozmowy na nieco bardziej życzliwy.

– Esterko, ja rozumiem, że się boisz... – zaczęła ostrożnie, nie chcąc popsuć już uzyskanego rezultatu. – Każda panna młoda obawia się tego, jak będzie wyglądało to jej nowe, wyśnzione życie. Trzeba przez to przejść, ignorując lęk, z podniesionym czołem, bo zapewniam cię, że przed tobą jest świetlista i pełna radości droga.

– Złota klatka... – szepnęła Estera bardziej do siebie niż do matki.

Pani Stein niestety miała doskonały słuch. W jednej chwili cała życzliwość zniknęła, ustępując miejsca rozdrażnieniu.

– Jesteś niewdzięczną, rozpieszczoną dziewczyną! Twój ojciec od dziecka na za wiele ci pozwalał. Jak widać, pobłażliwość nie uczy dojrzałości, a skrajnie rozkaprysza! Twój narzeczony świata poza tobą nie widzi! Jest gotów i ma możliwość dać ci

cały ten świat, a ty zamiast się cieszyć, opowiadasz brednie o złotej klatce.

Estera w duchu znów musiała przyznać matce rację. Przyszłość u boku Natana przeważnie wydawała jej się całkiem przyjemną perspektywą. Nie mogła jednak nic poradzić na to, że całując narzeczonego, nie czuła nic. Gdy chwycił ją niby ukradkiem za rękę, nie wstrząsał nią dreszcz rozkoszy. Gdy gładził jej włosy, nie zamykała powiek, gdy dotykał jej policzka, patrzyła mu prosto w oczy bez zawstydzenia. Coś było nie tak... a raczej wszystko było inaczej niż z Tadeuszem. Poczowała się nagle bardzo zmęczona tymi wszystkimi sprzecznościami panującymi w jej uczuciach.

– Kochasz się w kimś, Estero? – zapytała niespodziewanie matka, zupełnie jakby dosłyszała jej myśli.

Dziewczyna czym prędzej pokręciła przecząco głową. Bała się odezwać, aby nie zdradziło jej delikatne drżenie głosu. Matce jednak ten nieco zbyt pośpieszny gest i purpurowy rumieniec, który wystąpił na policzki córki, wystarczyły. Zrozumiała, że zadała właściwe pytanie. Nagle jej oczy zwężyły się, a twarz nabrała surowego, pełnego godności wyrazu.

– Posłuchaj mnie uważnie, bo powiem to tylko raz – powiedziała, nie podnosząc głosu, powoli cedząc każde słowo wypowiedane lodowatym tonem. – Zapomnij o nim, kimkolwiek jest. Nie zniszczysz sobie życia z powodu jakiegoś zauroczenia. Zaraz po Purimie zostaniesz żoną Natana Zimmermana, czy ci się to podoba, czy nie. I kiedyś z pewnością mi za to podziękujesz.

Estera szarpnęła głową i chciała coś powiedzieć, ale matka nie pozwoliła jej dojść do słowa.

– Dość. Skończyliśmy rozmowę. Muszę się położyć.

To mówiąc, opadła na przyozdobiony pasiastą kapą szezlong i przyłożywszy przedramię do czoła, zamknęła powieki. Estera siedziała jeszcze chwilę, przyglądając się matce w osłupieniu, po czym wyszła, cicho zamykając drzwi.

Rozdział 9

Michał potrzebował kilku dni, żeby ochłonać i odzyskać zdolność pogodnego spoglądania w przyszłość. Gdy obudził się następnego ranka po pamiętnej kolacji, podczas której ojciec przedstawił rodzinie swój plan na zdobycie cukierni Starczewskich, farsa, w którą został niezamierzenie wplątany, wydawała mu się nonsensowna. Nie mógł jednak zdobyć się na wycofanie się z całej tej afery. Począł zatem rozmyślać, jak zabrać się do tego niełatwego zadania, by słowa tymczasowo dotrzymać, ale i dziewczynie nie sprawić zanedo przykrości. W przeciwieństwie do ojca Michał był człowiekiem łagodnym i wrażliwym, który nie chciał nikogo krzywdzić.

W kamienicy Rubinlichta całe piętro zajmowała prywatna pensja dla dziewcząt. Michał często mijał na schodach jej wychowanki i ich pełne uwielbienia, tęskne spojrzenia nie uszły jego uwadze. Czasem któraś z odważniejszych dziewcząt, mijając go, upuszczała książkę, kajet lub pachnącą chusteczkę. Michał, jako dobrze wychowany młodzieniec, podnosił wypuszczony z małej, wiotkiej rączki przedmiot i czym prędzej oddawał, nie obdarzając jednak właścicielki upragnionym przez nią powłóczystym spojrzeniem, na podstawie którego mogłaby potem z koleżankami snuć domysły co do jego skrywanego uczucia względem niej. Chłopak oddawał zgubę i już, zachowując chłodną rezerwę dżentelmena, która jednakże nie wynikała z dumy czy chęci

wywyższenia się, a z wielkiej nieśmiałości, o którą nikt go nie podejrzewał.

Michał niejednokrotnie zauważał, jak na jego widok panienki płoną rumieńcem i intensywniej trzepoczą rzęsami, lecz nie potrafił zrobić z tej wiedzy użytku. Dziewczęta, zwykle chodzące grupkami, chichoczące i szepczące sobie do ucha, krępowały go, pozbawiały pewności siebie, zdolności do złożenia jakiegokolwiek zdania. Dlatego też przemykał obok nich, unikając wszelkiej konfrontacji, co niestety w oczach panienek dodawało mu tylko uroku.

I tym razem nie miał pojęcia, jak powinien się zabrać do okazywania względów Słodkiej Poli. Zapewne dużo czasu upłynęłoby, nim zdołałby się do niej zbliżyć, gdyby z pomocą nie przyszedł mu łut szczęścia. Pewnego październikowego popołudnia, kilka tygodni po rozmowie z ojcem, gdy zmęczony wracał z przystani do domu, nieoczekiwanie zaczęło padać. Spadające z nieba krople zdawały się z każdą minutą coraz większe, a przerwy pomiędzy nimi coraz krótsze. Nim zdołał się gdziekolwiek schować, lało jak z cebra. Uznał, że skoro i tak przemókł do granic możliwości, to równie dobrze może jechać dalej, nie zważając na deszcz. Szybciej dotrze do domu, szybciej zdejmie mokre ubrania, szybciej napije się czegoś ciepłego, jednym słowem: same korzyści. Ku zdumieniu kłębiących się w bramach przechodniów, Michał nonszalancko, ze swadą, jechał środkiem opustoszałego chodnika, jakby nie zauważał oberwania chmury.

Jechał szybko, więc wkrótce zrobiło mu się wcale ciepło, a gdy raz czy drugi pochwycił rzucone w swoim kierunku

zszokowane spojrzenie stojącego za szybą sprzedawcy lub kelnerki, wpadł w istic szampański nastrój. Chcąc dać upust radości, wypełniającej jego młodzieńczą pierś, wyrzucił obie ręce do góry i krzyknął z całych sił. Okazja do takiego zachowania na środku Marszałkowskiej nie zdarzała się często. Dziś jednak nikt nie mógł zwrócić mu uwagi czy skarcić go wzrokiem, bo wszyscy kryli się przed deszczem.

Skręcił z Marszałkowskiej w prawo, w Piękną, by po chwili pędzić już Lwowską w stronę placu Politechniki. I wtedy nieoczekiwanie dostrzegł Słodką Polę, stojącą w cieniu kamienicy Karola i Gustawa Kalwejtów. Najwyraźniej i ona postanowiła tego słonecznego popołudnia wybrać się na przejażdżkę rowerową. Stała teraz wciśnięta pod niewielki, bogato zdobiony secesyjny balkonik kamienicy i spoglądała na oparty o ścianę rower z wyrazem zmartwienia na nieładnej twarzy. Podjechał bliżej i dostrzegł, że dziewczyna złapała gumę.

– Może mógłbym pomóc? – zapytał, z emocji zapomniawszy o powitaniu.

Pola obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Choć rzadko go widywała, od razu rozpoznała w uprzejmym nieznanym syna Rakowskiego.

– Dziękuję, poradzę sobie – odparła dumnie i ani mrugnęła, choć przez sam środek jej twarzy spływała właśnie wielka kropla deszczu.

Niezrażony jej odmową Michał zsiadł z roweru i pochylił się nad uszkodzonym kołem. Konkretne zadanie, przed którym stanął, pomogło mu opanować zawstydzenie.

– To nic takiego. Haczek przebił oponę – rzekł, wyciągając z gumowej obręczy stalowy haczyk. – Przykleję łąkę, napompuję i będzie caca.

– Nie prosiłam pana o pomoc – fuknęła, choć jego obecność i znajomość rzeczy dodały jej otuchy.

– W takim razie przepraszam – powiedział Michał i podniósłszy się z kolan, sięgnął po swój rower.

– Dokąd się pan wybiera? – spytała Pola, a w jej głosie wyraźnie dało się wyczuć zniecierpliwienie. – Chyba nie zostawi mnie pan tutaj samej!

Michał spojrzał na nią skonfundowany. Przemoknięta, z włosami potarganymi od wiatru i wilgoci, nosem zaczerwienionym i ustami posiniałymi z zimna, wydawała mu się jeszcze mniej atrakcyjna niż obraz, który nosił w pamięci. Jedyne oczy – duże, ciemne, skrzące się humorem i pogodą ducha, której nawet obecne niezbyt sprzyjające okoliczności nie mogły zmącić – sprawiły, że poczuł do niej dziwną sympatię.

– Kazała mi panienska odejść... – zaczął niepewnie.

– Ależ skąd! Powiedziałam jedynie, że nie prosiłam pana o pomoc, a to co innego. Ale jeśli to dla pana tak istotne, gotowa jestem poprosić, byle tylko czym prędzej znaleźć się w domu.

Michał zajrzał do przytroczonej do bagażnika teczki i wyjął z niej gazetę, klej i łąki do dętek.

– Ciekawam, co jeszcze nosi pan w tej teczce – zachichotała Pola. – Jest pan, jak widzę, doskonale przygotowany na wszelkie wypadki losowe.

– Zapewniam, że wyłącznie na te związane z zapobieganiem skutkom codziennych podróży po warszawskich drogach, zwłaszcza jesienią – odparł wesoło, po czym przykazał Poli przytrzymać gazetę tak, by deszcz nie padał na koło jej roweru.

Osuszył oponę, a następnie szybko i umiejętnie zakleił dziurę gumową łątką. Skończył niemal w tym samym momencie, w którym deszcz ostatecznie rozmoczył gazetę i na jego głowę chlusnęła dodatkowa porcja wody.

– Ładnie to panu wyszło – pochwaliła Pola. – Jak to pan powiedział... Caca!

Zaśmiała się, a on nie zdołał się powstrzymać i zawtórował jej. Śmiali się w głos, stojąc w strugach deszczu na opustoszałej ulicy. Ona z rozmiękłą gazetą w dłoni, on w jednej ręce ściskający tubkę z klejem; drugą wciąż dociskał łątkę. Po chwili Michał wyciągnął z teczki niewielką pompkę rowerową, czym wywołał u dziewczyny kolejny atak śmiechu.

– Doprawdy, paradny pan jest z tą swoją teczką pełną skarbów! – wykrzyknęła Pola.

W innych okolicznościach podobne słowa zapewne uraziłyby Michała, ale córka pana Antoniego wypowiedziała ostatecznie zdanie w taki sposób, że zamiast dotknięty, poczuł się doceniony.

– Gotowe – stwierdził, dokręcając wentyl.

Pola spojrzała mu w oczy z wdzięcznością, jednocześnie zastanawiając się, jak to możliwe, że tak przyjemny i uczynny chłopak jest synem Rakowskiego.

– Dziękuję – powiedziała po prostu i wsiadła na rower. – Proszę kiedyś wpaść do cukierni na Wilczej, zrewanżuję się za przysługę najlepszym ciastkiem w mieście.

Michał stał jeszcze chwilę, przyglądając się dziewczynie niezgrabnie odjeżdżającej w stronę Marszałkowskiej. Deszcz zalewał mu twarz, ręce i kolana miał unurzane w błocie, a zmęczenie po całym dniu jeszcze się wzmogło, mimo to ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że się uśmiecha, a w sercu pojawiło mu się jakieś nieznane dotąd ciepło.

Kilka dni później, przełamawszy onieśmienie, po skończonym treningu zamiast jak to miał w zwyczaju udać się prosto do domu, postanowił wpaść do cukierni „U Hanki”. Tłumaczył sobie, że wypadało umożliwić Słodkiej Poli odwdziwienie się za przysługę, którą jej wyświadczył. Sam przed sobą nie chciał bowiem przyznać, że odczuwał palącą potrzebę zobaczenia dziewczyny.

– Bardzo rozsądnie z pana strony – powitała go Pola z udawaną powagą. – Jest to fakt tyleż obiecujący, co i pocieszający, że pozwoli mi pan wreszcie spłacić dług wdzięczności. Zaczynałam się bać, że będę musiała pozostać pana dłużniczką do końca moich dni, a trzeba panu wiedzieć, że ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej nie lubię mieć długów.

Michał patrzył na dziewczynę, nie wiedząc, jak ma odpowiedzieć na to wylewne przywitanie, jednak Pola najwyraźniej nie zamierzała wcale czekać na jego odpowiedź.

– Proszę stanąć gdzieś z boku i poczekać, aż skończę. Posadziłabym pana przy stoliku, ale niestety przyszedł pan

w porze podwieczorku i wszystkie są zajęte – perorowała z prostotą, jednocześnie przesypując herbatę z wielkiej urny do mniejszego słoika. – Zaraz skończę i będę mogła się panem zająć jak należy. Proszę poczekać.

Młody Rakowski posłusznie odsunął się od kasy i stanął nieopodal. Niedbale oparł się o lśniący kontuar i zabawiał się wyglądaniami na ulicę. Stojąc w pozie pełnej niewymuszonej elegancji i szyku, przyciągał zaciekawione spojrzenia klientów. Pola wprawdzie starała się nie patrzeć w jego stronę, ale po chwili przyciągnął i jej wzrok, tak iż raz po raz zerkała nań, pakując kolejne porcje słodkości i przyjmując za nie zapłatę. Michałowi Rakowskiemu nie można było odmówić wdzięku, który w połączeniu z chłopięcą urodą robił bardzo korzystne wrażenie.

– To być nie może – powiedział w pewnej chwili Michał, wciąż nie odwracając się w jej stronę.

Dźwięk jego głosu wyrwał Polę z zamyślenia; dopiero teraz zorientowała się, że zostali w sali sklepowej sami.

– Niby panienska taka zajęta, ale skrycie mnie podpatruje – powiedział zaczepnie, sam nie dowierzając, że tak odważne słowa wychodzą z jego ust.

To mówiąc, wykonał obrót wokół własnej osi i spojrzał Poli prosto w oczy. Dziewczyna zaczerwieniła się i po raz pierwszy w życiu zupełnie nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Pan jest... – zaczęła.

– Arogant? – podpowiedział, patrząc na nią ciepło. – Impertynent?

– Złośnik! – dokończyła, niezbyt zadowolona, że żadna bardziej wyszukana inwektywa nie przyszła jej do głowy. Michał roześmiał się, szczerze ubawiony wyrazem oburzenia, który odmalował się na jej twarzy. Odchylił lekko głowę i śmiał się tak intensywnie, że Pola mimowolnie się rozchmurzyła.

– Nieznośny pan jest! – dodała po chwili, żartobliwie nadąsana.

– Co nie zmienia faktu, że winna mi jest panienka ciastko, i to najlepsze w mieście – odparł Michał.

Od tego dnia odwiedzał cukiernię „U Hanki” niemal codziennie. Wpadał na kawę i ciastko tygodnia pomiędzy porannym treningiem a wykładami na uniwersytecie. Zdarzało się nawet, że i po zajęciach zaglądał niby przypadkiem na Wilczą, żeby zamienić z Polą słówko, nim będzie musiał gnać z powrotem na Powiśle, by zdążyć na trening. Od owego październikowego popołudnia w jego spokojnym i poukładanym świecie zagościł pośpiech. Michał ciągle się spieszył, spóźniał lub w najlepszym razie zziajany wpadał w ostatniej chwili, biegł, pędził i bił kolejne rekordy prędkości w jeździe na rowerze po mieście. Choć fizycznie dużo go to kosztowało, nigdy dotąd nie czuł się tak szczęśliwy, jak w chwilach, kiedy mógł przebywać z Polą, która z każdym kolejnym dniem stawała mu się coraz droższa.

Sam nie wiedział kiedy ta dziewczyna, do niedawna tak nieciekawa i niezbyt urodziwa, stała się mu niezbędną do życia. Nie mógł wytrzymać dnia, nie widząc jej, nie słysząc jej śmiechu, nie wykonując jej władczych poleceń, wypowiedanych zwykle żartobliwym tonem. Właściwie nic się

po między nimi nie działało, a jednak wstęga bliskości, utkana owego deszczowego popołudnia, zaciskała się coraz mocniej wokół jego serca.

On, który tyle razy wyśmiewał się z kolegów przeżywających historie miłosne, dla którego poza wioślarstwem niewiele rzeczy miało w życiu znaczenie, był teraz gotów na jedno skinienie Słodkiej Poli rzucić wszystko, zapomnieć o tym, kim był, czego pragnął, jakie miał marzenia i plany, byle tylko móc przebywać w jej obecności. Wprawdzie nie poznawał i nie rozumiał samego siebie, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało, czuł się wspaniale. Jedyłą jego udręką było to, że dziewczyna wciąż traktowała go z ową koleżeńską pobłażliwością, nie dając żadnych nadziei, by przypuszczać, iż odwzajemnia jego uczucia.

Wszystkie oznaki jego przywiązania przyjmowała z radością, najwyraźniej odczytując je jednak mylnie jako dowody przyjaźni; każdą sytuację, która miała w niej wywołać romantyczne skojarzenia, mimowolnie obracała w żart.

Pewnego dnia, nie mogąc dłużej wytrzymać niepewności co do jej uczuć, Michał postanowił zaprosić ją na spotkanie w miejscu bardziej sprzyjającym stworzeniu intymnej atmosfery niż cukiernia „U Hanki”.

– Panno Polu... – zaczął nieśmiało. – Ekhem... Może wybralibyśmy się razem na tańce?

Pola stanęła w pół kroku, nie wypuszczając z ręki srebrnych, długich szczypiec, w których trzymała przekładane właśnie na paterę ciastko.

Michał czuł, że serce bije mu jak oszalałe, a na twarzy pojawia się rumieniec wstydu. Gdy gotów był odwrócić się na pięcie i uciec, zbłąźniwszy się doszczętnie, Pola wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Tylko pan mógł wpaść na podobny pomysł – wykrztusiła, śmiejąc się w głos. – Wyobraża pan sobie... wyobraża pan sobie nas razem na parkiecie?

To mówiąc, ryknęła kolejną salwą swojego wspaniałego śmiechu. Michał osłupiał, lecz po chwili zastanowienia musiał przyznać, że nie trafił najlepiej z zaproszeniem. Rzeczywiście – na parkiecie stanowiliby parę tyleż intrygującą, co niedopasowaną. Ona potężna, ciemnowłosa, o rysach surowych i dojrzałych, mimo swoich dziewiętnastu lat wyglądała jak nadzwyczaj poważna matrona. On – drobny, płowowłosy, z okrągłymi okularami na nosie, które jeszcze odejmowały mu lat – przywodził na myśl nieco wyrośniętego chłopca, którego ktoś przez pomyłkę ubrał w męskie odzienie. Wyginający się w fokstrotowych płasach lub w uścisku tanga z pewnością stanowiliby wspaniałą rozrywkę dla pozostałych uczestników zabawy.

– Panie Michale, proszę na nas spojrzeć, przecież my nie jesteśmy dla siebie – powiedziała Pola, ocierając łzy, które popłynęły jej z oczu od śmiechu.

Michał postanowił, że tym razem nie da za wygraną.

– A gdybym się nie zgodził? – zapytał, poważniejąc.

Dziewczyna nie odpowiedziała, wciąż nie mogąc opanować wesołości.

– Panno Polu – ciągnął desperacko Michał, chcąc ją przekonać o powadze swoich słów. – Może i ja do panienki nie dorastam, ale jak dla mnie panienka jest idealna.

Mimo woli, wypowiadając ostatnie słowa, zaczerwienił się jeszcze bardziej, lecz i to uszło uwadze rozbawionej Poli, przekonanej, że to tylko ich niemal rytualne, codzienne przekomarzanie.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknęła kpiąco.

– Panienka mi nie wierzy? – Michał był zrozpaczony, że Pola potraktowała jego płomienne wyznanie jak kolejny koleżeński żart.

– Przecież mówię, że wierzę.

– A ja widzę, że jest inaczej.

– Może pora zatem wymienić szkła w okularach – powiedziała, nadal pysznie się bawiąc. – Zresztą... panie Michale, jakkolwiek jest pan miłym kompanem, na mnie już czas. Porozmawialiśmy, pożartowaliśmy, a praca jak była, tak i pozostała niezrobioną.

Michał chwycił kapelusz, który uprzednio odłożył na blat, i już miał kierować się ku wyjściu, gdy tknięty nagłym przecuciem odwrócił się i zapytał:

– Panno Polu, a czy panienka aby nie kocha innego?

Miał wrażenie, że lada moment serce wyskoczy mu z piersi, życie z niego ujdzie. Czuł się jak oskarżony czekający na wyrok skazujący na długie lata więzienia. Pola, skończywszy układać eklery, zajęta już porządkowaniem ciasteczek tacowych, nie dostrzegła bladości jego twarzy ani drżenia warg.

– O tak, tak, właśnie to... – powiedziała w roztargnieniu.

Michał poczuł, że wszystko przepadło. Oczyma wyobraźni widział bezdenną przepaść otwierającą się u jego stóp.

– Rozumiem – szepnął i skierował swe kroki w stronę wyjścia.

– ...kocham ojca i brata, i starego Eustachego, i prezydenta Starzyńskiego chyba też kocham za te wspaniałe kwietniki, które nakazał zbudować tuż pod naszymi oknami – ciągnęła, nie zauważywszy wrażenia, jakie jej słowa zrobiły na chłopaku. – Naprawdę piękne, na wiosnę znów wypełnione będą bratkami we wszystkich kolorach tęczy. Ach, doskonale.

Podsumowała swoją pracę, wyprostowała się, wytarła ręce w serwetę i dopiero wówczas zauważyła Michała, już w kapeluszu, który zastygł tuż przy ladzie w dość nietypowej pozie, przyglądając się jej z zachwytem i przerażeniem.

– Pan wychodzi? – zapytała.

Pytanie wyrwało chłopaka z otępienia.

– Tak, tak, wpadłem tylko po makaroniki dla matki.

– A zatem proszę je kupić – powiedziała wesoło Pola.

Rozdział 10

Jan siedział na kanapie w salonie państwa Żabińskich i czuł się coraz bardziej zniecierpliwiony. Był ostatnimi czasy częstym gościem w domu dyrektorostwa warszawskiego zoo. Leon wkrótce po powrocie do Warszawy zaprosił go na kolację do Willi pod Zwariowaną Gwiazdą, by przedstawić przyjaciela rodzinie. Nigdy dotąd jednak nie spóźniał się tak bardzo na umówione spotkanie. Zegar rytmicznie odmierzał kolejne mijające kwadranse, a Leon nadal się nie zjawiał. Zasławski wypił herbatę podaną mu przez gospodynię, zjadł maślane herbatniki, przejrzał dzisiejsze gazety i w końcu nie było już nic, czym mógłby zająć ręce i myśli. Rozdrażniony, zaczął spacerować po salonie państwa Żabińskich, przyglądając się bez zainteresowania zgromadzonym pamiątkom z podróży po całym świecie. Dla kogoś innego taka mnogość przedmiotów pochodzących z odległych zakątków ziemi stanowiłaby nie lada atrakcję i z pewnością na długo pochłonełaby uwagę, jednak Jan był zbyt roztargniony, by się nimi zainteresować. Podniósł figurkę żółwia, wyrzeźbioną w kości słoniowej, i nawet nie przyjrząwszy się jej uważniej, odstawił ją na miejsce. Na środku salonu stał wielki, drewniany globus. Jan zakręcił nim kilka razy od niechcienia, po czym zirytowany usiadł znów w fotelu. Zza okna dobiegały przytłumione odgłosy dzikich zwierząt. Przez chwilę zabawiał się, próbując zgadnąć, którego z lokatorów warszawskiego zoo słyszy, ale i tym szybko się znudził. Od dawna nie udało mu się na

czymkolwiek skupić uwagi na dłuższy czas, a obecne podenerwowanie jeszcze pogłębiało jego rozproszenie.

Począł wyrzucać sobie, że w ogóle dał się namówić na wyjście na koncert do filharmonii. Choć przyjął zaproszenie, wcale nie pragnął tam iść. Sale koncertowe napawały go wstrętem. Nie chciał słuchać muzyki, nie chciał odczuwać związanej z nią tęsknoty, a nade wszystko nie chciał znaleźć się znów w miejscu, które oboje z Marią tak bardzo lubili, nie chciał naruszać starych ran, zaglądając pod dopiero co naklejony opatrunek obojętności.

Nie chciał, ale Leon nic o tej jego niechęci nie wiedział. Ze strzępów rozmów między przyjaciółmi i z dziwnego zachowania Jana młody Żabiński wywnioskował wprawdzie, że przed wyjazdem z Warszawy Zasławskiemu musiało się przydarzyć coś potwornego, ale był człowiekiem zbyt dobrze wychowanym i taktownym, by zadawać pytania. Nieświadom rozterek, które wywoła w duszy przyjaciela, z właściwą sobie prostodusznością zaprosił go na uroczysty koncert z okazji siedemnastej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Znaczenia wydarzeniu dodawało to, że po raz pierwszy podczas rocznicowych obchodów miało zabraknąć zmarłego pół roku wcześniej, dokładnie w dziewiątą rocznicę zamachu majowego, nieodżałowanego przez wszystkich marszałka Piłsudskiego. Miał to być szczególny koncert, poświęcony pamięci wodza, któremu zdaniem wielu Polska zawdzięczała swoje istnienie. Wciąż nieutulona w żalu po śmierci ukochanego ojca kraju Warszawa od tygodni żyła przygotowaniami do obchodów święta, które choć oficjalnie

wciąż jeszcze nie doczekało się rangi państwowego, a co za tym idzie nie było dniem wolnym od pracy, dla wielu osób było najdonioślejszym wydarzeniem w roku. Gazety poświęcały całe kolumny opisywaniu wzruszających szczegółów przygotowywanych specjalnie na tę okazję. Jak co roku najważniejsza była parada wojskowa, podczas której w pierwszą niedzielę po jedenastym listopada ulicami miasta przejechać miały czołgi, wozy pancerne i kawaleria, a za nimi przemaszerować dziesiątki tysięcy żołnierzy różnych formacji, napawając naród wiarą w potęgę Wojska Polskiego. Jednakże w tym roku patriotyczny koncert w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej miał być wydarzeniem niemal równie wysokiej rangi. Każdy poważany dygnitarz miejski dokładał wszelkich starań, by tego wieczoru zasiąść na jednym z wyściełanych pluszem foteli wspaniałego gmachu świątyni muzyki przy Sienkiewicza i móc uczestniczyć w tym szczególnie podniosłym wydarzeniu. Dyrektorostwo Żabińscy, z racji zajmowanego stanowiska, otrzymali kilka dodatkowych zaproszeń. Część z nich podarowali Ryszardowi i bratankom, aby młodzi mogli udać się na koncert we własnym towarzystwie. Leon zaprosił Jana i Berka, z którymi podczas pobytu w Monachium bardzo się zżył. Stein z żalem odmówił, gdyż tego dnia jego rodzice organizowali raut dobroczynny na remont kotłowni w suterenie domu sierot przy Krochmalnej 92, prowadzonego przez Janusza Korczaka i Stefanię Wilczyńską. Jan również chciał wymówić się od przybycia, ale zaproszenie Leona było tak entuzjastyczne i serdeczne, że nie zdołał znaleźć odpowiednich słów. Im bliżej było do dnia

koncertu, tym rozpaczliwiej próbował znaleźć jakieś usprawiedliwienie swojej nieobecności, ale żadna stosowna i wiarygodna wymówka nie przychodziła mu do głowy.

Klientów, a co za tym idzie spraw, wciąż mieli z Berkiem bardzo niewielu. Od ich powrotu do Warszawy minął ponad miesiąc, a kancelaria wciąż świeciła pustkami. Wymarzony wir pracy, będący idealnym wyjaśnieniem unikania wszelkich form życia towarzyskiego, niestety nadal się nie pojawił. Co gorsza, oszukanie w tej kwestii Leona było niemożliwe, gdyż chłopak po powrocie nadal, o ile pozwalały mu czas i pozostałe obowiązki, pomagał im prowadzić działalność.

W zasadzie pomagał wyłącznie Berkowi, bo Jan większość czasu spędzał w pokoju hotelowym, wpatrując się w sufit, raz po raz zapadając w pełen niepokojących wizji półsen lub czytając dzieła niemieckich filozofów doby romantyzmu, z którymi w ostatnim czasie silnie się utożsamiał. Wyjazd do Monachium nie zmienił niczego. Jego dusza wciąż ogarnięta była ciemnością, której nie potrafił rozproszyć. Mimo szybko topniejących oszczędności pozwalał sobie na zbytek mieszkania w hotelu, kupując w ten sposób spokój zewnętrzny i możliwość odsunięcia w czasie spotkania z rodzicami.

Nie zawiadomił ich o swoim przyjeździe, także Berkowi nakazując zachowanie absolutnej dyskrecji. Tłumaczył, że nie chce martwić profesorstwa Zasławskich swoimi problemami finansowymi, i zapewniał, że odwiedzi ich, gdy tylko interes znów zacznie prosperować. Berek przyjmował te wątpliwej wartości wymówki bez komentarza, choć sam uważał, że

państwo Zasławscy o wiele bardziej ucieszyliby się z powrotu syna, niż zmartwili jego kondycją finansową. Domyślał się jednak prawdziwego powodu ukrywania przez Jana powrotu i uszanował jego decyzję. Przyjaciel był mu za to wdzięczny. Własne wyrzuty wystarczająco go dręczyły, nie potrzebował dodatkowych wymówek i upomnień. Niezręcznie było mu ukrywać się przed własną rodziną, przebywającą w tym samym mieście. Wiedział, że każdego dnia naraża się na spotkanie kogoś bliskiego czy znajomego i ujawnienie nieprzyjemnej prawdy. Najprościej byłoby zawiadomić ich o powrocie lub zwyczajnie odwiedzić, ale z każdym dniem pobytu w Warszawie takie spotkanie wydawało się Janowi trudniejsze, co dzień rano czuł się na nie jeszcze mniej gotowy niż poprzedniego wieczoru. Od śmierci Marii nie rozmawiał w cztery oczy ani z matką, ani z ojcem. Owszem, wymieniali informacje, ale wszyscy troje czuli, że pojawił się między nimi mur zbudowany z tajemnic, niedomówień, rozczarowań, bezradności, zawiedzionego zaufania, a przede wszystkim wielkiego smutku. Nie potrafili rozmawiać jak dawniej, a wspomnienie owej bliskości i swobody, które przeminęły, krępowało ich jeszcze bardziej.

Jan miał nadzieję, że upływający czas i rozłąka pozwolą zbliznić się ranom i ułatwią powrót na łono rodziny, ale tak się nie stało. Na samą myśl o spotkaniu, podczas którego rodzice nie zadaliby żadnego z nurtujących ich pytań, o gęstniejącej z każdą minutą atmosferze niedopowiedzeń i obaw, niezręcznych próbach pocieszenia lub co gorsza

dodawania mu otuchy, odczuwał niechęć. Nie, stanowczo nie był jeszcze gotów na wizytę w domu.

Zatopiony w niewesołych myślach, nie zauważył, kiedy w pokoju pojawił się ktoś jeszcze. Gdy wyczuł czyjąś obecność, podniósł raptownie głowę. Na środku miękkiego pluszowego dywanu stała bosa kobieta. Jan dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że ją zna.

W długiej, lśniącej, grynszpanowej sukni, która dodawała blasku jej jasnej cerze, Zuzanna Żabińska wyglądała jak nimfa leśna z ilustracji w książce z bajkami. Kasztanowe, proste włosy, które dotąd zawsze nosiła związane, dziś opadały miękko na szczupłe, piegowate ramiona. Wydawała się krucha jak szkło. Wielkie, dziecinne, brązowe oczy, kształtny nos i cudownie wykrojone usta tylko dopełniały ową i tak doskonałą kompozycję. Jan nie mógł oderwać od niej wzroku. O niczym nie myślał, nic nie czuł, tylko patrzył, jakby we Wszechświecie byli tylko on i nieziemsko piękna młoda kobieta, stojąca przed nim.

Przez ten cały czas Zuzanna stała bez ruchu, dumnie wyprostowana, i patrzyła prosto na niego. Jan uświadomił sobie, że młodsza siostra Leona nigdy dotąd nie zachowywała się tak w jego obecności. Zwykle gdy Jan zjawiał się w ich domu, natychmiast znikwała, najczęściej bez przywitania. Kiedy podczas wizyt podawała mu herbatę, unikała jego wzroku i mamrotała coś niezrozumiałego w odpowiedzi na podziękowania z jego strony. Ani razu nie skorzystała z zaproszenia brata, by dotrzymała im towarzystwa i przyłączyła się do rozmowy. Gdy nie dalej jak tydzień temu

informowała go, że Leona nie ma w domu, mówiła ledwie słyszalnym głosem, wpatrując się intensywnie w jego buty. Pewnego razu, kiedy zadzwonił do Leona, Zuzanna podniosła słuchawkę i radosnym tonem głośno i wyraźnie przywitała dzwoniącego, jednak gdy tylko Jan się przedstawił, głęboko wciągnęła powietrze i bez słowa odłożyła słuchawkę na stolik. Jan słyszał jej oddalające się kroki, a po chwili do telefonu podszedł Leon. Zasławski nadał jej wówczas w myślach przydomek dziwaczki i nie zaprzętał sobie głowy myśleniem o Zuzannie. Jednak teraz nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak o stojącym przed nim zjawisku. Nagle z zawstydzeniem stwierdził, że po raz pierwszy od wielu miesięcy jego serce zabiło mocniej na widok kobiety. Mimo swoich dwudziestu pięciu lat poczuł się jak uczeń gimnazjum, skrzępowany i onieśmielony obecnością niezwykle urodziwej dziewczyny. Nie wiedział, jak ma się zachować, czy powinien do niej przemówić, czy milczeć. Zuzanna wybawiła go z kłopotu, odzywając się pierwsza.

– Leon dzwonił – powiedziała bez powitania.

– Hm..? – zdołał wykrztusić pytająco, wciąż nie śmiejąc spojrzeć jej w oczy.

Był pewien, że dziewczyna zauważyła, jakie zrobiła na nim wrażenie.

– Spóźni się – poinformowała rzeczowo, choć wyraźnie dało się wyczuć, że kontrolowanie własnego głosu przychodziło jej w tym momencie z wielkim trudem.

– Ach, tak? – odparł Jan, któremu żadna mądrzejsza odpowiedź nie przyszła do głowy.

– Powiedział... – zaczęła i urwała, jakby nie była pewna, czy chce przekazywać dalszy ciąg wiadomości. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczyło, by Jan z zaciekawieniem podniósł głowę.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. To było jak uderzenie pioruna. Mężczyzna poczuł dreszcz, który wstrząsnął całym jego ciałem. Szybko odwrócił wzrok. By ukryć emocje, sięgnął do marynarki po opakowanie pabianickich miętówek. Drżącą dłonią skierował posrebrzane, płaskie puzderko w kierunku Zuzanny, ta jednak pokręciła przecząco głową. Jan wyciągnął jedną pastylkę, włożył do ust i poczuł, że powoli odzyskuje panowanie nad sobą.

– Bardzo się spóźni? – spytał po chwili, przerywając milczenie.

– Nie zdąży przyjechać do domu – powiedziała tak prędko, jakby chciała mieć za sobą konieczność wypowiedzenia tych słów.

Jan jęknął. Poczuł zalewającą go nagle falę złości. Nie był tylko pewien jej przyczyny. Czy chodziło wyłącznie o to, że Leon, na którego tak długo czekał, się nie zjawi, czy może był zły z powodu wrażenia, jakie zrobiła na nim Zuzanna, i tego, że nie potrafił lepiej skryć przed nią swoich emocji?

– Jest ze stryjem w urzędzie. Brakuje ważnego dokumentu – dodała szybko Zuzanna, pragnąc usprawiedliwić brata, a może zatuszować własne zmieszanie. – Leon usiłuje znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, ale zabawią tam jeszcze dłuższą chwilę. Powiedział, że spotkamy się na miejscu.

– My? – zapytał Jan bez zastanowienia i pożałował wypowiedzianych słów, gdy tylko ich brzmienie dotarło do jego uszu.

Zuzanna skinęła głową, a brązowe pasma jej lśniących włosów zatańczyły w świetle rzucanym przez stojącą nieopodal lampę.

– Stryj wydał już dyspozycję, by pan Władek przyjechał i odwiózł nas na miejsce. Stryjenka Antonina jest na spotkaniu literatek na Nowym Świecie i stamtąd wszystkie panie udadzą się na koncert razem. Henryk, wracając z uczelni, podjedzie zaś po stryja i Leona, więc po nas przyślą pana Władka – nieskładnie wyliczyła na jednym oddechu. Jan przyjrzał się jej uważnie. Intensywność jego spojrzenia zawstydziła ją. Spuściła wzrok, czując się tak, jakby zrobiła coś niestosownego.

– W porządku – rzekł po chwili Jan już całkiem swobodnym tonem, najwyraźniej odzyskawszy panowanie nad sobą. – Niech i tak będzie.

Jakiś czas później siedzieli obok siebie na tylnym siedzeniu przestronnej limuzyny dyrektora Żabińskiego, mknąc w kierunku mostu oficjalnie wciąż noszącego nazwę Aleksandryjskiego, choć mieszkańcy Warszawy nazywali go mostem Kierbedzia lub po prostu Pierwszym Mostem. Choć zdaniem wielu trudno było nazwać go estetycznym, Jan lubił jego ażurowo-stalowy wygląd. Gdy był małym chłopcem, ojciec często przyprowadzał ich tu na spacer i potrafili godzinami krążyć po drewnianych kładkach, zmyślnie oddzielonych od ruchu kołowego, umieszczonych po obu stronach. Lubiał

przyciskać twarz do chłodnych kratek i spoglądać na piętrzące się pod nim wody Wisły. Podczas spacerów ojciec opowiadał im mnóstwo ciekawych historii związanych z mostem. W uszach Jana rozbrzmiał nagle śmiech trzech małych chłopców, którzy nie mogli uwierzyć, że ich ojciec w młodości jeździł tędy pojazdem nazywanym ropuchą, czyli obłym, przysadzistym omnibusem konnym.

Wspomnienie owej beztroskiej chwili wywołało bolesny skurcz żalu i tęsknoty. Jan bezwiednie potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie pogodną wizję bezpowrotnie minionych chwil szczęścia. Skupił uwagę na statkach pasażerskich przycumowanych na Powiślu, o tej porze roku rzadko używanych. Ze zdziwieniem dostrzegł, że przy pływającej przystani Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego mimo chłodu i późnej godziny rozgrzewali się młodzi wioślarze, zapewne szykując się do wieczornego treningu. Ten obraz niespodziewanie przypomniał mu o ustawach norymberskich.

Logika dziejów wskazywała, że skoro Hitler przy pomocy swoich popleczników za mniejszym lub większym przyzwoleniem różnych grup społecznych zdołał nadać rangę powszechnie obowiązującego prawa aktom o tak haniebnej treści, niewątpliwie nadchodziły nowe, ciężkie i przerażające czasy. W Europie coraz częściej mówiło się o możliwości wybuchu wojny. Patrząc na rozbawionych chłopców z wiosłami w rękach, zaczął się zastanawiać, ilu z nich przyjdzie zginąć za niepodległość Ojczyzny, ilu przeżyje, poniosłszy ofiary większe nawet niż śmierć – utratę zdrowia, kalectwo, stratę

najbliższych, rozłąkę ze wszystkimi i wszystkim, co kochają. Ilu zdradzi, ilu dochowa wierności ideałom, ilu z nich ocali honor, skrawek ojczystej ziemi, ilu zachowa cokolwiek z tego, co teraz wydaje się niezbędne do życia, ilu zdoła zmierzyć się ze świadomością końca ich świata i spróbuje, mimo ran na ciele i duszy, na zgliszczach zacząć budować nową rzeczywistość.

W końcu, znudzony apokaliptycznymi wizjami, które od powrotu z Monachium nawiedzały go coraz częściej, zapatrzył się w poprzecinane kratownicą mostu, ciemniejące z każdą chwilą wody Wisły i pograżył w myślach, w których życie, miłość, śmierć, przyjaźń, zło, dobro, prawda i fałsz mieszały się z sobą do tego stopnia, iż zapytany, nie potrafiłby ubrać w słowa dróg, którymi podążały. Za szybą migwały obrazy miasta, powoli przykrywanego zasłoną mroku kończącego się dnia.

Nagle na dłoni leżącej swobodnie na siedzeniu poczuł miękki i ciepły dotyk. Wzdrygnął się gwałtownie, lecz wiedziony nieokreślonym przecuciem, nie poruszył ręką. Gdy zaskoczenie minęło, uświadomił sobie, że to Zuzanna przykryła jego dłoń swoją małą rączką. Był to nieśmiały, delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla gest czułości, której tak dawno nie doświadczył i nie miał prawa doświadczyć już nigdy więcej.

W jednej chwili wszystkie myśli Jana sformułowały się i wyklarowały cały swój brutalny przekaz. Bez słowa, gwałtownie cofnął rękę i czując, że brakuje mu powietrza, zastukał w szybę szoferki.

– Panie Władysławie, proszę się zatrzymać. Wsiadę tutaj. Zapomniałem, że mam dziś jeszcze jedną sprawę w sądzie.

Szofer postąpił mu w lusterku zdziwione spojrzenie. Był wieczór i sądy z całą pewnością już nie pracowały, dyrektor Żabiński zaś wyraźnie kazał przywieźć pana Zasławskiego i bratanicę na koncert do filharmonii. Pan Włodek jednak wykonywał swój zawód od dawna i wiedział, że ludzie, których woził, często zachowują się irracjonalnie i nie należy poświęcać zbyt wiele czasu na próby zrozumienia, co nimi powoduje.

Zatrzymał się więc więc czym prędzej na chodniku przed pobliską apteką. Jan skinął Zuzannie głową, nawet na nią nie patrząc, i wysiadł. Nie odwracając się za siebie, zaczął iść szybkim krokiem w kierunku Łazienek. Poczł nagłe, nieodparte pragnienie znalezienia się w domu. Chciał zobaczyć się z matką i z ojcem, bez względu na to, jak będzie wyglądało to spotkanie. Zajście z Zuzanną, która tego dnia z całą pewnością wyznała mu miłość, uświadomiło mu, jak bardzo czuje się samotny.

Rozdział 11

Jan, niesiony niemal zapomnianymi emocjami i uczuciami, których nie potrafił nawet przed samym sobą odsłonić i nazwać, prawie przebiegł całą długość Łazienek. Ubrany w elegancki płaszcz, frak i wizytowe pantofle, nie zważając na kałuże, chodniki śliskie od wciąż siąpiącego, lodowatego deszczu czy kulących się pod parasolami przechodniów, parł naprzód, jakby od tempa przemieszczania się zależało w tej chwili jego istnienie. Biegł w granatowej ciemności wieczoru, coraz szczelniej okrywającej miasto, które wydawało mu się znajome i obce jednocześnie. Czuł pełgające gdzieś w głębi serca uczucie zadowolenia, które zwykle ogarnia człowieka zbliżającego się do domu, zwłaszcza gdy wraca doń po dłuższej nieobecności. Jednak to uczucie było stłumione przez ogromny żal, tym mocniej zalewający mu duszę, im bliżej celu się znajdował. Ból wywołany przez powracające wspomnienia zapierał mu dech w piersi. Nie chciał się tak czuć. Zapytywał samego siebie, czy aby na pewno chce wracać.

W niespełna pół godziny później znalazł się przed drzwiami. Spędził tu beztroskie dzieciństwo i młodość, a mimo to przed wejściem zawahał się. W jego duszy do głosu znów doszedł paraliżujący strach. Świadomość tego, jak bardzo zawiódł zaufanie rodziców, onieśmieliła go. Nie mógł spojrzeć im w oczy, nie był na to gotowy. Bał się tego, co może w nich zobaczyć. Mieszaniny tajonego wyrzutu, żalu, współczucia i litości – zwłaszcza tych ostatnich nie mógłby znieść.

Po chwili jednak pragnienie zagłuszenia trawiącej go bezlitośnie od tak dawna samotności, którą uświadomiło mu nagłe doświadczenie bliskości Zuzanny, okazało się silniejsze. Zanim znów opadły go wątpliwości, zapukał mocno do drzwi. Usłyszał znajome, niespieszne szuranie domowych pantofli Helenki. Zaraz potem po drugiej stronie drzwi szcęknął klucz i jego oczom ukazało się wnętrze rodzinnego holu, oświetlone ciepłym, przytłumionym światłem żarówek, które dawno powinny zostać wymienione. Pocziwa Helenka stanęła w drzwiach. Zmrużyła oczy, by przyzwyczaić je do ciemności i móc przyjrzeć się mężczyźnie stojącemu na progu.

– Dobry wieczór, Helenko – powiedział Jan, silnie drżącym z emocji głosem.

– Janek! Janek! Moje dziecko! – zawołała gospodyni, natychmiast rozpoznawszy jego głos, a z jej oczu popłynęły najszczerze łzy szczęścia.

Chłopak pochylił się i pocałował pomarszczoną, wiotką dłoń staruszki. Wydała mu się nagle tak wątła i drobna, jakby już nie należała do tego świata. W tej krótkiej chwili zrozumiał, jak bardzo tęsknił za tym, co z każdym dniem przemijało bezpowrotnie. Stał, ściskając jej dłoń, i chciał, żeby wszystko było jak kiedyś, gdy on był mały, a Helenka dyrygowała trzema swawolącymi malcami niczym dowódca wojskowy, z energią i stanowczością, o którą nikt by jej teraz nie podejrzewał.

– Wejź, wejź prędko, nim zmarzniesz – ponagliła gospodyni, wyrywając go z zadumy.

Wprowadziła Jana do salonu, po czym wzdychając raz po raz i ocierając dyskretnie łzy brzegiem fartuszka, pośpieszyła zbudzić profesora Zasławskiego, który o tej porze zwykł ostatnimi czasy ucinać sobie popołudniową drzemkę, mówiąc, że i jego wiek ma swoje prawa.

Jan rozejrzał się po doskonale znanym mu wnętrzu. Niewiele się tu zmieniło. Nie licząc kilku drewnianych zabawek, rozrzuconych pod stołem, i wielkiej piłki stojącej obok kredensu, przed oczyma miał ten sam obraz, który pielęgnował w swym sercu przez ostatnie miesiące. Wzruszenie ścisnęło mu gardło. W tym właśnie momencie do salonu wbiegł Andrzej.

– Janek! Witaj, bracie! – wykrzyknął uradowany. – A to ci dopiero niespodzianka!

Bracia uścisnęli się, choć w owym serdecznym przywitaniu znać było niepewność i zakłopotanie. Stali, przyglądając się sobie w milczeniu, nie wiedząc, od czego zacząć. Od wyjazdu Jana nie mieli ze sobą żadnego kontaktu, jeśli nie liczyć kilku zdawkowych telegramów przesyłanych z Monachium przy okazji rodzinnych uroczystości, w których ten ostatni usprawiedliwiał swoją nieobecność. Mieli sobie tak wiele do opowiedzenia, ale żaden nie potrafił odnaleźć właściwych słów. Wreszcie Andrzej odchrząknął i przybrał nieco sztuczny, nadmiernie rozradowany wyraz twarzy.

– Kiedy wróciliście? Dlaczego nie dałeś znać, że przyjeżdżasz? Wyszlibyśmy cię powitać! – wyrzucił na wydechu, jakby chciał pytaniami rozładować krępującą atmosferę. – Gdzie twoje bagaże?

Rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu walizek brata, po czym spojrzał na niego zdziwiony, jakby właśnie odnalazł odpowiedź, której nie mógł zrozumieć. Jan nadal nic nie mówił. Głos uwiązał mu w gardle, a oczy zamglily się. Cóż miał odpowiedzieć? Prawdę? Przyznać się, że od ponad miesiąca jest w Warszawie i nie miał odwagi ich odwiedzić? Że wyjazd do Monachium zamiast zwycięstwem okazał się kolejną porażką? Że nie radzi sobie z własnym życiem? Że zagubił drogę do domu i do samego siebie?

– Nie przyjechałeś dzisiaj – Andrzej odważył się w końcu wypowiedzieć na głos swoją wątpliwość.

Jan przecząco pokręcił głową, wciąż na niego nie patrząc. Andrzej zrozumiał, że jeszcze nie czas na pytania. Brat opowie mu wszystko, gdy będzie gotowy, tymczasem trzeba spróbować rozproszyć jego pochmurny nastrój. Uśmiechnął się więc i zaczął opowiadać o synach, którzy jak co dzień o tej porze w sąsiednim pokoju jedli podwieczorek w asyście babci. Jan posłał bratu spojrzenie pełne wdzięczności.

– Nie uwierzysz, jak nasza matka lubi dzieci! – ciągnął swoją opowieść Andrzej, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

– Nie jakieś tam dzieci, a konkretnie twoje – powiedziała profesor Zasławska, szybkim krokiem wchodząc do salonu. – I mam ku temu poważne powody. Nie dość, że są moimi wnukami, to wykazują tak rzadko spotykane przejawy niebywałej inteligencji, o czym sam byś wiedział, gdybyś czasem wychynął zza deski kreślarskiej i spędził z nimi trochę czasu.

Stojący w cieniu Jan z powątpiewaniem przyjrzał się dwóm małym chłopcom, którzy na czworakach przyczłapali za babcią do salonu. Umorusani, odziani w lekko wilgotne pod szyją kaftaniki, z wyraźnymi zaschniętymi śladami po zjedzonym posiłku na pucułowatych policzkach nie wyglądali na specjalnie bystrych. W tej samej chwili zaabsorbowana wnuczętami pani Zasławska dostrzegła rozmówcę Andrzeja.

– Jan? – szepnęła z niedowierzaniem. – To naprawdę ty! Synu...

Ostatnie słowo wypowiedziała tak czule i miękko, że Jan miał ochotę rzucić się jej w ramiona i rozplakać jak małe dziecko.

– Witaj w domu! – powiedziała, opanowawszy emocje, i szybkim krokiem podeszła do niego. – Jak to dobrze, że wróciłeś.

Pocałowała go w czoło i obrzuciła spojrzeniem, w którym przebijała troska. Choć nie czyniła mu żadnych wyrzutów i nie zadała ani jednego z tysięcy pytań, które cisnęłyby się na usta każdej matki po tak długiej rozłące z własnym dzieckiem, Jan poczuł się nagle skrępowany i zawstydzony. Pełna niedopowiedzeń przeszłość wdarła się znów pomiędzy nich. Jan ze wszystkich sił zapragnął, by coś odwróciło od niego uwagę matki, zanim ulegnie ona pokusie zapytania o cokolwiek. Nie chciał niczego opowiadać, nie chciał rozliczać się z tym, co minęło, nie pragnął współczucia ani rodzicielskich rad i pouczeń. Przez chwilę żałował, że tknięty nagłym impulsem przyszedł do domu. Nie wiedział, jak ma się zachować, dał się ponieść emocjom. Nagłe wspomnienie

roziskrzanej uczuciem twarzy Zuzanny wywołało dziwny skurcz w okolicach serca.

– Synu... – zaczęła profesor Zasławska, ale nie dane było jej dokończyć.

Naraz bowiem mały Jurek, wykorzystując chwilę nieuwagi swojej opiekunki, pochwycił róg obrusu, przyciągnął do siebie szklany wazonik, zdobiący jeden z niziutkich, salonowych stoliczków, i zaczął okładać nim po głowie młodszego o sześć minut brata, dotąd siedzącego spokojnie na dywanie i gryzącego nogę od stołu. Kazio zaniósł się rozpaczliwym płaczem, co bynajmniej nie powstrzymało Jurka od wymierzania mu kolejnych razów.

– Jerzy! – krzyknęła pani Janina i wśród przeraźliwego płaczu Kazimierza ruszyła przerwać jego bratu niebezpieczną rozrywkę.

Uprzedził ją Andrzej. W mgnieniu oka pochwycił rozrabiakę, usadził go sobie na kolanach i udzielił mu stosownej reprymendy. Profesor Zasławska zajęła się zaś pokrzywdzonym, tuląc go i nucąc coś do ucha.

Jan przyglądał się tej scenie z zaciekawieniem i ze zdziwieniem odkrył, że dom przy Hoene-Wrońskiego nie jest już taki jak dawniej. Pojawili się w nim nowi ludzie, a i ci znani z przeszłości stali się w czasie jego pobytu w Monachium kimś innym. Andrzej był ojcem niesfornych malców, matka kojącą, choć wciąż nieco nietypową babcią. Wszystko się zmieniło i powrót do przeszłości był niemożliwy. Naraz poczuł, że stracił jedyną rzecz, która wydawała mu się pewna i niezmienna, jedyne miejsce, w którym mógłby wrócić

do normalności i być może odzyskać choć trochę chęci życia. Zagubienie, z którego miał nadzieję wyrwać się w domu, w otoczeniu rodziny, otuliło go jeszcze ciaśniej. Z całą jaskrawością dotarło do niego, że jest sam i że utracił wszystko. Chciał uciec, znaleźć się jak najdalej stąd i pograć w ciemności, z której nie było wyjścia. Czuł się opuszczony i samotny jak nigdy dotąd.

Korzystając z wciąż panującego w salonie zamieszania, niezauważony, dyskretnie wyszedł z powrotem do przedpokoju.

– Już idziesz, nawet nie przywitawszy się ze starym ojcem? – usłyszał za plecami w momencie, w którym położył dłoń na klamce drzwi wejściowych.

Profesor Zasławski, ubrany w szlafrok, stał tuż przy schodach i spoglądał na syna z czułością. Był przygarbiony i jakby odrobinę bardziej zmęczony niż wówczas, gdy Jan widział go po raz ostatni, ale w jego mądrych, dobrych oczach wciąż połyskiwały iskierki żywej inteligencji i humoru.

– Rozumiem, że zniecierplawiło cię czekanie na to, aż się obudzę, ale trzeba ci wiedzieć, mój drogi synu, że odkąd na świat przyszło urocze i jak sam słyszysz, niezwykle głośne kolejne pokolenie Zasławskich, nie przespałem porządnie ani jednej nocy – to mówiąc, zszedł ze schodów i wyciągnął do syna rękę na powitanie.

Jan wyciągnął do ojca dłoń, którą ten ostatni przytrzymał trochę dłużej.

– Dobry wieczór, ojciec – powiedział wreszcie, choć ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło.

– Domyślam się, że chciałeś uciec przed panującym w salonie pandemonium, nieprawdaż? – zagadnął wesoło profesor, udając, że nie dostrzega wzruszenia syna. – Wierz mi, że i ja często mam ochotę skryć się gdzieś przed żywotnością tych malców, choć pasjami lubię ich obserwować w niestety nazbyt rzadkich chwilach spokoju.

Profesor Zasławski uśmiechnął się i rozłożył ręce w żartobliwym geście bezbronności wobec wigoru swych wnucząt. W tejże chwili w salonie coś upadło ciężko i dało się słyszeć już nie jeden, a dwa pełne rozpaczony głosy.

– Może przejdziemy do mojego gabinetu? – zachichotał profesor, odwracając się w stronę schodów. – Wydaje mi się, że nieprędko zauważą naszą nieobecność.

Po czym, widząc wahanie syna, dodał:

– Bliźnięta nigdy tam nie wchodzi, dzięki czemu będę mógł w spokoju i przyjemnej ciszy opowiedzieć ci o najnowszych wyczynach twojego wuja Stefana i naszych nowych przyjaciół, Kędzierskiego i Leśniewskiego z Państwowego Instytutu Telekomunikacji, owładniętych bez reszty wizją dalekiego patrzenia. Przewodzi im, rzecz jasna, profesor Groszkowski, który dawno już zapadł na miłość do jedenastej muzy, i teraz wszyscy razem godzinami debatuja nad planami budowy pierwszego nadajnika telewizyjnego w Warszawie. Wyobraź sobie, że Bryła zaproponował ostatnio, by maszt eksperymentalnej stacji telewizyjnej ustawić na dachu jego ukochanego niebotyku! Oto do czego popycha człowieka naukowe szaleństwo! Skądinąd całe to zagadnienie z wielu

powodów jest fascynujące i dla mnie, choć budownictwo nijak się ma do tej dziedziny fizyki...

Profesor Zasławski mówił dalej, prowadząc syna po schodach na górę, do swojej pracowni, ale Jan, nazbyt poruszony, nie rozróżniał słów. Postępowanie ojca wstrząsnęło nim do głębi. Rodzic traktował go tak, jakby nigdy nic się nie wydarzyło, jakby nie zawiódł, nie utracił jego zaufania, jakby rozstali się zaledwie wczoraj, a on nadal był kimś bardzo bliskim, ukochanym synem, z którym ojciec pragnie podzielić się swoją codziennością.

Zatopiony we własnych myślach, wszedł w ślad za rodzicem do jego gabinetu. Na ustawionym pod oknem masywnym, mahoniowym, drewnianym biurku panował jak dawniej wzorowy porządek. Każdy przedmiot miał tu swoje miejsce, które opuszczał wyłącznie, kiedy był do czegoś potrzebny. Światło stojącej na nim lampki, nakrytej eleganckim, ciemnozielonym abażurem, nieznacznie tylko rozpraszało mrok panujący w tym pokoju, mimo to całość robiła zachęcające i przytulne wrażenie.

– Dawno wróciłeś? – spytał profesor Zasławski, patrząc synowi prosto w oczy.

Jan nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Niedługo minie sześć tygodni... – rzekł w końcu. Nie miał siły na kłamstwa.

Ojciec milczał.

– Przepraszam, że nie napisałem od razu po powrocie. Nie mogłem, przepraszam... – dodał po chwili Jan.

– Wiedziałem, że wróciłeś – powiedział spokojnie profesor Zasławski.

– Wiedział tata?! – wykrzyknął zdumiony Jan. – Kto tacie powiedział? Berek?

– Nie – zaprzeczył szybko profesor. – Berek jest bardziej lojalny, niż ci się wydaje. Wuj Stefan zauważył cię któregoś dnia na ulicy. W pierwszej chwili pomyślał, że mu się przywidziało, że to niemożliwe, byś wrócił, nie powiadomiwszy nikogo, więc postanowił sprawdzić, czy osoba, którą widzi, to naprawdę ty. Szedł za tobą tak długo, aż zyskał pewność. Jak widać, ten wszechstronnie uzdolniony człowiek ma także talenty szpiegowskie.

Choć ojciec wypowiedział ostatnie zdanie z wyrazem powagi na twarzy, Jan nie mógł się nie roześmiać. Wizja sztywnego, wyraźnie zaokrąglonego pana w średnim wieku, jakim był profesor Bryła, przemykającego pod ścianami i kryjącego się w cieniu bram, by nie zostać zauważonym, w każdym wywołałaby atak wesołości. Jan zresztą nie był pewien, czy powoduje nim prawdziwa radość, czy może chęć dania upustu nieznośnemu napięciu wywołanemu mieszanką poczucia winy, wstydu i strachu.

– Skoro tata wiedział, to czemu... – zaczął, ale nie dokończył, bo niespodziewanie sam znalazł odpowiedź.

Rodzice zawsze obdarzali jego i braci zaufaniem oraz wolnością. Czekali, gotowi nieść pomoc, gdy tylko zostaną o nią poproszeni, lecz nigdy nie narzucali swej troski, szanując i kochając swoich synów.

– Przepraszam... – szepnął Jan. – Tak bardzo przepraszam...

Nagle zapragnął opowiedzieć wszystko ojcu, ogarnięty niezbitym przeświadczeniem, że tylko on jeden w całym wielkim Wszechświecie jest w stanie go zrozumieć. Niepytany, otworzył przed nim swoje serce.

Profesor Zasławski wysłuchał syna w ciszy. Nie okazywał zniecierpliwienia, nie zadawał pytań, przyjmował jego zwierzenia bez słowa krytyki czy komentarza. Jan czuł, jakby ta milcząca obecność ojca zdejmowała z jego barków ciężar od miesięcy utrudniający mu oddychanie, myślenie, poruszanie się.

Opowiadał dalej, czując się tak, jakby z każdym wypowiedzianym słowem czerpał łyk świeżego powietrza. Wreszcie odważył się podnieść wzrok i spojrzeć ojcu w twarz. Tego momentu bał się najbardziej. Obawiał się ujrzeć w oczach rodzica ból, zawód, przykrość, złość, oburzenie. Jednak kiedy wreszcie ich oczy się spotkały, w spojrzeniu ojca odnalazł jedynie współczucie. Ojciec patrzył na niego tak, jak kiedyś, gdy jako mały chłopiec rozbił kolano, gdy pewnego razu Tadzik zamalował kredką jego ulubioną książkę, gdy był chory, gdy obawiał się pierwszego dnia w gimnazjum. Twarz ojca, poorana tu i ówdzie bruzdami lat i doświadczeń, wyrażała współczucie i troskę. Patrząc na nią, Jan poczuł, że jest w domu, bo dom znajdował się tam, gdzie był jego ojciec.

Rozdział 12

Gdy weszli do spowitego aksamitną ciemnością mieszkania, Klara oddychała ciężko. Mieszkali na drugim piętrze, mieli więc do pokonania zaledwie kilkanaście niewysokich, wygodnie szerokich schodków, których zwykle – pogrążeni w rozmowie – nawet nie zauważali. Tego wieczoru jednak w połowie schodów Wojtek, widząc, z jakim trudem Klara pokonuje kolejne stopnie, chciał wziąć ją na ręce i zanieść do domu. Żona powstrzymała go szybkim, przeczącym ruchem głowy. Nie chciała nawet oprzeć się na jego ramieniu. Nadal nie pozwalała mu się dotknąć i co gorsza, nie wypowiedziała ani słowa. To jej milczenie przerażało Wojtka najbardziej. Gdyby złościła się, płakała, krzyczała, miała do niego pretensje, w jakikolwiek sposób pokazywała swój ból i cierpienie, czułby się bezpieczniej. Wiedziałyby, co ma robić. Mógłby jakoś zareagować. Próbowałby ją pocieszyć, podał chusteczkę, przytulił, przydałby się na coś, a przede wszystkim spróbowałby wywnioskować choćby z pojedynczych słów, co działo się w jej wnętrzu. Jednak Klara milczała, jakby ktoś rzucił na nią zły czar. Nie odezwała się nawet do lekarza, który przyniósł im lekarstwa przygotowane w szpitalnej aptece, a przecież pracowała tam od roku i dobrze go znała. Ubrała się i wyszła bez słowa, nawet na niego nie patrząc. Wojtek spojrzął na lekarza i bezradnie rozłożył ręce, ale wąsaty mężczyzna szepnął współczująco:

– Cierpliwości, to minie, proszę być dobrej myśli.

Całą drogę do domu Wojtek powtarzał sobie jego słowa jak magiczne zaklęcie. Gdy Klara, wpatrzona w okno taksówki, nie odpowiadała na jego pytania, gdy nie podała mu ręki przy wysiadaniu, gdy nie chciała przyjąć jego pomocy przy pokonywaniu schodów, gdy przy każdej podejmowanej przez niego próbie nawiązania kontaktu zdawała się go nie dostrzegać, w głowie brzmiały mu wypowiedziane łagodnym, ściszym głosem słowa: „To minie”.

Nie bacząc na panujące wewnątrz ciemności, Klara weszła do pokoju; w płaszczu, pantofelkach i w kapeluszu na głowie opadła na fotel. Wojtek przekręcił włącznik światła, ale poza cichym kliknięciem nie było żadnej odpowiedzi.

– Znów nie ma prądu – powiedział.

W ubiegłym miesiącu, nie zważając na porę roku i ryzyko opadów śniegu, rozpoczęto elektryfikację dalszej części Puławskiej, przez co średnio co trzy dni nie było światła. Wojtek zatrzymał się z ręką na włączniku. Nagle przypomniał mu się poprzedni wieczór bez elektryczności. To było zaledwie pięć dni temu, w miniony czwartek, a miał wrażenie, jakby ów wieczór był częścią innego życia.

Tamtego wieczoru brak prądu przyjęli bez żalu; zapalili świeczki, przygotowali herbatę, napalili w piecu kaflowym i jedząc uszkodzone czekoladki, które po skończonym dniu pracy czeladnicy Wedla rozdzielali między siebie, spierali się, gdzie postawią kołyskę dla maleństwa. Była to typowa sprzeczka dwóch kochających się osób. Klara chciała, by kołyska stała przy wschodnim oknie, żeby maleństwo budziły pierwsze promienie słońca, wpadające do pokoju, a Wojtek

chciał ustawić ją w pobliżu pieca kaflowego, gdzie zimą będzie z pewnością cieplej niż przy oknie. Sprzeczka trwała dość długo, choć oboje wiedzieli, że są gotowi zrezygnować ze swoich wizji na jedno poważniejsze słowo współmałżonka. Ostatecznie uznali, iż nie ma potrzeby decydować natychmiast, skoro być może nim maleństwo przyjdzie na świat, będą mieszkali gdzie indziej.

Od dłuższego czasu z pomocą pana Antoniego starali się o wynajem mieszkania w pięknej kamienicy przy Rozbrat 32. Bliskość Łazienek, gdzie obie siostry mogłyby udawać się na codzienne przechadzki z dziećmi, i rodzinnej cukierni wystarczyłaby, żeby zapragnęli zamieszkać w tej uroczej okolicy. Brukowana, oświetlona staroświeckimi, ręcznie zapalonymi latarniami gazowymi ulica, wzdłuż której ciągnął się zielony pas maleńkich ogródeczków, wypełnionych wiosną bzyczeniem pszczół i świergotaniem ptaków, oczarowywała niespotykaną w Warszawie świeżością i pięknymi zapachami. Mówiono, że z okien wyższych kondygnacji rozciągał się wspaniały widok na Wisłę. Dla Klary jednak najważniejszy był sam budynek, któremu w swym sercu oddała dawno palmę architektonicznego pierwszeństwa. Wojtek nie mógł nie zgodzić się z ukochaną. Jasna, niewysoka, neoklasycystyczna, pełna wdzięku kamienica, wybudowana dla Spółdzielni Mieszkaniowej Pracowników Przemysłu Cukrowniczego, oprócz swojej siostry bliźniaczki, stojącej po drugiej stronie wylotu na ulicę Śniegockiej, nie miała sobie równych w tych okolicach. Miękkie kontury, bogato, acz dyskretnie ozdobiona elewacja, starannie wykończone klatki schodowe, słoneczne,

urokliwe podwórko, tak różne od dominujących w mieście ciemnych studni, nadawały jej lekkości i wdzięku. Już w czasach narzeczeńskich spacerów Wojtek i Klara wielokrotnie podziwiali elegancki budynek, zaprojektowany przez samego Feliksa Michalskiego, o czym z dumą informowała przechodniów umieszczona na elewacji tabliczka. Jednak wówczas nie mogli nawet marzyć, że kiedykolwiek uda im się w niej zamieszkać. O wysokości czynszu w kamienicy krążyły po Warszawie legendy. Jedni mówili, że stać nań wyłącznie wysokich rangą oficerów, inni, że sam prezes spółdzielni ledwo daje radę płacić czynsz za swój apartament, jeszcze inni, że mieszkania kupują tu wyłącznie żydowscy bankierzy, pod inwestycje. Choć młodzi nie wiedzieli, ile było prawdy w tych słowach, mieli pewność, że czeladnika cukierniczego i pielęgniarke na zamieszkanie w tak wspaniałym miejscu nie będzie stać.

Ostatnio jednak pojawiła się pewna nadzieja. Okazało się bowiem, że w wyniku zawirowań kredytowych udało się zadłużenie kamienicy rozłożyć na dłuższy czas, co sprawiło, że czynsz znacznie spadł. Wielu ludzi zaczęło wynajmować tu mieszkania i pan Antoni, wiedząc o marzeniu synowej, zaczął rozpytywać wśród znajomych, czy aby nie słyszeli o kimś, kto miałby do wynajęcia małe lokum dla młodych rodziców z dzieckiem. Już sama nadzieja na zamieszkanie w ukochanej kamienicy wystarczyła, by uszczęśliwić Klarę. Odtąd niemal co dzień spacerowali w tej okolicy, dla zabawy zgadując, w których oknach niedługo zawieszą swoje firanki. Zakończyli sprzeczkę o kołyskę i rozpoczęli marzenia o nowym życiu

w kamienicy na Rozbrat. Dużo się śmiali, przytulali, wymieniali pocałunki, a potem długi czas wtuleni wpatrywali się w światło świecy, rozkoszując się błogim uczuciem szczęścia. Wtedy nic jeszcze nie zapowiadało burzy.

Dziś wciąż stojący w ciemności na progu Wojtek ze smutkiem skonstatował, że owego przepełnionego miłością wieczoru siedzieli na tym samym fotelu, na którym teraz wyraźnie dało się dostrzec samotny zarys sylwetki Klary.

Nie wiedział, czy powinien podejść do żony, czy raczej zostawić ją samą z własnymi myślami. Milczała, ale był pewien, że nie śpi. Nagle poczuł wielki żal, że to wszystko się wydarzyło. Mieli mieć pięknego syna, który będzie dzielnie dotrzymywał kroku starszym bliźniętom Joanny i Andrzeja. W słoneczne popołudnia planowali jeździć z Zasławskimi tramwajem do Parku Skaryszewskiego, żeby w ustawionym tam niedawno automacie ze słodyczami Wedla kupować słodkości umilające wycieczkę. Synek z dumą pokazywałby starszemu kuzynostwu maszynę i sepleniąc, opowiadał, że te wszystkie pyszności robi jego tata.

Codziennie głaskał Klarę po delikatnie zaokrąglającym się brzuchu i nie mógł uwierzyć w cud, jaki się w niej dokonuje. To było dziwne, zaskakujące i fascynujące zarazem. Żyli marzeniem, zachłyśnięci przyszłością. Nigdy jednak, nawet przez najkrótszą chwilę, nie przeszło im przez myśl, że coś może pójść nie tak, że ich plany mogą lec w gruzach.

W piątek Klara wyraźnie gorzej się czuła. Nie skarżyła się, lecz grymas bólu, który od czasu do czasu ścinał jej anielską twarz, zaniepokoił Wojtka. Chciał zatelefonować do Joanny, by

przyszła odwiedzić siostrę, gdy on będzie w dekoratorni, ale Klara z nieco wymuszonym uśmiechem powiedziała, żeby nie dzwonił.

– Nie ma takiej potrzeby, kochany. Joanna ma wystarczającą ilość własnych zmartwień, nowa praca i małe dzieci, to i tak bardzo dużo – powiedziała, po czym dodała bardziej do siebie niż do męża: – Położę się, odpocznę i wszystko będzie dobrze.

Uspokojony nieco tymi słowami Wojtek pocałował żonę w czoło i wyszedł do pracy. Nie mógł sobie teraz wybaczyć, że zostawił ją wtedy samą. Powinien był przewidzieć, że dzieje się coś złego, powinien był z nią zostać, na wszelki wypadek wezwać lekarza lub najlepiej zawieźć Klarę do szpitala.

W owo piątkowe popołudnie musiał jednak zostać w dekoratorni dłużej niż zwykle. Cała cukiernia pracowała intensywnie, przygotowując słodkie przysmaki na uroczysty raut organizowany przez żonę hrabiego Adama Branickiego, Beatę z domu Potocką, który następnego dnia miał się odbyć w ich rodowej siedzibie w Wilanowie. Sam Branicki, który z racji prowadzonych w Warszawie interesów częściej przebywał w swej rodzinnej kamienicy przy Smolnej 40 niż w wilanowskich włościach, był stałym bywalcem kawiarni przy Szpitalnej i wielkim miłośnikiem wyrobów Wedla. Praca pochłonęła Wojtka bez reszty. Zajęty lepieniem czekoladowych motyli, pszczół i ważek przysiadających wdzięcznie na dużych czekoladowych liściach i kwiatach, stracił poczucie czasu. Wrócił do domu tuż przed północą, nieludzko zmęczony, ale rozentuzjasmowany jak rzadko. Wszedł, niosąc papierową

torebkę, w której przyniósł Klarze różyczkę z gorzkiej czekolady z pękniętymi płatkami.

W domu panowała cisza, ale nie to wzbudziło jego niepokój. Cisza była zrozumiała, zapewne żona, zmęczona przedłużającym się czekaniem, położyła się spać. Natomiast szybsze bicie serca Wojtka wywołały ciemne, błyszczące jakby od wilgoci ślady, wyraźnie znaczące podłogę skąpaną w księżycowej poświacie. Wojtek zapalił światło i jego oczom ukazał się widok tak straszny, że w pierwszej chwili zamiast go przerazić, napełnił uczuciem nierealności, którego przez dłuższy czas nie mógł się pozbyć. Miał wrażenie, że śni, i wszystko, co nastąpiło potem, nawet dziś wydawało mu się sennym koszmarem. Klara leżała bezwładnie na podłodze, poznaczonej rdzawymi smugami krzepnącej już krwi. Wojtek dotknął jej nadgarstka i w pierwszej chwili wydawało mu się, że nie wyczuwa tętna. Przerazenie zmroziło go i odebrało zdolność racjonalnego myślenia, zapadał się w siebie, wchłaniany przez bezlitosną ciemność rozpacz. Nagle jednak ręka Klary, której wciąż nie wypuścił ze swojej dłoni, drgnęła nieznacznie, a z ust kobiety wydobył się ledwo dosłyszalny jęk. Wojtek natychmiast się ocknął. Przykrył Klarę leżącym na kanapie kocem, a potem wzięwszy ją na ręce i nie zamknąwszy nawet drzwi od mieszkania, zbiegł po schodach na dół. Na Puławskiej nie było ani jednego samochodu ani choćby dorożki. Miasto pogrążone w głębokim śnie wydało mu się wrogie i obce, jakby chciało przeszkodzić w ocaleniu tej, która była sensem jego życia. Biały puch zgrzytał mu pod stopami, a beztrosko wirujące w słabym świetle dogasających

latarni delikatne płatki śniegu raz po raz czepiały się jego rzęs, rozmywając jak lzy wszystko wokół. Po dłuższej chwili marszu zauważył pojedyncze karminowe ślady krwi, które znaczyły ich drogę. Dłoń Klary, zwisająca bezwładnie, była tak blada, że zdawała się znikać na tle śnieżnego krajobrazu. Długie, jasne włosy, błyszczące w świetle latarni, otaczały jej głowę świetlistą aureolą. Wojtek nie mógł się zmusić, by spojrzeć na twarz żony. Bał się, że nie dojrzy już w jej anielskich rysach żadnych oznak życia i że odbierze mu to siły, by dalej iść.

Szedł po przyozdobionym błyszczącą szatą, uśpionym mieście, jakby nic poza kolejnym krokiem nigdy więcej nie miało mieć znaczenia. Niepewny, dokąd powinien się udać, skierował kroki w stronę Szpitala Ujazdowskiego, w którym na oddziale laryngologicznym pracowała Klara.

Z dalszych wydarzeń tego wieczoru pamiętał tylko pojedyncze obrazy. Pielęgniarkę, która na ich widok aż krzyknęła z przerażenia. Portiera pchającego z trudem ciężkie łóżko na kółkach, na którym ułożono Klarę. Czyjąś ciepłą rękę, która usadziła go na krześle i podała herbatę. Wiedział, że zadawano mu pytania i że na nie odpowiadał, ale nie pamiętał ani jednego z wypowiedzianych słów. Po chwilowym zamęcie wokół zapanowała cisza, jakby wyrwany ze snu szpital znów powrócił w objęcia Morfeusza. Pozostawiony sam sobie Wojtek zanurzył się w niej i trwał tak w letargu, dopóki pierwsze promienie słońca wpadające przez wielkie, szpitalne okna nie przypomniały mu o upływie czasu. W świetle poranka ze zdziwieniem dostrzegł swoje zakrwawione dłonie,

w których wciąż ściskał ich ulubiony koc. Rozejrzał się po szpitalnej poczekalni, ale oprócz niego nie było tu nikogo. Kwadratowe, biało-czarne kafelki zawirowały mu przed oczami. Poczował się nagle bardzo, bardzo zmęczony.

Gdy się obudził, zza drzwi poczekalni dało się słyszeć szmer codziennego szpitalnego rozgardiaszu. Wyszedł na zewnątrz. Stał pośrodku korytarza, nie wiedząc, dokąd się udać. Ludzie mijali go, przyglądając się nieco podejrzliwie mężczyźnie umazanemu krwią, przyciskającemu do piersi brudny koc. W końcu podeszła do niego pielęgniarka, która widziała go ubiegłej nocy. Powiedziała, że Klara straciła dużo krwi, ale zdaniem lekarza jej życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Dziecka jednak nie udało się uratować. Zmarło.

– To był chłopiec – dodała smutno. – Bardzo mi przykro.

Wojtek, wyczerpany przeżyciami nocy, walczącą w nim teraz rozpaczą z powodu utraty dziecka i radością z ocalenia żony, opadł na kolana, spuścił głowę i głośno zapłakał. Pielęgniarka wezwała lekarza, który polecił podać mężczyźnie zastrzyk uspokajający, a potem zabrać go do umywalni, aby się odświeżył. Wojtek poddał się tym zaleceniom bezwolnie, jak małe dziecko. Gdy odzyskał panowanie nad sobą, poprosił o możliwość skorzystania z telefonu. Ponieważ wszyscy wiedzieli już, że jest mężem Klary, pozwolono mu zadzwonić z gabinetu dyrektora szpitala.

Podniósł słuchawkę i w pierwszym odruchu chciał zadzwonić do ojca. Potrzebował jego opieki i mądrych słów pocieszenia. Przypomniał sobie jednak, że Pola przykazała mu

pod żadnym pozorem nie martwić rodzica, by nie pogarszać jego stanu zdrowia, więc zatelefonował do Andrzeja, prosząc, by udali się z Joanną na Rakowiecką po potrzebne Klarze rzeczy.

Następnego dnia, gdy wszyscy troje siedzieli przy jej łóżku, Klara odzyskała przytomność.

– Dziecko? – wyszeptała przez popękane i zaschnięte wargi.

Joanna i Andrzej, unikając jej wzroku, niemal jednocześnie zerknęli na Wojtka, ale on nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nie miał także odwagi spojrzeć na żonę. Klarze to wystarczyło. Znow zamknęła oczy, a po policzku spłynęła jej jedna, samotna łza.

Przez te kilka ostatnich dni Klara ani razu nie zapłakała, nie wypowiedziała też ani jednego słowa, choć czuwał przy niej dzień i noc, wciąż w tym samym ubraniu, noszącym na sobie ślady czekolady i krwi. Nic nie mówiąc, nie patrząc na nikogo, leżała ze wzrokiem utkwionym gdzieś w oddali, jakby widziała coś niedostrzegalnego dla oczu pozostałych. Gdy Wojtkowi zdarzyło się przysnąć podczas nocnego czuwania przy żonie, ocknąwszy się nagle, zastał ją siedzącą na łóżku z nieobecnym wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę. Nawet nie drgnęła, gdy do niej przemówił. Po chwili jak gdyby nigdy nic położyła głowę na poduszce i wkrótce jej miarowy oddech dał mu znać, że zasnęła.

Wojtek był przerażony nagłą zmianą, która pod wpływem tragedii zaszła w jego żonie. Miał jednak cichą nadzieję, że w domu wszystko się ułoży. Znajome otoczenie, ukochane

przedmioty i ulubione przysmaki sprawią, że powoli wróci do rzeczywistości.

Po kilku dniach stan Klary był na tyle dobry, że lekarze wyrazili zgodę na jej powrót do mieszkania.

Wojtek odłożył na bok klucze i znów spojrzął na ciemny zarys drobnej sylwetki ukochanej. Nie był już taki pewny, czy dobrze zrobił, nalegając na wcześniejsze wypisanie jej ze szpitala. Nie potrafił się odnaleźć, nie wiedział, jak ma jej pomóc. Nawet teraz, w ciemności, wyczuwał, że Klara nie pragnie jego obecności, że choć jest tu ciałem, całą sobą przebywa gdzieś indziej, w świecie, do którego nie miał dostępu.

O świcie obudził się skulony na dywanie, nieopodal fotela, na którym spała Klara. Przyjrzał się jej poblądłej twarzy, opartej na fotelowym zagłówku. We śnie wydawała się taka spokojna. Delikatnie, by nie zbudzić żony, zdjął z jej policzka pukiel jasnych, miękkich włosów. Chciał ją pogłaskać, ale po chwili wahania zabrał dłoń, zdjęty dziwnym uczuciem, które zabraniało mu jej dotykać. Czuł, że gdyby jej dotknął, zrobiłby coś bardzo złego, popełnił jakieś świętokradztwo... a przecież była jego żoną. Zagubiony wśród niezrozumiałych dla niego samego obaw i rozdrażniony po kolejnej nieprzespanej nocy, postanowił zająć się czymś, by ukoić myśli. Poszedł do kuchni i przygotował ulubione śniadanie Klary, smażony chleb z tartym cynamonem i kakao. Ułożył wszystko na tacy i zaniósł do pokoju. Klara siedziała nadal w płaszczu, w tej samej pozycji, w której spędziła noc. Jedynie otwarte oczy

świadczyły o tym, że już nie śpi. Wojtek spróbował się uśmiechnąć.

– Dzień dobry, kochana.

Klara nie odpowiedziała, ani nawet nie odwróciła głowy w jego stronę. Wojtka ogarnęło uczucie przykrości, ale za wszelką cenę starał się je pokonać.

– Spójrz, co dla ciebie przygotowałem.

Śniadanie pachniało wspaniale i chłopak sam poczuł się bardzo głodny. Był pewien, że zapach domowych przysmaków skusi Klarę i że skupi choć najmniejszą cząstkę jej uwagi na teraźniejszości. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Wojtek postawił tacę na małym stoliku tuż obok fotela i wyszedł z pokoju, nie chcąc jej krępować. Niespodziewanie dla samego siebie zaczął odkrywać, że jest niemile widziany we własnym domu, przez własną żonę. Poszedł do łazienki, by się odświeżyć. Wrócił po chwili, przyciskając do lewego policzka niewielki sztyfcik z ałunem, którym usiłował powstrzymać krwawienie w miejscu, w którym zaciął się podczas golenia. Śniadanie wciąż stało na tacy, nietknięte. Wojtek poczuł, że nie zdoła dłużej wytrzymać takiej sytuacji.

– Powiedz mi, co mam robić? – powiedział zdesperowany, klękając u stóp żony.

Przełamując obawę, ujął jej dłonie w swoje ręce. Klara drgnęła pod wpływem jego dotyku, ale nadal nic nie powiedziała. Wojtkiem wstrząsnęła rozpacz, którą dotąd starał się ukrywać.

– Klaro! Odezwij się do mnie! Powiedz coś, cokolwiek! Jeśli masz do mnie żal, przepraszam! – wykrzyczał, a po policzkach

spływały mu łzy żalu i wściekłości. – Już zostałem ukarany. Nie karz mnie więcej, proszę!

Zwiesił głowę i zaniósł się głośnym szlochem. Klara jednak pozostała niewzruszona. Po chwili wysunęła delikatnie dłonie z jego uścisku, ostrożnie wstała i wyszła z pokoju. Wojtek poczuł, że to koniec. Cały jego dotychczasowy świat runął jak domek z kart. Dziecko odeszło, wraz z nim Klara, a wkrótce może stracić także ojca, którego stan zdrowia z każdym dniem się pogarszał, choć starał się wmawiać wszystkim, że jest inaczej. Pozostał na podłodze, zmęczony, samotny, załamany i pozbawiony wszelkiej nadziei.

Rozdział 13

Od owego tragicznego wieczoru Klara miała niepokojące poczucie, że wraz z jej synem i snami o macierzyństwie umarła i ona sama. Każdego ranka wstawała zawiedziona, że musi przeżyć kolejny dzień, choć tak bardzo marzyła, by się już nie zbudzić. Codzienne czynności wykonywały się jakby same, bez udziału jej woli, bez chęci, bez przyjemności, bez zaciekawienia czy zaangażowania. Robiła, co zrobić należało, choć nie wiedziała, kto i dlaczego ów przymus jej wyznacza. Ona sama nie znajdowała w swoim wnętrzu ani jednego powodu, dla którego warto byłoby przeżyć kolejną minutę, godzinę, kolejny dzień, wiedziała jednak, że przeżyć je musi. Żyła, bo ów tajemniczy przymus nie pozostawiał jej wyboru, nakazywał żyć mimo wszystko.

Z niezwykłą ostrością pamiętała dzień poprzedzający ostatni wieczór jej minionego życia. Przygotowując śniadanie dla wychodzącego do pracy Wojtka, mimochodem wyjrzała przez niewielkie okno ich maleńkiej kuchni, w której ledwie mieściły się kuchenka i kilka najpotrzebniejszych mebli.

Zapowiadał się wyjątkowo piękny, zimowy dzień. Jasne, niemal przezroczyste niebo rozświetlały jaskrawe smugi porannego światła. Klara z przyjemnością przymknęła oczy, rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych, przez szybę muskających jej policzki. Nagle poczuła, że jej wystawioną ku słońcu twarz zakrył cień. Otworzyła oczy i ujrzała, jak po bladobłękitnej tafli gnają strzępy gęstych, białych chmur,

które w jednej chwili przesłoniły słońce, pogrążając w szarości wszystko wokół.

Nie był to nietypowy widok dla tej pory roku, jednak zdjął serce Klary dziwnie złowieszczymi przeczuciami. Sielankowy pejzaż zimowego nieba zburzyła niespodziewanie gonitwa chmur. Strach ścisnął jej serce. Pędzące obłoki wydawały się groźne i nieprzyjazne. Bezwiednie położyła obie dłonie na brzuchu, jakby chciała ochronić ukryte tam dziecko przed niebezpieczeństwami czyhającymi na nie na zewnątrz matczynego łona. Wkrótce niebo znów się wypogodziło, ale beztroski nastrój nie powrócił. Widmo zagrożenia osaczyło ją i przygniotło.

Chwilę później wyraźnie gorzej się poczuła. Wyprawiła jednak zatroskanego, wówczas jeszcze tak miłego i bliskiego Wojtka do dekoratorni, w której tego dnia czekały go wyjątkowe, twórcze zadania, na które cieszył się od kilku dni. Nie mogła znaleźć sobie miejsca, więc położyła się spać. Gdy się zbudziła, zauważyła, że zaczęła krwawić. Nagle przed oczami stanęły jej nabrzmiałe, poszarzałe od śniegu chmury, bezlitośnie tnące nieskalane zimowe niebo, i była pewna, że to koniec. Po jej głowie zaczęły gonić setki, tysiące nieznośnych myśli, zapytań o przyczynę, błagań i próśb o odwrócenie biegu wydarzeń, powstrzymanie tego, co nieuniknione. Jednak żadne modlitwy ani zaklęcia nie przyniosły rezultatu. Straciła przytomność, nim zdołała wezwać pomoc, a gdy obudziła się w szpitalu i zobaczyła pochylone nad nią pełne troski i poczucia winy twarze najbliższych, zrozumiała, że jej dziecko umarło. Miejsce dawnej Klary w jej wybrakowanym ciele,

o którym nie potrafiła teraz myśleć inaczej, jak o czymś obcym i wrogim, zajęły pustka i ból, tak nieznośny, że pozbawiający wszelkiej zdolności czucia.

Jedyną emocją, jaka jej pozostała, było zdziwienie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy wokół zachowują się tak, jak gdyby jej synek nigdy nie żył. Nikt nie nosił po nim czerni żałoby, nikt nie opłakiwał jego ledwie rozpoczętego życia, nikt nie lamentował.

Przecież śmierć bliskiej osoby zawsze boli i należy dać sobie czas na pogodzenie się z odejściem kogoś kochanego; a mimo to wszyscy wokół niej zdawali się nie potrzebować tego czasu. Żyli, jakby nic się nie wydarzyło, jakby nikogo nie utracili. Wszyscy troszczyli się o jej zdrowie, o to, czy nie jest głodna, czy aby nie spragniona, czy poduszki ma wygodnie ułożone... a o jej synu nikt nie wspominał, nawet Wojtek. Zupełnie jakby nigdy nie istniał naprawdę. Na jego życie opuszczona została zasłona milczenia; odchodząc, stał się sekretem, tajemnicą, o której nie wolno było mówić.

Ona jedna знаła prawdę. Wiedziała, że był na pewno. Czuła przecież w sobie jego ruchy, wiedziała, że istniał, choć nie dane mu było żywym opuścić jej wnętrza. Pozostali jednak najwidoczniej uwierzyli, że dziecko nie tyle umarło, ile że nigdy go tam nie było.

Klara zapętała się coraz silniej w sieci odizolowania i samotności. Trawiąca ją pustka dawała się od czasu do czasu rozproszyć, zagłuszyć, przytłumić, lecz była to tylko gra pozorów, próba przetrwania, podjęta przez zmęczony umysł. Smutek zmieniał tylko swoje kształty, przywdziewał kolejne

maski, by stworzyć iluzję zapomnienia i wykrzesać iskierkę nadziei, że będzie mogła żyć jak dawniej. Wkrótce jednak ból powracał, niezmienny, nieznośny, nieustępliwy, a co najgorsze – niepodzielny. Nie mogła go zdjąć ze swej duszy i choćby na najkrótszą chwilę złożyć na ramionach kogoś innego, jak Atlas, który włożył na barki Herkulesa sklepienie niebieskie. Ona gięła się pod ciężarem, ale musiała dźwigać go sama, bo wydawało jej się, że tylko ona cierpi po utracie syna. Nie potrafiła odnaleźć ścieżki porozumienia z nikim z żyjących, a zwłaszcza z Wojtkiem.

Ten jeszcze tak niedawno najdroższy jej człowiek stał jak inni po drugiej stronie muru. On także nie rozpaczał po śmierci ich wspólnego dziecka, ani razu o nim nie wspomniał, udając, że nigdy nie miał syna. Nie mogła mu tego wybaczyć. Przepraszał, choć nie wiedziała za co, pytał, co ma robić, mimo iż nie rozumiała, dlaczego to właśnie jej zadaje to pytanie, ale nie wyrzekł ani słowa o swojej tęsknocie za maleństwem, którego nie dane mu było poznać.

Zatopiona w poczuciu straty Klara nie potrafiła dostrzec, jak okrutny ból samotności i rozpacz trawi jej męża. Ona straciła dziecko, a on bał się, że stracił także ukochaną. Niemożność ulżenia jej w udręce była najtrudniejszym przeżyciem, przed którym nic go nie chroniło, nie osłaniało. Ona nie potrzebowała nikogo, zobojętniała na świat zewnętrzny. Wojtek zaś z całych sił pragnął, by żona wróciła, by znów byli razem, by wspólnie przeszli przez te wszystkie wydarzenia, by pozwoliła mu się zrozumieć, poukładać elementy ich wspólnej układanki i odnaleźć te, które wydawały się zgubione na

zawsze... Nawet gdyby mieli dzielić życie tylko we dwoje. Tymczasem Klara, będąc obok, należała jakby do innego świata, do którego on nie miał wstępu.

Wiele dni próbował przebić się przez mur przygnębienia i apatii, skrywający jego ukochaną, ale wszystkie próby kończyły się niepowodzeniem. Mur, który ich od siebie oddzielił, pozostawał niezdojony, a Wojtek największym wysiłkiem nie był w stanie go zarysować.

Czas mijał, a on – ku swojemu przerażeniu i zasmuceniu – odkrył, że kokon odrętwienia Klary rozluźnia się w towarzystwie innych osób. Przy Poli potrafiła nawet zjeść ciastko i uśmiechnąć się blado, gdy jego młodsza siostra opowiadała coś, zanosząc się swoim zaraźliwym śmiechem. Z Joanną było trudniej, ale i ona potrafiła czasem wykrzesać z Klary jakieś słowo czy żywszą reakcję. Nawet wizyty Andrzeja przyjmowała z życzliwością i pewną dozą zadowolenia.

Jednak gdy on próbował coś do niej powiedzieć, zastygała, oczy zachodziły jej mgłą i zdawała się nie słyszeć żadnego z wypowiedzianych przez siebie słów. Kiedy spróbował ją objąć lub pogłaskać, wzdrygała się, jakby doświadczenie jego bliskości było dla niej szczególnie odpychające.

Po pewnym czasie po prostu się poddał. Postanowił oddalić się nieco, dać Klarze upragnioną przestrzeń do uporania się z przeżyta tragedią, której najwyraźniej nie chciała podzielić z nim.

Całymi dniami siedział w dekoratorni, przelewając swe cierpienie na tworzone z czekolady misterne, pełne wyrazu arcydzieła. Tylko tu odzyskiwał resztki dawnego spokoju,

wyciszał się i odpoczywał. Jego rzeźby z każdym dniem robiły się coraz doskonalsze. Coraz częściej klienci składający specjalne zamówienia na pudła najdroższych, ręcznie dekorowanych czekoladek, prosili, by przygotowywał je osobiście.

Zdolności chłopaka nie uszły uwadze jego przełożonych. Połączenie wysublimowanego wyczucia z niespotykaną wręcz pracowitością sprawiły, że nazwisko Starczewski zaczynało być powoli kojarzone również z młodym czekoladnikiem od Wedla, choć nikt nie wiedział, że owe podziwiane przez wszystkich słodkie dzieła sztuki, zdobiące dumnie wspaniale oświetloną wystawę sklepu przy Szpitalnej, są wyrazem wielkiej męczarni duchowej i jątrzącej się samotności.

Rozdział 14

Wieść o wyznaczeniu daty wyczekiwanego przez warszawską socjetę ślubu Natana Zimmermana i Estery Stein prędko rozeszła się echem wśród kręgów arystokracji i inteligencji miasta. Zewsząd napływały pełne kurtuazyjnej serdeczności życzenia i zapewnienia o przyjaźni, tym bardziej przymilne, im większe były obawy nadawców, że mogą nie zostać zaproszeni na uroczystości weselne. Na salonach, w klubach, kawiarniach, restauracjach, podczas przyjęć świątecznych bożonarodzeniowych i chanukowych, a potem także w czasie bali karnawałowych nie mówiono o niczym innym. Sara Stein umiejętnie podsyciała zainteresowanie ślubem córki, wymyślając coraz to nowe atrakcje weselne. Miał to być ślub, jakiego jeszcze nie widziano w stolicy.

Eстера żyła jak w gorączce, w ciągłym podnieceniu przedślubnymi przygotowaniem, którymi starała się zapełnić czas, by nie myśleć o Tadeuszu. Znalezienie się w centrum uwagi śmietanki towarzyskiej miasta, która – zgodnie z przewidywaniami matki – szykowałą się do ślubu roku, było okolicznością tyleż pożądaną, co wyczerpującą. Niemniej Eстера dawała się nieść nurtowi trwającego od niemal dwóch miesięcy przedślubnego szaleństwa.

Tego dnia nie miała jednak ochoty na składanie wizyt. Zapraszanie gości, wielogodzinne picie herbatek z osobami, których nie lubiła, a które wypadało zaprosić na ślub

osobiście, od samego rana wzbudzało w niej niechęć. Potrzebowała odpoczynku.

Zadzwoiła w kilka miejsc, by usprawiedliwić swoją nieobecność, wymawiając się okropnym bólem gardła. Stukając czubkiem pantofelka w elegancko wygiętą, mahoniową nogę stolika, na którym stał telefon, raz po raz spoglądając na tańczące za oknem na wietrze drobniutkie płatki śniegu, wysłuchiwała utyskiwań na zmienną pogodę tej zimy, na nieprzemyślaną modę kobiecą, która zamiast wełnianych szalików nakazuje nosić w karnawale apaszki, wreszcie na nierozsądne panienki, które ubierają się wedle owych zaleceń. Estera słuchała tego wszystkiego, usiłując nie okazać niechęci, jaką w tej chwili odczuwała do swoich rozmówczyń. Udzielała grzecznych, choć nadzwyczaj zdawkowych odpowiedzi, ale czuła, że z każdą chwilą jej zniecierpliwienie narasta. Gdy wreszcie udało się jej zakończyć ostatnią rozmowę, chciała wyjść na spacer, żeby odświeżyć myśli i nieco ukoić nadszarpnięte nerwy. Zaraz jednak dotarło do niej, że jako fikcyjnie chora nie może włączyć się po mieście, narażając się tym samym na spotkanie którejś ze swoich niedawnych rozmówczyń lub kogoś, kto mógłby ją wobec takiej zdemaskować. Wstała od stolika i zaczęła krążyć po salonie, rozdrażniona nieładem panującym w jej myślach. Miała dość całego przedstawienia związanego z przygotowaniem do ślubu. Pamiętała, jak rozemocjonowane i radosne były w podobnych okolicznościach jej przyjaciółki, ale ona nie mogła teraz zrozumieć, czym tak naprawdę się wówczas ekscytowały. Ona sama z każdym dniem czuła się

coraz bardziej nie na miejscu, a im mniej angażowała się w sprawy związane z organizacją uroczystości, tym mniej była pewna, czego chce. Wprawdzie już jakiś czas temu nauczyła się ignorować napady tęsknoty, gdy przechodziła obok miejsc, gdzie dawniej, już tak dawno temu, bywała z Tadeuszem, nie oglądać się za każdym wysokim mężczyzną o słomkowych, rozwianych włosach, nie poświęcać większej uwagi mimowolnie śnionym snom o tych jedynych na świecie, niepowtarzalnych niebieskich oczach, wpatrujących się w nią z niesłychaną intensywnością, teraz jednak znów zaczęły ją prześladować widma przeszłości i pytania o to, jak wyglądałoby jej życie, gdyby Tadeusz jednak do niej wrócił. Od przyjęcia chanukowego, podczas którego niegdyś wszystko się zaczęło, ta myśl nie dawała jej spokoju.

Znudzona i rozdrażniona, postanowiła przespać się chwilę. Może wszystkie te wątpliwości były tylko wynikiem zmęczenia, a może nietypowym przejawem tęsknoty za Natanem? Sen zawsze oczyszczał jej umysł i napełniał serce nowym entuzjazmem. Wyśpi się i wszystko będzie dobrze.

Nagle jej wzrok przyciągnęła wysoka męska postać, odcinająca się wyraźnie wśród śnieżnej zawiei. Podeszła do okna i momentalnie od niego odskoczyła, kryjąc się za ścianą. Poczowała, jak jej policzki oblewają się żarem, a oddech przyspiesza.

– Tadeusz! – krzychało wewnątrz jej duszy. – Tadeusz!

Opadła na pobliski fotel i dłuższą chwilę siedziała, usiłując opanować szalejące w jej wnętrzu emocje. Gdy nieco się uspokoiła, nabrała wątpliwości, czy to aby na pewno był on.

W końcu doszła do wniosku, że to tylko projekcja podnieconego i zmęczonego umysłu. Nie śmiała jednak podejść znów do okna, by się upewnić. Powoli weszła na schody prowadzące do sypialni, próbując zwrócić swe kroki na przewidywalną, ułożoną ścieżkę dnia, którą zdążała zaledwie kilka chwil wcześniej. Poskutkowało. Weszła do swojego pokoju, ale senność ją opuściła. Zaczęła porządkować przedmioty na toalecie, które tego poranka rozrzuciła, wychodząc w pośpiechu. Powtarzalne, mechaniczne zajęcie powoli przywracało jej poczucie rzeczywistości.

– Przywidziało mi się – szeptem skarciła samą siebie za tak żywą reakcję. – To nie mógł być Tadeusz. A nawet jeśli był, nic mnie to nie obchodzi.

Jednak uparty głos w głębi jej duszy podpowiadał, że oszukuje samą siebie.

Estera wklepała w policzki krem o wdzięcznej nazwie Śnieg Tatrzański, cieszący się szczególną popularnością wśród młodych panienek od czasu, gdy po raz pierwszy zarekomendowała go swoim wielbicielkom Pola Negri. Zaczęła szcztokować swoje piękne, kruczoczarne włosy, czując, że znów odzyskuje panowanie nad sobą. Wtem spojrzała w lustro i wydała z siebie gwałtowny okrzyk. Za jej plecami stał Tadeusz, a na jego słomkowych włosach lśniły kropelki roztopionego śniegu. Patrzyli sobie w oczy za pośrednictwem kryształowej tafli. Gdy milczenie stało się nie do zniesienia, Estera wypuściła powietrze i odwróciła się w kierunku intruza.

– Lokaj mnie wpuścił – wyjaśnił, choć nie pytała.

– Trzeba będzie go zwolnić ze służby za wpuszczanie nieznajomych – odpowiedziała, nim zdążyła przemyśleć swoje słowa.

– Nieznajomych? – Tadeusz uniósł brwi w wyrazie zdziwienia, po czym dodał niby obojętnie: – Mój rodzony brat jest przecież najlepszym przyjacielem twojego.

Estera zaczerwieniła się, ale na wszelki wypadek milczała, by znów nie powiedzieć czegoś, co mogłoby go skłonić do wspomnień. Drżącą dłonią powoli odłożyła szczotkę na miejsce, wstała i uprzejmym, wyuczonym przez lata gestem wskazała mu krzesło stojące przy małym, okrągłym stoliku.

– Napij się czegoś? – zaproponowała kurtuazyjnie.

– Chyba już nikt nie przyniesie nam napojów, skoro przed chwilą powzięłaś zamiar zwolnienia lokaja – odparł z szelmowskim uśmiechem, usiłując wprowadzić rozmowę na bardziej poufale tory.

Estera udała, że go nie słyszy. W duchu jednak dziękowała Bogu, że tego dnia jej matka była na kolejnych przymiarkach kreacji na nadchodzący noworoczny raut dobroczynny, a ojciec z Berkiem jak zwykle krążyli gdzieś pomiędzy kancelariami, klientami i sądami. Była to wielce sprzyjająca okoliczność, dzięki której jako jedyny domownik musiała podjąć gościa, niezależnie od jego wieku i płci. W przeciwnym razie, zgodnie z owymi wszechobecnymi zasadami dobrego wychowania i przyzwoitości, jako kobieta niezamężna z pewnością nie mogłaby nawet na chwilę zostać sama z młodym mężczyzną. Postanowiła, że będzie traktowała Tadeusza dokładnie tak, jak przystało niewieście wkrótce

wychodzącej za mąż – jak dawno niewidzianego znajomego. Grzecznie i kulturalnie, byle tylko nie sprowokować żadnej wymiany zdań, która mogłaby zdemaskować jej prawdziwe uczucia. Uniosła lekko brwi w doskonale wyćwiczonym grymasie skupionego oczekiwania, aż gość wyrazi swoje preferencje.

– Chętnie napiłbym się herbaty – odparł wreszcie Tadeusz, a w jego głosie dało się słyszeć lekką nutę rezygnacji.

Chwilę później siedzieli, popijając z porcelanowych filiżanek bursztynowy napój. Rozmowa przebiegała bez zarzutu. Estera była z siebie bardzo dumna. Z każdą chwilą czuła się też swobodniej. Nie wiedziała, dlaczego widok Tadeusza tak ją przestraszył. Był tylko dawnym znajomym, wspomnieniem chwilowego, młodzieńczego zauroczenia, nikim więcej. Świat wydawał jej się w tej krótkiej chwili doskonale precyzyjnym mechanizmem. Musiała spotkać się z Tadeuszem, by ostatecznie uporządkować własne wnętrze, przestać żyć wyidealizowanymi wspomnieniami i oddać się bez reszty przeżywaniu teraźniejszości. Była idealną gospodynią wzorcowo przebiegającej, niezobowiązującej wizyty. Zadawała pytania o zdrowie kolejnych członków rodziny, na które Tadeusz równie beznamiętnie udzielał krótkich, rzeczowych odpowiedzi, po czym on zaczął wypytywać o zdrowie państwa Stein. Podręcznik etykiety i dobrego wychowania mógłby z powodzeniem przytoczyć ich konwersację jako wzór rozmowy niezbyt bliskich znajomych, popijających wspólnie przewidzianą konwenansem herbatę bez większej przyjemności i zainteresowania.

– Wyjeżdżasz? – zapytał niespodziewanie Tadeusz, szybkim ruchem głowy wskazując na leżące w kącie pokoju na wpół zapakowane, niedomknięte walizki.

Serce Estery znów zaczęło mocniej bić. Nie rozumiała, czemu to zwyczajne pytanie wywołało w niej aż tak silne wzburzenie.

– Tak – odpowiedziała po prostu, gdy nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

Tadeusz z przyjemnością obserwował grę emocji na jej twarzy. Mimo pozornej obojętności wciąż coś do niego czuła, teraz był tego najzupełniej pewien. Miał ochotę krzyknąć z radości, ale powstrzymał się. Znał gwałtowne usposobienie dziewczyny i nie chciał jej spłoszyć jakimś nieopatrzonym słowem. Spróbował nad sobą zapanować, choć wszystko w nim rwało się do niej. Chciał pochwycić ją w ramiona, przycisnąć do piersi i już się z nią nigdy nie rozstawać, a jeśli nie nigdy, to przynajmniej w najbliższym czasie.

– Daleko? – podjął po chwili, starając się, by jego głos brzmiał możliwie bez troski.

Przez chwilę zawahała się, rozważając, co miałaby mu odpowiedzieć. W końcu postanowiła powiedzieć prawdę, pomijając jednak cel podróży, którym był zakup sukni ślubnej.

– Do Paryża – wydusiła wreszcie.

– Wspaniała podróż, choć o wiele przyjemniej odbywać ją latem. – Tadeusz pokiwał z aprobatą głową i sięgnął po leżące na srebrnej tacy ciasteczko. – Z drugiej jednak strony karnawał w Paryżu nie ma sobie równych.

Estera odetchnęła z ulgą. Zachowanie Tadeusza tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że ich wspólna przeszłość to już zamknięty rozdział. Spokój jednak nadal nie chciał przyjść, zamiast niego odczuła delikatne ukłucie przykrości, mające swe źródło w zawiedzionej nadziei, do czego oczywiście za żadne skarby świata nigdy, przenigdy by się nie przyznała. Spodziewała się melodramatycznej sceny, wyznań, błagania, by do niego wróciła. Tymczasem Tadeusz zachowywał się tak, jakby rzeczywiście był tylko bratem przyjaciela domu państwa Stein. Mimo woli zastanawiała się, czy Zasławski w ogóle wie o jej mającym się odbyć już wkrótce ślubie. Naturalnie zdawał sobie sprawę, że Estera ma narzeczonego, to odkrycie było przecież początkiem końca ich przelotnej znajomości. Z pewnością zauważył też brak obrączki na jej palcu. Po chwili namysłu postanowiła, że nie będzie tą, która zawiadomi go o ceremonii. Nie chciała ryzykować bardziej osobistej rozmowy. Nie wiedziała tylko, czy bardziej boi się obojętności Tadeusza, czy własnych uczuć. Podniosła do ust filiżankę. Mężczyzna spojrzał na jej długie rzęsy, opadające na porcelanowy policzek, idealnie zlewający się z bielą filiżanki, na niesforny loczek, który owinał się wokół jej małego uszka, kiedy pochyliła się nad napojem, i poczuł, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

– Kocham cię – powiedział bez uprzedzenia.

Dłoń Estery zadrżała i filiżanka wyslizgnęła jej się z ręki. Zamiast rzucić się ratować nową, jasnobezową muślinową sukienkę, na której plama z herbaty rozprzestrzeniła się

coraz bardziej, dziewczyna siedziała nieruchomo, mrugając szeroko otwartymi oczami.

– Kocham cię – powtórzył Tadeusz, wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie zrobił, i ucieszony, że wreszcie może przestać krępować samego siebie. – Mam dość prób udawania, że jest inaczej.

Wypowiedziawszy te słowa, wstał i podszedł do krzesła Estery, ukląkł u jej stóp, nie zważając na rozlaną herbatę, i chwycił jej twarz w obie dłonie. Estera odruchowo zamknęła oczy. To wystarczyło, by ośmielić Tadeusza. Bezbłędnie potrafił rozpoznać wzajemność. Włożył w pocałunek całą tęsknotę, z ogromu której zdał sobie sprawę dopiero w tej chwili. Od dwóch lat jeździł po świecie otoczony nimbem prawdziwej gwiazdy piłkarskiej, złotego dziecka futbolu, co znacznie ułatwiało mu i tak niezbyt trudne kontakty z płcią piękną. Przed oczami stanęły mu twarze wszystkich kobiet, z którymi spotykał się od burzliwego rozstania z Esterą i ze zdziwieniem skonstatował, że każda z nich w jakimś stopniu ją przypominała, jakby usiłując o niej zapomnieć, wciąż szukał tylko jej.

Nagle otworzyły się drzwi. Tadeusz wypuścił twarz Estery z dłoni i błyskawicznie sięgnął po leżącą na podłodze skorupkę filiżanki.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał lokaj, zbliżając się do nich.

– Mieliśmy mały wypadek – odpowiedział swobodnie Tadeusz, wstając z kolan i podając lokajowi kawałek filiżanki.

Estera równie błyskawicznie się opanowała.

– Proszę to natychmiast sprzątnąć i podać nowe nakrycia – zakomenderowała.

– To nie będzie konieczne – powiedział Tadeusz. – Muszę już iść, zresztą pani i tak musi się przebrać.

Obrzucił jej postać w zachłapanej sukience tak gorącym spojrzeniem, że Esterze zrobiło się słabo. Zaniepokojona, czym prędzej odwróciła się w stronę lokaja, ale ów był zbyt pochłonięty sprzątnianiem, by dostrzec subtelny grę uczuć pomiędzy nimi.

– Zatem w drogę – powiedział Tadeusz i skierował się do wyjścia.

– Do widzenia – odparła machinalnie, zbyt przejęta, by zaproponować, że go odprowadzi.

– Do zobaczenia – rzekł z naciskiem.

Głos lokaja wyrwał Esterę z zamyślenia.

– Słucham? – zapytała machinalnie.

– Pytałem, czy wezwać pokojówkę, żeby pomogła panience się przebrać?

– Wezwij, proszę – odrzekła bez namysłu. – Albo nie, nie, sama się przebiorę.

Nagle zapragnęła zostać sama, by spróbować zrozumieć to, co się przed chwilą wydarzyło.

Rozdział 15

Michał wszedł do cukierni „U Hanki”. Od progu uderzył go dziwnie ponury nastrój panujący w tym zwykle wesołym lokalu. Kelnerzy mieli marsowe miny i nawet klienci zachowywali się ciszej niż zwykle. Michał poczuł, że musiało wydarzyć się coś złego. Zdjęty niepokojem, chciał czym prędzej odszukać Polę, ale nie było jej ani w części sklepowej, ani kawiarnianej. Próbował podpytać Eustachego, gdzie mógłby znaleźć dziewczynę, ale stary kelner rzucił mu pełne niechęci spojrzenie i odszedł bez słowa. Młody Rakowski obszedł ponownie cały lokal, wypatrując dziewczyny. Poprzedniego dnia obiecał przynieść jej coś specjalnego i był pewien, że Pola, ze swoim dziecięcym usposobieniem, czeka na podarek.

– Oho! A cóż takiego mi pan przyniesie? – zapytała zaczepnie na wieść, że chłopak ma dla niej niespodziankę.

– Do jutra nic więcej nie powiem. Będę milczał jak grób – rzekł stanowczo.

– W takim razie będę z niecierpliwością wyglądała jutra – odpowiedziała rozbawiona, naśladowując jego poważny ton.

Jednak przez moment wydawało mu się, że w jej spojrzeniu dostrzega iskierkę czułości i wyraz nieokreślonej tęsknoty, jakby zapowiedzi, że czekać będzie nie tylko na prezent, lecz przede wszystkim na niego. Myśl o wczorajszym wyrazie jej oczu nie pozwalała mu teraz uwierzyć, że Pola poszła do domu, nie zostawiwszy dla niego choćby krótkiej wiadomości.

Był jeszcze i prezent. Wspaniały, błyszczący kalejdoskop. Któregoś razu przyrzekł w ich codziennych przekomarzeniach, że pokaże jej cuda, o jakich nie śniła. Dziś zamierzał spełnić tę obietnicę. Wewnątrz posrebrzanej tuby, w trzech ustawionych pod kątem zwierciadłach odbijały się różnokolorowe szkiełka, przy każdym drgnięciu tworzące finezyjne kształty, wielobarwne, niespotykane wzory z kwadratów, kół, gwiazd, diamentów, krzyży, rozet. Z trudem zdobyty kalejdoskop był ową obiecaną porcją czarów, owiniętą w szeleszczący papier i przewiązaną wstążką.

Michał wzruszył ramionami, ignorując niechętnie zachowanie Eustachego, i postanowił zajrzeć w każdy kąt cukierni „U Hanki”, by upewnić się, czy Poli rzeczywiście już tutaj nie ma, czy tylko stary lokaj chce mu dokuczyć.

Dziewczyny nie było ani w swatkowni, ani w sali bilardowej, ani na zapleczu, dokąd wszedł pomimo zakazu na drzwiach. Jego niezbita dotąd pewność, że gdzieś tu ją odnajdzie, zaczynała słabnąć.

Gdy nieomal stracił nadzieję, usłyszał ciche dźwięki dobiegające ze spiżarki. Ostrożnie otworzył drzwi i zajrzał do środka. Zobaczył Słodką Polę. Serce zabiło mu mocniej z radości, że się nie pomylił, jednak już po chwili pogodny nastrój przysł.

Pola siedziała na ogromnym worku mąki i zalewała się łzami. Na jego widok usiłowała zetrzeć z twarzy ślady rozpacz, ale próba ta z góry skazana była na niepowodzenie.

– Dzień dobry, panno Polu – przywitał się Michał, podchodząc do niej powoli.

Odpowiedziało mu jedynie ciche pociągnięcie nosem i kilkakrotne głębokie westchnienie, które wydobyło się z piersi dziewczyny.

– Panno Polu... – rzekł, delikatnie ujmując jej dłoń, by pocałować ją na powitanie. – Panno Polu, czy coś się stało?

Słodka Pola znów się rozplakała.

– Ojciec... – zdołała wyrzucić z siebie, pomiędzy jedną falą szlochu a drugą.

Michał zrozumiał nagle, czemu w kawiarni panował tak smutny nastrój. Coś musiało się przydarzyć panu Antoniemu i sądząc po zachowaniu Poli, było to coś poważnego. Przypomniawszy sobie, że kiedy ostatni raz widział Starczewskiego, wydawał mu się bledszy i szczuplejszy niż zwykle, choć w jego pełnym żywotności, niezwykle przyjemnym zachowaniu nic się nie zmieniło. Mimo konfliktu pomiędzy jego ojcem i panem Antonim, którego istoty po prawdzie Michał do dziś nie zdołał pojąć, młody Rakowski nie mógł powstrzymać rosnącej sympatii do starego cukiernika. Takt, uprzejmość, a nade wszystko bijący od Starczewskiego spokój, odróżniający go wyraźnie od rodzica Michała, sprawiały, że od pierwszej chwili czuł się dobrze w jego towarzystwie. Pan Antoni nigdy nie okazał mu niechęci czy nieuprzejmości. Od czasu do czasu ucinali sobie krótkie, serdeczne pogawędki, z których obaj zdawali się wielce ukontentowani.

– Panno Polu, cóż się stało? – zapytał ponownie, usiłując nadać swemu głosowi brzmienie delikatne, jakim zwykło się przemawiać do dziecka.

Mimo łagodnego tonu pytanie sprawiło, że Polą na nowo wstrząsnął szloch. Michał nie wiedział, co ma robić. Nigdy dotąd jej takiej nie widział. Zwykle radosna dziewczyna każde jego próby utyskiwania na los, nadmiar nauki czy zmęczenie po treningu kwitowała słowami:

– Proszę pana, ja tam żadnej tragedii nie widzę. Na moje oko za panem kolejny wspaniały dzień!

– Mówi tak panienka codziennie! – odburkiwał, czasem nawet zezłoszczony jej brakiem współczucia i chęci litowania się nad nim.

– A mówię, mówię, bo tak jest! Każda chwila, lepsza czy gorsza, nigdy już się nie powtórzy, i to czyni ją wspaniałą.

Michał wprawdzie nie do końca się z nią zgadzał, zwłaszcza jeśli szło o te gorsze chwile będące jego własnym doświadczeniem, ale jej optymizm zwykle i jemu poprawiał nastrój.

Ku własnemu zaskoczeniu spostrzegł teraz, że po powitaniu nadal nie wypuścił z ręki jej dłoni. Nie wiedząc, co powiedzieć, delikatnie pogładził miękką, pulchną rękę dziewczyny, w duchu modląc się, by nie pogniewała się o to na niego. Nic takiego jednak nie zaszło. Pola płakała dalej, a Michał głaskał ją kojąco. Sam nie wiedział, jak długo trwali w tej pozie, jednak po pewnym czasie zauważył, że szloch dziewczyny zaczyna słabnąć.

– Dziś rano ojciec miał zawał – szepnęła Pola.

Michałowi serce skurczyło się z żalu. Mnóstwo pytań cisnęło mu się na usta, ale powstrzymał się od ich zadania.

– Jest w szpitalu. Doktor twierdzi, że niebezpieczeństwo minęło, ale...

Głos jej się załamał. Michał mocniej uścisnął jej dłoń, chcąc dodać Poli otuchy.

– Ale jak pomyślę, że mogłabym go stracić... – łzy znów popłynęły z jej oczu. – Świat bez niego... Nie chcę... Nie dam rady żyć bez niego...

Michał poczuł, że następuje w nim jakiś przełom. Uklęknął przed Polą i spojrzał jej w oczy.

– Panno Polu, ja... Ja pani pomogę. Zawsze pani pomogę – zapewnił z mocą, składając na jej dłoni gorący pocałunek.

Mimo zasmucenia Pola wyczuła uroczysty nastrój towarzyszący wypowiedzanym słowom. Niewyraźnie przeczuwała, że dzieje się coś niezwykłego, nie odważyła się jednak pomyśleć, że jego słowa mogłyby być czymś więcej niż deklaracją przyjaźni.

– Dziękuję. Jest pan dobrym człowiekiem – szepnęła.

– W pani oczach chciałbym zawsze być tak postrzegany.

Pola zaczerwieniła się, słysząc te słowa, i zawstydzona, nagle spróbowała wysunąć z jego ręki swoją dłoń. Michał jednak z nietypową dla siebie stanowczością przytrzymał ją mocniej.

– Panno Polu... Polu, jeśli już dziś dasz wiarę moim słowom, będę najszczęśliwszym z ludzi, jeśli nie, trudno, dołożę wszelkich starań, byś uwierzyła w nie w przyszłości. Pozwól mi tylko powiedzieć... – Michał wziął głęboki wdech, jak zawodnik zbierający siły przed startem – pozwól mi wyznać, że cię kocham.

Niespodziewane słowa Michała zalały duszę Poli nagłą falą słodyczy. I ona go kochała, choć przekonana, że to szczęście nie dla niej, starała się odpędzać dręczące ją dniem i nocą myśli o jego oczach, miłym, wiecznie zawstydzonym uśmiechu, o apetycie, z jakim bez względu na temperaturę za oknem pochłaniał kolejne porcje swojego ulubionego plombiru z mnóstwem kandyzowanych owoców, powtarzając, że nikt nie potrafi tego deseru przyrządzić tak, jak ona. Rozumieli się bez słów, w lot chwytając myśli drugiego, potrafili długo śmiać się z rzeczy, które innym wcale nie wydawały się śmieszne, i choć nigdy nie byli sami, spotykając się zawsze w cukierni „U Hanki”, miała wrażenie, że z każdym dniem Michał zajmuje coraz ważniejsze miejsce w jej sercu. Z żalem i niepokojem myślała także o chwili, w której przyjdzie jej utracić jego przyjaźń, gdy zakocha się w jakiejś ślicznej, pełnej wdzięku i powabu panience. Po raz pierwszy w życiu z niezwykłą jasnością dostrzegła niedostatki własnej urody i z zazdrością spoglądała na urodziwe klientki odwiedzające cukiernię. Chaos tych nowych, niezbyt miłych emocji, na dźwięk słów wypowiedzianych właśnie przez Michała zniknął. Pozostała tylko błogość, niezakłócona żadnymi wątpliwościami. Kochał ją, w tej jednej sekundzie nic więcej się nie liczyło.

Michał patrzył na nią tak przejmująco, z niemym błaganiem w oczach, że dziewczyna w jednej chwili zapomniała o wszystkich przykazaniach dobrego wychowania. Z właściwą sobie ekspresją i prostoduszną radością, która zdołała przedrzeć się przez zasłonę zmartwienia, przyłgnęła do Michała. Nie myśląc, co robi, złożyła głowę na jego piersi. Był

to gest tak bezbronny i czuły, że Michałowi ze szczęścia zabrakło tchu.

Kocha, kocha, kocha! – wykrzykiwał w myślach.

Po chwili zdobył się na odwagę i położywszy dłoń na głowie dziewczyny, jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie. Pola słyszała teraz wyraźnie bicie jego serca, które zdawało się śpiewać z właśnie zrodzonej świadomości odwzajemnionego uczucia.

– Szczęście moje, najdroższa.... – raz po raz szeptał w uniesieniu, wtulając twarz w miękkie zagięcie jej szyi. – Najdroższa...

Po chwili delikatnie odsunął ją od siebie. Ujrzała na jego twarzy wyraz najwyższego szczęścia.

– Polu, powiedz, czy i ty...? – w jego głosie czuć było przejmującą niepewność, jakby jedno jej słowo miało zdecydować o jego losie.

Okulary zjechały mu na czubek nosa, ale zignorował to, bojąc się, że gdy wypuści ją z ramion, dziewczyna zniknie i nigdy nie usłyszy odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Pola pełnym czułości gestem poprawiła mu okulary i nie spytawszy o zgodę, przycisnęła usta do jego ust. Kalejdoskop, którego dotąd wciąż nie wypuścił z dłoni, teraz upadł z głuchym łoskotem na podłogę, oni jednak nawet tego nie zauważyli.

Rozdział 16

Był mroźny, mglisty, lutowy poranek. Pierwsze tego dnia promienie słońca wpadały w wełniste kłęby chmur, by po chwili rozbłysnąć po ich drugiej stronie niczym rozpędzona strzała i wreszcie odbić się w błyszczących, śnieżnych zaspach, tak że wszystko wokół zdawało się migotać. Park Sielecki, zupełnie pusty o tej porze dnia, wydawał się białą, połyskującą pustynią, której bezmiar zakłócały gdzieniegdzie czarne szkielety drzew i krzewów. Chwilami przejmującą ciszę mącił świst wiatru, wstrząsającego nagimi konarami drzew, lub krakanie ogromnych wron krążących nad nimi.

Andrzej i Wojtek siedzieli na ławce i zdawali się nie odczuwać niskich temperatur. Chwile takie jak ta zdarzały im się ostatnio niezwykle rzadko. Zanurzeni w świecie własnych spraw przyjaciele nie spędzali razem tyle czasu, co niegdyś, nim założyli rodziny i odnaleźli swoje życiowe powołania. Mimo oddalenia nadal odczuwali jednak tę specyficzną więź, którą zwykle do końca swoich dni odczuwa się względem przyjaciół z młodości. Każdy z nich był także pewien, że w razie jakiegokolwiek potrzeby ten drugi stanie za nim murem. Ponieważ nie spotykali się we dwóch od tak dawna, Wojtek zdziwił się nieco, otrzymawszy wiadomość od Andrzeja, w której ten prosił, by następnego dnia przed pracą spotkali się w Parku Sieleckim. Wybór miejsca spotkania, nietypowy przy panujących od dwóch miesięcy ujemnych temperaturach, kazał Wojtkowi przypuszczać, że Andrzej ma jakieś poważne

zmartwienie. Wprawdzie sam zaczynał pracę kilka godzin wcześniej niż przyjaciel, gdyż w dekoratorni dzień rozpoczynał się już o piątej, lecz ponieważ nie spieszyło mu się ostatnio do domu, obiecał, że w zamian za możliwość wyjścia w ciągu dnia zostanie dłużej po południu.

Gdy Wojtek przybył we wskazane miejsce, Andrzej już na niego czekał. Zatopiony we własnych myślach, nie zauważył nadejścia przyjaciela i aż podskoczył na dźwięk przywitania.

– Czołem! – powiedział Wojtek i oczyściwszy ze śnieżnego puchu kolejny fragment ławki, usiadł obok.

– Czołem – odpowiedział Andrzej tonem człowieka zmęczonego życiem.

– Widzę, że się wyspałeś i humor ci dopisuje – zakpił Wojtek, chcąc go nieco rozchmurzyć.

Andrzej nie odpowiedział.

– Aż tak źle? – zapytał po dłuższej chwili Wojtek, widząc, że żartami nic nie wskóra.

– Od roku myślę tylko o tej wystawie! – wybuchnął Andrzej.
– Każdą wolną chwilę, a wiesz przecież, że nie mam ich ostatnio zbyt wiele, spędzam nad deską kreślarską, usiłując stworzyć coś...

Zawahał się, jakby szukał właściwego słowa.

– ...coś niezwykłego – dokończył zrezygnowany i pokręcił z powątpiewaniem głową. – Wuj Bryła, prezydent Starzyński, ba! wszyscy warszawiacy czekają, by zobaczyć wizję przyszłości miasta. Chcą czegoś nowoczesnego, awangardowego, spektakularnych budowli, planów dzielnic, które będą same opowiadały o wspaniałości odrodzonej Polski.

Wiem, że mógłbym coś takiego stworzyć. Wiem to, i... i nie mogę!

Silnie wzburzony Andrzej wstał z ławki i zaczął spacerować tam i z powrotem, nie zważając na skrzypiący pod jego stopami śnieg. Wojtek słuchał w milczeniu, wodząc za przyjacielem wzrokiem.

– Nie mogę wydobyć tej wizji z głowy, przenieść jej na papier. Każdy projekt, który kreślę na brystolu, jest zupełnie inny od tego, który mam w głowie. Powtarzam sobie jak mantrę słowa Le Corbusiera: „słońce, przestrzeń, zieleń”. Mam wrażenie, że powtarzam je nieustannie! I choć mam dość, nie mogę przestać!

Andrzej opadł na ławkę i wsunął dłonie głęboko w kieszenie.

– Nie będzie takiej drugiej szansy, rozumiesz? – gorączkował się Zaslowski, a Wojtek, choć świadom, że przyjaciel nie oczekuje od niego odpowiedzi, przytaknął.

– Niemal półtora wieku zaborów! Wiesz, ile przez ten czas wydarzyło się na świecie w architekturze?! I gdzie to widać w Warszawie?! Wciąż wygląda jak prowincjonalne carskie miasto. Nie można jej odmówić uroku, ale to nie jest jeszcze nowoczesna stolica, reprezentująca rzeczywistość życia we współczesnej Polsce. Warszawa jest wciąż tchnieniem przeszłości, naznaczonej piętnem rosyjskiej okupacji. Nie widać w niej jeszcze owej opowieści o tym, co jest ważne i piękne dla jej nareszcie wolnych mieszkańców. Zamiast pisać własne legendy, wciąż przechowuje rosyjskie mity. Zazdroszczę budowniczym Gdyni! Oni mogli stworzyć miasto z niczego. My musimy mimo wszystko uwzględnić to, co już jest, i w tych

niekiedy nazbyt ciasnych ramach odmalowywać sny o potęgze militarnej, sile gospodarczej i politycznej, a nade wszystko o postępie cywilizacyjnym społeczeństwa, za pomocą nowych obiektów architektonicznych...

Przez ułamek sekundy Wojtek chciał się wtrącić, ale Andrzej nie zwrócił na niego uwagi.

– Musimy ubrać miasto, i to nie pierwsze lepsze miasto, a stolicę niepodległej Polski, w nowe symbole i metafory, które dodadzą skrzydeł mieszkańcom i wzbudzą podziw przyjezdnych, a jednocześnie dostosować stylistykę projektów do już istniejących rzeczy... Z jednej strony swoboda, możliwość budowania na nowo, z drugiej pęta...

Andrzej urwał i głęboko zaczerpnął powietrza.

– Warszawie potrzeba nie tylko ozdób, ale przekształcenia niemal wszystkiego, by mogła stać się prawdziwą, światową metropolią – podjął z nowym zapałem. – Wojtek, przecież w tym mieście ciągle jest za mało najbardziej podstawowych rzeczy. Ot, choćby wodociągów, o wodotryskach, źródłach ulicznych czy wymarzonej przez wszystkich oczyszczalni ścieków nawet nie wspominając. Kanalizacja jest zaledwie na jednej trzeciej ulic. W obliczu tak szybkiego rozwoju Warszawy komunikacja miejska przestaje spełniać swoje zadania. Poza nielicznymi parkami brak zieleni, słońca, którego w zabudowie podwórkowo-studniowej nie uświadczysz, i przestrzeni, niezbędnej nie tylko ze względów estetycznych, ale i obronnych. Brak mieszkań dla wciąż tłumnie przybywających do stolicy nowych lokatorów. Wciąż jest za mało szkół, szpitali, posterunków straży pożarnej.

Wszystkiego jest za mało, żeby Warszawa mogła być stolicą nowoczesnego państwa!

Wojtek pokiwał w milczeniu głową. Każdy mieszkaniec miasta doświadczał na co dzień tych niedogodności. To właśnie z ich powodu spora część warszawiaków z takim zapałem śledziła wszystkie doniesienia o zbliżającej się wystawie, licząc, że przyniesie im nadzieję na lepszą przyszłość. Starczewski wprawdzie do nich nie należał, ale i on nie miałby nic przeciwko temu, żeby ze stołecznych ulic zniknęły nieczystości i kurz, gdyby było bardziej zielono, a sprawy w magistracie dało się załatwić w jednym ratuszu, zamiast biegać po delegaturach porozrzucanych po całym mieście.

– Słuchałeś przemówienia prezydenta Starzyńskiego, gdy powoływał komitet „Warszawy przyszłości”? – zagadnął znów Andrzej.

Wojtek rzucił przyjacielowi znaczące spojrzenie. W radiu słuchał wyłącznie muzyki, o czym Andrzej dobrze wiedział.

– Bo i czemu miałbyś słuchać... – odpowiedział samemu sobie Zasławski i pośpieszył z wyjaśnieniami: – Prezydent powiedział, że na tych, którzy formują obecnie przyszłość Warszawy, spoczywa ogromna odpowiedzialność za kondycję fizyczną, społeczną i estetyczną stolicy odrodzonej Polski. Nakazał nam, twórcom, dołożyć wszelkich starań, by było to prawdziwie piękne miasto... Taka szansa, taka odpowiedzialność, i ta piekielna niemoc, niemożność przeniesienia myśli na kartkę...

- A może aż nadto się zastanawiasz? - zapytał niespodziewanie Wojtek i wnosząc z zachowania Andrzeja, że zadał właściwe pytanie, ciągnął: - Może powinienes zasiąść przy stole kreślarskim, przymknąć oczy i po prostu zacząć rysować, ot tak, jakby cała ta wystawa i związane z nią szanse nie miały znaczenia, jakbyś chciał naszkicować ozdobę dla swojego rodzinnego miasta. Swobodnie, lekko, nie oczekując spektakularnych rezultatów, rysując tylko dla własnej przyjemności... mimochodem.

Andrzej drgnął lekko pod wpływem słów Wojtka. Zdał sobie nagle sprawę z tego, że w przeciwieństwie do przyjaciela sam nie czuł się artystą; pracę traktował jak zobowiązanie i wyzwanie rzucone mu przez świat, a nie jako wyraz wewnętrznego przymusu twórczego. Był świetnie wykształcony, potrafił poprowadzić doskonale prostą kreskę i policzyć dopuszczalne obciążenie dla mostu z dokładnością do siódmego miejsca po przecinku. Jednak nie narysował dotąd żadnego projektu „ot tak”, jak powiedział Wojtek, „mimochodem”. Wszystkie jego prace były wynikiem wielu godzin przemyśleń, czujnej obserwacji własnych poczynań, obliczeń i ciągłego pilnowania, by każda kreska zmierzała do wytyczonego uprzednio celu. Jego projekty były wzorową pracą, ale brakowało w nich owej lekkości i polotu, a nade wszystko odwagi, która prowadziła artystów wszystkich rzemiosł do realizacji choćby najbardziej szalonych marzeń twórczych. Andrzej zasepił się, pojawiając tę niezbyt przyjemną prawdę o sobie samym.

– Myślisz, że umiejętności i pragnienie wystarczą, żeby marzenia stały się rzeczywistością? – zapytał po chwili, przerywając ciszę.

Wojtek zastanowił się. Jeszcze niedawno bez wahania odparłby, że jeśli się czegoś pragnie i usilnie dąży do osiągnięcia celu, wówczas nie ma rzeczy niemożliwych do zrealizowania. Jednak dziś nie był już tego taki pewien. Przypomniała mu się zamarznięta twarz Klary, niewyrażająca żadnych uczuć. Od tak wielu dni robił wszystko, żeby rozpuścić lodową tafłę pokrywającą jej serce, ale wszelkie jego starania kończyły się niepowodzeniem.

– Nie wiem... – odpowiedział cicho, ogarnięty nagłym smutkiem.

Po chwili jednak otrząsnął się z zamyślenia i przypomniał sobie, że jego zadaniem jest dodanie Andrzejowi skrzydeł, a nie obciążenie go własnymi troskami.

– „Stworzenie rozumne ma zdolność utworzenia z wszelkiej przeszkody tworywa swej działalności i użycia jej w celu, do którego zdąża”, pamiętasz? – wyrecytował już pogodniej, całą siłą woli skupiając uwagę na Andrzeju.

– Aureliusz.

Wojtek skinął głową.

– Masz tę zdolność, więc ją wykorzystaj. Nieważne, czy czujesz się artystą, czy jesteś po prostu dobrym fachowcem, rzemieślnikiem. To nie ma znaczenia. Liczy się twoje pragnienie bycia częścią największej miejskiej przebudowy tego stulecia, wykreowania Warszawy na nowo... Musisz po prostu wziąć się do pracy i przestać zastanawiać.

– Ale ja cały czas pracuję!

– Niby tak, a jednak twoje myśli stale krążą wokół tematu własnej doskonałości i niedoskonałości. Skończ z tym. Myśl tylko o rysunku, nie o sobie.

Andrzej milczał chwilę.

– Ilekroć prosiłem wuja Stefana, by podpowiedział mi, w którą stronę mam poprowadzić dalej projekt – odezwał się wreszcie – każdorazowo przybierał tajemniczy wyraz twarzy i mówił, że podpowie mi jedno: „trzeba myśleć i trzeba pracować”.

– I miał rację! – podchwycił Wojtek, mimowolnie uśmiechając się na myśl o swoim przyszywanym ojcu. Wspomnienie fortelu, w którym wspólnie uczestniczyli, by uzyskać błogosławieństwo starej ciotki dla ich ożenku z Klarą i Joanną, przywołało z pamięci jednak także inne obrazy: wizje dni pogodnych, pełnych marzeń, beztroskich, kiedy miłość jego i Klary wydawała się najsilniejszym uczuciem świata.

Westchnął z żalu za tym, co minęło. Andrzej spojrzał na swego towarzysza i dostrzegając jego smutek, odgadł, któredy podążyły jego myśli.

– Wojtek... – zaczął, ale przyjaciel nie dał mu dokończyć.

– Nie trzeba. – Pokręcił głową. – A wracając do profesora Bryły... Udzielił ci bardzo cennych wskazówek. Uwierz wreszcie, że może ci się udać. Co ja mówię! Nie „może”! Uda ci się! Tylko myśl o projekcie, nie o ocenach innych, szansach i zagrożeniach. A i pracuj ze zdwojoną siłą, bo masz coraz mniej czasu.

Andrzej spojrział na przyjaciela z wdzięcznością. Właśnie takich słów potrzebował.

– A teraz proponuję – ciągnął Starczewski – byśmy przeszli w jakieś cieplejsze miejsce. Zapalenie płuc zapewne nie pomoże ci w realizacji marzeń.

Wstał, zatupał mocno i podskoczył kilka razy. Kamień spadł Andrzejowi z serca, a widok wysokiego i nadzwyczaj szczupłego przyjaciela podrygującego wśród zasp wywołał nagły atak wesołości. Andrzej zaśmiał się głośno, czując przyływ energii i siły do walki o swoje największe marzenie.

– Słońce, przestrzeń, zielen! – wykrzyknął Andrzej swoje bitewne hasło.

– Słońce, przestrzeń, zielen... i śnieg! – zawtórował mu Wojtek, jednocześnie wlepiając białą kulkę w plecy przyjaciela.

Rozdział 17

– Tak dłużej nie można – oświadczyła od progu Joanna swoim najbardziej władczym i nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Klara przyjrzała się siostrze uważnie, zastanawiając się nad zmianą, jaka tego ranka zaszła w jej zachowaniu względem niej. W ostatnim czasie relacje z bliźniaczką dalekie były od zażyłości. Choć Joanna była codziennym gościem na Rakowieckiej, gotowała, sprzątała i opiekowała się siostrą jak małym dzieckiem, Klara miała wrażenie, że robi to wszystko nie tyle z miłości, ile z irracjonalnego poczucia winy. Tak też było w rzeczywistości.

Joanna czuła się niezręcznie ze świadomością, że w domu czeka na nią dwóch zdrowych, pogodnych malców, podczas gdy jej siostra otrzymała tak wielki cios. Lekarze wprawdzie uratowali Klarę, ale powiedzieli, że najprawdopodobniej nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Joanna nie potrafiła zrozumieć, dlaczego los był tak niesprawiedliwy, dlaczego jednych obdarzał tak hojnie, innym nie mając do zaoferowania nic poza cierpieniem. Nie mogła się z tym pogodzić. Swoje wątpliwości i niemożliwe do wytłumaczenia wyrzuty sumienia przykrywała nadmierną wesołością, wielomówstwem i udawaną beztroską. Skrzętnie jednak unikała wszystkich tematów związanych z bliźniętami, małżeństwem, a przede wszystkim tym, co się wydarzyło. Wytrwanie w owej grze pozorów, zwłaszcza w stosunku do tak bliskiej osoby, było bardzo męczące i wisiało nad ich relacją jak wielka,

pęczniejąca z każdym dniem, gradowa chmura, która rzucała na wszystko cień sztuczności i nieświadomości.

Dziś jednak było inaczej. Klara wyczuła w siostrze dawną determinację, bezpośredniość i gotowość do zmierzenia się ze wszystkimi tematami, od których uciekała od dnia, w którym ona sama straciła swoje jedyne dziecko. Ku zdziwieniu Klary, taka postawa siostry zamiast sprawić jej przykrość, przyniosła niewytłumaczalną ulgę.

– Znalazłam ci pracę – oświadczyła Joanna, jednocześnie rozpakowując torby z zakupami.

– Ale ja mam pracę... – odrzekła bez przekonania Klara.

Od śmierci dziecka ani razu nie zastanowiła się nad tym tematem. Zupełnie jakby owego piątkowego wieczoru jej przyszłość przestała istnieć, choć czas się nie zatrzymał, a historia nie przerwała biegu wydarzeń. Jej przyszłość nie istniała, a terażniejszość była raną, która każdego ranka po przebudzeniu otwierała się znów na nowo. Klara czuła, jakby miała dwa życia. Tamta miniona bezpowrotnie, zwyczajna, jasna, pełna śmiechu i pracy codzienność u boku Wojtka, z dzieckiem noszonym pod sercem, jawiła jej się teraz jak należąca do kogoś innego, obca, tajemnicza, a nade wszystko niedostępna rzeczywistość. Jej udziałem miało być to obecne życie, którego nie mogła określić innym mianem niż wegetacja. Nie chciała... nie mogła podjąć swojego życia ot tak po prostu na nowo. Tamtej Klary już nie było.

– Obie dobrze wiemy, że nie możesz tam wrócić – stwierdziła Joanna i spojrzała jej prosto w oczy.

Klara nieznacznie skinęła głową. Wiedziała, że Joanna ma rację. Nie będzie w stanie nigdy więcej wejść do Szpitala Ujazdowskiego po tym, co się tam wydarzyło. Wciąż jeszcze świeże wspomnienie tragedii odebrało jej na chwilę oddech. Miała wrażenie, jakby znów rozpadała się na pojedyncze odłamki swojego człowieczeństwa. Ból był nie do zniesienia. Przyspieszony oddech i oddalające się spojrzenie Klary zaniepokoiły Joannę.

– Wyjaśniłam wszystko w szpitalu – zaczęła mówić szybko i nieco podniesionym głosem, by przyciągnąć uwagę siostry, nim ta znów pograży się w letargu, z którego niełatwo byłoby ją wydobyć. – Odebrałam twoje dokumenty i przekazałam dyrektorowi nowego miejsca pracy.

Klara nie musiała pytać, jak siostra dokonała tego wszystkiego. Taka już była Joanna. Działała, nie pytając nikogo o zgodę, jeśli tylko była pewna słuszności swojego postępowania.

– Będiesz pracowała w szkole – triumfalnie zakończyła Joanna.

Klara jęknęła cicho.

– Proszę, nie... – szepnęła. – Nie chcę pracować z... z dziećmi, nie mogę...

– Wysłuchaj do końca tego, co chcę ci powiedzieć, nim zaczniesz się wymawiać – przerwała jej zniecierpliwiona Joanna. – To nie jest zwyczajna szkoła.

Klara rzuciła siostrze spojrzenie, w którym ta ostatnia dostrzegła iskierkę zainteresowania. Zadowolona z tego, że wywołała jakąkolwiek żywszą reakcję, kontynuowała rażno:

– W Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych dwa lata temu otwarto zasadniczą szkołę zawodową dla niesłyszących. Teodora, opowiadałam ci o niej wielokrotnie, jakkolwiek pewnie teraz zastanawiasz się, o kim mowa...

Klara zmieszała się, gdyż istotnie dokładnie w tej chwili usiłowała sobie przypomnieć, kim jest wspomniana kobieta. Joanna zerknęła na siostrę z wyraźną satysfakcją.

– ...a zatem ta właśnie Teodora – rzekła z naciskiem – wizytuje niemal wszystkie placówki oświatowe w Warszawie i to ona powiedziała mi niedawno, że w Instytucie Głuchoniemych poszukują szkolnej pielęgniarki. Nie pracowałabyś z dziećmi, a z prawie dorosłą młodzieżą. Warunkiem była gotowość do nauczania się języka migowego. Dziś po pracy udałam się na plac Trzech Krzyży, zniosłam twoje dokumenty i oświadczyłam dyrektorowi Edwardowi Zawadzkiemu, bo tak nazywa się twój nowy przełożony, że jesteś gotowa się uczyć. Nie pytał o nic więcej, tylko wręczył mi to.

Podawała lekko oszołomionej siostrze *Słownik mimiczny dla głuchoniemych i osób z nimi styczność mających*, autorstwa księdza Jagodzińskiego i księdza Hollaka.

– Na twoim miejscu już dziś przystąpiłabym do nauki. Zaczynasz pracę z końcem przerwy zimowej...

– Przecież to już za dwa tygodnie! – wykrzyknęła Klara i z przerażenia zakryła dłonią usta.

– Masz zatem całe czternaście dni na naukę – odparła niewzruszona jej wątpliwościami Joanna.

Gdy później tego wieczoru Wojtek wrócił do domu, zastał Klarę pochyloną nad książką, w skupieniu układającą palce w dziwne gesty. Wyglądała, jakby zajęcie pochłonęło ją bez reszty.

– Witaj, Klaro – powiedział ostrożnie. – Już jestem.

Klara nie odpowiedziała. Przyglądał się jej chwilę, zastanawiając się, czy to aby nie kolejna odłona choroby nerwowej. Podeszedł bliżej, powoli, żeby jej nie przestraszyć. Chciał zobaczyć, co tak zajęło uwagę jego żony, od wielu tygodni pogrążonej jedynie w koszmarnych, jak się domyślał, wizjach. Kiedy stanął za jej fotelem, Klara wzdrygnęła się, jakby dopiero teraz dostrzegła jego obecność.

– Dobry wieczór, kochanie – szepnął miękko. – Co czytasz?

Na dźwięk jego głosu Klara natychmiast opuściła ręce, zamknęła oczy i zastygła w bezruchu. Obecność Wojtka momentalnie ją sparaliżowała. Przy nim nic nie było proste. Myśli nie chciały się układać w żadną logiczną całość, a wątpliwości i strach odzywały się z niezwykłą mocą. Kiedy byli razem, zmuszała się czasem, by słuchać, co do niej mówi, choć jedynym, czego pragnęła w takich chwilach, było to, by jak najszybciej opuścić pomieszczenie, w którym oboje przebywali. Uciec jak najdalej od Wojtka, palącego wspomnienia miłości, która umarła.

Nie była w stanie odpowiedzieć na jego pytanie. Od tak wielu dni nie zamieniła z nim ani słowa, iż wydawało jej się, że nie będzie potrafiła już nigdy tego zrobić. Przy Wojtku głos wiązał jej w gardle, uniemożliwiając wydobyć jakiegokolwiek dźwięku.

Wzdrygnęła się gwałtownie i szybko zamknęła książkę. Przytuliła ją do piersi i wyszła z salonu, nie odezwawszy się do męża ani jednym słowem.

Budynek Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, wzniesiony przed ponad stu laty przez księdza Jakuba Falkowskiego, w przeciwieństwie do sąsiadującej z nim pięciopiętrowej kamienicy, na której tyłach znajdował się jeden z najstarszych browarów w Warszawie, idealnie wpasowywał się w wysmakowaną estetykę placu Trzech Krzyży, pozostałości osiemnastowiecznej Drogi Kalwaryjskiej, wiodącej do Grobu Pańskiego nieopodal Zamku Ujazdowskiego.

Niemal wszystkie zabudowania wokół placu zdawały się harmonijnie dopasowywać do monumentalnej świątyni pod wezwaniem świętego Aleksandra, stanowiącej jego centralny punkt. Klara przyjrzała się budowli ze smutkiem. To tu niecałe dwa lata wcześniej wzięła ślub z Wojtkiem. Choć faktycznie minęło tak niewiele czasu, miała wrażenie, jakby ten szczęśliwy dzień wydarzył się w życiu kogoś innego. Kogoś, kto potrafił kochać całym sercem tego dobrego, spokojnego mężczyznę. Klara wiedziała, że na jedno jej słowo Wojtek wyruszyłby w najdłuższą podróż, by spełnić każde jej życzenie, byle tylko ją uszczęśliwić, ale owego dnia w szpitalu utraciła zdolność mówienia do niego.

Jakaś część jej duszy rwała się ku niemu, nie mogła jednak przebić się przez ów niewidzialny mur skrupowania, wstydu, żalu, a nade wszystko poczucia, że go zawiodła. Nieznośny głos w jej sercu uparcie przekonywał ją, że choć

Wojtek był zbyt dobry i prawy, by czynić jej wyrzuty, już jej nie kochał, nie mógł jej kochać, skoro odebrała mu możliwość posiadania dziecka, o którym tak marzył. Nie była już kompletna jak dawniej. Czuła się kobietą gorszego gatunku, niepełnowartościową, pozbawioną – bez swojej zgody – możliwości przekazania życia i odkrycia w pełni tajemnicy stworzenia. Wiedziała, że nigdy nie będzie matką dziecka Wojtka. Nie mogła znieść myśli, że swoim wybrakowaniem pozbawiła i ukochanego szansy na rodzicielstwo, a nade wszystko niewyobrażalna zdawała jej się możliwość, że on miałby jej to kiedykolwiek wybaczyć. Dręczyło ją poczucie winy, nieznośne wyrzuty sumienia za grzechy, których nie popełniła, straszne i niezrozumiałe, które sprawiały, że nie mogła spojrzeć mężowi w oczy. Z każdym dniem było coraz gorzej i gorzej, a czas nie leczył ran, a jedynie pogłębiał przepaść między nimi.

Od tamtego dnia, w którym ich losy połączyły się na zawsze, otoczenie kościoła prawie się nie zmieniło. Jedynie w pobliżu figury świętego Jana Nepomucena, ufundowanej przez marszałka Bielińskiego jako wotum wdzięczności za pomyślne przeprowadzenie akcji brukowania i kanalizowania śródmiejskich ulic, urządzono nowy kwietnik, na którym wschodziły już pierwsze tegoroczne kwiaty. Mimo to Klara miała wrażenie, jakby to miejsce, niegdyś tak bliskie, było teraz obce i nieprzyjazne. Przeszył ją niemiły dreszcz.

Czym prędzej skierowała wzrok w stronę swojego miejsca pracy, które przez kilka minionych tygodni stało się jej domem. Kiedy przechodziła przez bramę, czuła, że wracają jej

siły i chęć do życia, które opuszczały ją zwykle, gdy przychodził czas powrotu na Rakowiecką. Choć sama przed sobą nie miała odwagi się do tego przyznać, unikała męża, jak mogła. Do pracy przychodziła pierwsza, zostawała o wiele dłużej, niż tego od niej wymagano, a po skończeniu wszystkich aktywności szkolnych odwiedzała mieszkających w pobliżu nowych znajomych, którzy także pracowali w instytucie księdza Falkowskiego. Edmund był wychowawcą i nauczycielem. Niedawno ukończył sześciomiesięczny kurs opieki społecznej nad dziećmi, organizowany przez Wszechnicę Polską, i potrafił godzinami rozprawiać o odpowiednim podejściu do drugiego człowieka, zwłaszcza do najmłodszych. Jego żona Maria, również pedagog, była niezwykle biegła w posługiwaniu się językiem migowym, i w wolnych chwilach, po pracy, uczyła Klarę. Tymczasowo zamieszkiwali w wynajętym lokalu w kamienicy na Książęcej 7, ale dyrektor przyobiecał im mające się wkrótce zwolnić mieszkanie w tak zwanym Domku Ogrodnika na terenie instytutu.

W towarzystwie tych miłych ludzi, którzy w przeciwieństwie do jej najbliższych nie wiedzieli o tragedii Klary i traktowali ją z prostotą oraz bezpośredniością, odprężała się i ku własnemu zdumieniu odnajdywała części dawnej siebie. Jej wizyty często znacznie przekraczały granice dopuszczalne przez towarzyskie konwenanse i zasady dobrego wychowania, ale młodym małżonkom idealistom, dla których najważniejsze było krzewienie nauki i pomoc najsłabszym w rozpoczynaniu życia w społeczeństwie, towarzystwo mądrej i przepełnionej współczuciem Klary zdawało się nigdy nie nudzić.

Niejednokrotnie Klara wracała do domu, gdy pora kolacji dawno już minęła, a najbardziej cieszyła się, nikogo w nim nie zastając. Oddychała swobodniej, gdy dom okazywał się pusty, bo Wojtek musiał dłużej zostać w dekoratorni, pomagał Poli w cukierni lub odwiedzał ojca na Moniuszki.

Weszła przez główną bramę instytutu. Z każdym dniem to miejsce stawało się jej coraz bliższe. Było symbolem nowego życia, którego wprawdzie nie szukała, nie planowała i nie pragnęła, lecz które samo jakoś zaczęło unosić ją w nurcie swojej codzienności. Od samego początku, odkąd po raz pierwszy przeszła przez tę bramę, zdawało jej się, że trafiła do innego świata. Nie zdołała nauczyć się zbyt wielu znaków migowych przed podjęciem pracy, więc przez pierwsze dni była zbyt zaabsorbowana pragnieniem zrozumienia kogokolwiek, by myśleć o swoim cierpieniu.

Wiosenna aura udzieliła się wszystkim, bo choć do rozpoczęcia zajęć nie pozostało zbyt wiele czasu, tego ranka zastała większość podopiecznych i nauczycieli w ogrodzie na wewnętrznym dziedzińcu. Młodsze dzieci biegały radośnie, starsi wychowankowie przechadzali się grupkami, migając z ożywieniem, a nauczyciele, obsiadłszy wszystkie dostępne ławeczki, oddawali się wesołym rozmowom. Klara uśmiechnęła się na ten widok. To miejsce w niczym nie przywodziło na myśl tradycyjnej szkoły. Nawet sam budynek, którego wszystkie okna były teraz otwarte na oścież, zaprojektowany przez warszawskiego architekta Stanisława Pszczołkowskiego, przypominał bardziej neorenesansowy pałacyk niż instytucję oświatową, dla której przecież był od początku zaplanowany.

Naraz rozgardiasz jeszcze się wzmógł, bowiem z lewej oficyny instytutu, w której mieściło się prowadzone przez Julię Manczarską przedszkole dla niesłyszących i niewidomych dzieci, wybiegła grupka maluchów. Klara zwykle starała się unikać spotkań z przedszkolakami, ale tego wiosennego poranka była tak dobrze usposobiona, że nawet widok dzieci dotknął ją mniej niż zwykle. Odetchnęła głęboko i poczuła, że to miejsce, stworzone, by pomagać tym, którzy z powodu swej inności są odrzucani przez społeczeństwo, w którym niemal każdy nosił w sobie trudne doświadczenie krzywdy i okrucieństwa, nawet ze strony najbliższych, stało się jej światem.

Gdy później tego ranka skończyła zajęcia z opatrunków, które prowadziła z głuchoniemymi dziewczętami należącymi do harcerskiego szczepeu „Tęcza”, wyszła na spacer po szkolnym ogrodzie z drużynową niesłyszących harcerek, Wandzią Tazbirówną. Choć dziewczyna była prawie osiem lat młodsza od Klary, zawiązała się między nimi nic najserdeczniejszego porozumienia. Wandzia była niesłychanie wesołą, pełną życiowego zapału i pogodną osobą, której towarzystwo sprawiało Klarze wiele przyjemności. Spacerowały z twarzami skierowanymi ku słońcu, próbując schwytać pierwsze ciepłe promienie. Rozmawiały o wychowankach, kiedy nagle wzrok Klary przykuł mały chłopiec bawiący się w piaskownicy pod czujnym okiem wychowawczyń przedszkolnych. Od dawna mu się przyglądała. Odkryła, że patrzenie na to dziecko nie sprawia jej przykrości, nie wywołuje tęsknych myśli ani bolesnych wspomnień. Było

w nim coś niezwykłego, coś, co sprawiało, że chciała go często widzieć, przyglądać się jego zabawie z innymi, słuchać jego głosu. Klarze wydawało się, że obserwuje świat z wręcz zadziwiającą u takiego malca wnikliwością.

– Znasz tego chłopca? – mimochodem zagadnęła Wandzię, dyskretnie wskazując koleżance, o kim mowa.

– Tego miedzianowłosego? – upewniła się Wandzia.

Klara skinęła głową.

– A, to przecież nasz Feluś! – powiedziała harcerka i uśmiechnęła się ciepło.

Chłopiec, zupełnie jakby wyczuł, że o nim rozmawiają, odwrócił się w ich stronę. Ujrzawszy Wandzię, rozpromienił się. Młodziutka harcerka, niezwykle biegła we władaniu językiem migowym, była ulubienicą wszystkich dzieci. Pomachała Felusiowi wesoło, a on począł odmachiwać jej obiema rękami, tak intensywnie, że aż się przewrócił. Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Jakoś nie widuję jego rodziców? – zagadnęła znów Klara, nieco speszona, bojąc się, by Wandzia nie posądziła jej o wścibstwo.

– Nie widzujesz, bo nie przychodzą – rzekła niechętnie Wandzia. – Jego matka umarła, wydając na świat czternaste dziecko. Ojciec, majątny ziemianin, przywiózł go do nas, gdy chłopiec był jeszcze bardzo mały. Feluś kiedyś słyszał, dlatego wcale nieźle mówi.

– Jak to słyszał? – dopytywała Klara, nie zdoławszy ukryć zaciekawienia.

– Widzisz, wkrótce po śmierci matki Feluś uległ poważnemu wypadkowi – podjęła Wandzia nieco smutniejszym tonem. – Czteroletni wówczas chłopczyk, niepilnowany przez nikogo, korzystając z nieobecności woźnicy, wsiadł do zaparkowanego przed wejściem do domu powozu, którym ojciec miał się udać do miasta. Wskoczywszy na miejsce woźnicy, ściągnął lejce. Konie poniosły. Feluś nie zdołał utrzymać się na koźle. Mocno uderzył głową i gdyby spadł na bruk, z pewnością by zginął. Szczęśliwym trafem upadł na trawnik i stracił jedynie słuch. Ojciec jednak najwyraźniej nie zdołał pogodzić się z kalectwem syna. Twierdził, że lepiej byłoby dla chłopca, gdyby jednak nie przeżył... Przeprowadził go pewnego dnia do przedszkola i zostawił pod opieką Julii, tyle że nie na przedpołudnie, a jak się wkrótce okazało, na zawsze. Po tym paśmie tragedii porozsyłał pozostałe dzieci po krewnych i szkołach z internatem, wyjechał za granicę i od tamtej pory nie mamy z nim żadnego kontaktu. Depesze i listy pozostają bez odpowiedzi. Rozpytywaliśmy wśród dalszych krewnych chłopca, ale nie udało nam się znaleźć nikogo, kto chciałby się nim zaopiekować, choć jedna z ciotek zobowiązała się łożyć na jego utrzymanie do osiągnięcia pełnoletniości.

– Jaka smutna historia... – szepnęła poruszona Klara.

– Ludziom brakuje odwagi, żeby zająć się kimś, kto wymaga więcej opieki – ciągnęła Wandzia w zamyśleniu. – Łatwiej jest odtrącić kogoś, kogo los i tak mocno doświadczył, niż dostrzec to, co taka osoba ma do dania.

Dziewczyna westchnęła ciężko, ale jeden rzut oka na Felusia wystarczył, by wypogodzić zmarszczkę zmartwienia, która

przecięła jej czoło.

– Wierz mi, Klaro, trudno o miłsze dziecko niż Feluś! Jest też nadzwyczaj rezolutny. Nie uwierzysz, ale potrafi już napisać nazwy wszystkich krajów w Europie wraz ze stolicami, po polsku i francusku, a to przecież nie lada sztuka dla siedmiolatka!

Klara przyglądała się chwilę grającemu w piłkę Felusiowi, po czym ruszyła w ślad za przyjaciółką. Gdy dochodziły do wejścia do szkoły, obejrzała się za siebie, by raz jeszcze spojrzeć na chłopca. Ku swojemu zaskoczeniu dostrzegła, że i on patrzy na nią. Szybko odwróciła wzrok i wbiegła po schodkach na górę, jakby pragnęła uciec od nieoczekiwanych myśli, które nagle pojawiły się w jej głowie.

Rozdział 18

Berek wszedł do domu, machnął zniecierpliwiony na lokaja, dając znać, by go nie zatrzymywał, i nie zdejmując płaszcza ani kapelusza, wbiegł po schodach na górę. Musiał jak najszybciej odnaleźć dokumenty Izaaka Eisenstadta, którego miał dziś reprezentować przed sądem w zastępstwie swego ojca; nagle, nadzwyczaj pilne kwestie zmusiły pana Steina do natychmiastowego wyjazdu do majątku rodzinnego żony w Górze Kalwarii. Berek nie musiał na szczęście zapoznawać się ze stanem faktycznym rzeczonyj sprawy, gdyż dzięki doniesieniom prasowym był on doskonale znany wszystkim warszawiakom. Gazety od tygodni rozpisywały się o pozwie wniesionym przez właściciela kamienicy przy Moniuszki 4, w którym ów domagał się natychmiastowego rozebrania wspaniałego warszawskiego niebotyku. Niedawno wybudowana wizytówka stolicy i niewątpliwa ozdoba placu Napoleona przysłoniła bowiem widok z niektórych okien kamienicy należącej do Eisenstadta, a ten w księdze hipotecznej swojej nieruchomości miał zapewnioną służebność światła i widoku. Jego roszczenia jednych bawiły, innych oburzały, ale wszyscy byli ciekawi, jak zakończy się ta niecodzienna historia. Głośną sprawą zajął się oczywiście mecenas Stein, któremu udało się namówić klienta, żeby zamiast rozbiórki budynku zażądał stosownego odszkodowania za niemożność korzystania z należnej mu służebności. Choć dzisiejsza rozprawa miała być już tylko

formalnym zakończeniem postępowania, przezorny Berek uznał, iż najlepiej będzie na wszelki wypadek mieć wszystkie akta przy sobie.

Zmierzając do gabinetu ojca, przeszedł obok uchylonych drzwi sypialni Estery. Nie spodziewał się, że ją zastanie, gdyż przy śniadaniu oświadczyła domownikom, że planuje spędzić cały dzień z koleżankami, przeglądając świeżo przywiezione przez ojca z Paryża katalogi sukien ślubnych w domu Rywki Cymerowej. Odruchowo rzucił jednak okiem na pokój przez szparę w niedomkniętych drzwiach i zatrzymał się w pół kroku, wstrzymując oddech. W ustawionym nieopodal wejścia lustrze umywalki ujrzał mężczyznę przyciskającego wargi do ust jego siostry. Choć stał odwrócony do drzwi plecami, Berkowi wystarczyło jedno spojrzenie na rozwichrzone, słomkowej barwy włosy, by rozpoznać w nim Tadeusza Zasławskiego, najmłodszego brata Jana. Odwrócił wzrok, w duchu modląc się, by to, co przed chwilą zobaczył, było jedynie przywidzeniem. Opanował oddech i drżenie rąk, po czym spojrzał ponownie.

Pośrodku dziewczęcego pokoju Estera, ubrana w zwiewną, ametystową sukienkę, wygięta we wdzięcznej pozie, tonęła w ramionach Tadeusza. Berkowi mimowolnie przemknęło przez myśl, że tych dwoje stanowi nadzwyczaj urodziwą parę. Nie mógł uwierzyć, że ta irracjonalna przygoda miłosna, do której zakończenia niegdyś sam się przyczynił, ma swój ciąg dalszy. Zaraz potem zaczął się zastanawiać, gdzie też podziąła się Sonia Libeltowa i jak to możliwe, że tych dwoje tak bezceremonialnie łamie wszystkie powszechnie obowiązujące

zasady dobrego wychowania oraz reguły panujące w tym domu. Szybko jednak przypomniał sobie, że Sonia miała dostać wolne przedpołudnie, by korzystając z nieobecności Estery, pomóc siostrze w przygotowaniach do zaplanowanej na dzień następny bar micwy jej syna. Był pewien, że to nie przypadek. Estera z właściwym sobie sprytem i przebiegłością zadbała o to, by nikt nie przeszkodził jej w potajemnym spotkaniu z Zasławskim. Odwrócił wzrok, ale nie był w stanie zmusić się do odejścia od drzwi pokoju siostry. Zastanawiał się, czy aby nie powinien wejść do środka i przerwać im schadzki, nim nakryje ich ktoś ze służby, kto z pewnością nie pozostawi dla siebie nowinki o córce mecenasa Steina, przy okazji, a może przede wszystkim, narzeczonej potomka wielkiego Zimmermana, przyłapanej w objęciach piłkarza reprezentacji Polski. Ta wiadomość zapewne na wiele dni zelektryzowałaby warszawskie salony plotkarskie, zniszczyła dobre imię Estery i z pewnością przysporzyła wielu zmartwień rodzicom.

Choć uważał zachowanie siostry za naganne, nie chciał, by znalazła się na językach wszystkich w mieście, nim sam będzie miał szansę z nią porozmawiać. Nie miał zamiaru narażać reputacji Natana ani ryzykować, że dowie się o tym wszystkim od kogoś postronnego. Kto wie, czy w obronie swego honoru nie wyzwiałby Tadeusza na pojedynek? Wprawdzie ta metoda rozwiązywania sporów była w niepodległej Polsce oficjalnie zabroniona, ale wszyscy ignorowali ten zakaz i nawet policja przymykała oko na pojedynki. Honor usprawiedliwiał łamanie prawa.

Mimo wszystko nie zamierzał także upokarzać Estery. W jego ocenie sama wystarczająco się już poniżyła i prędzej czy później z pewnością zda sobie z tego sprawę. Poza tym sytuacja, której przypadkiem został świadkiem, była zbyt intymna, by ośmielił się w nią bezpardonowo wkroczyć. Musiał jednakże przerwać tę nedorzeczną scenę.

Położył dłoń na klamce i nie ujawniając swojej obecności, głośno zamknął drzwi sypialni dziewczyny. Usłyszał rumor, jakby na podłogę spadło coś dużego. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, przypomniawszy sobie o rozprawie Izaaka Eisenstadta, pośpieszył do gabinetu ojca. Postanowił, że sprawą Estery i Tadeusza zajmie się później, gdy zelżeją wzburzenie, żal i mnóstwo innych niezbyt przyjemnych emocji, które odczuwał w tej chwili.

Biedny Natan, myślał, schodząc po chwili schodami kuchennymi, z kompletem dokumentów pod pachą.

Zgodnie z przewidywaniami ojca, rozprawa okazała się czystą formalnością. Strony zaakceptowały wspólnie ustalone, dogodne dla wszystkich warunki ugody. Warszawski niebotyk miał pozostać na placu Napoleona, nadal ciesząc swoją nowoczesną urodą warszawiaków i przybywających do stolicy turystów, lecz na otarcie łez po częściowej utracie światła i widoku z niektórych okien kamienicy Izaak Eisenstadt otrzymał od Towarzystwa Ubezpieczeniowego Prudential okrągłą sumę tytułem zadośćuczynienia. Berek porozmawiał jeszcze chwilę z wyraźnie zadowolonym klientem. Nie przyjął jednak zaproszenia na obiad dla uczczenia tak pomyślnego zakończenia konfliktu, wymawiając się kolejną rozprawą.

Ponieważ dociekliwy mężczyzna odprowadzał go wzrokiem, Berek zamiast do domu, ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę pobliskiego placu Krasińskich, gdzie swoją siedzibę miał Sąd Apelacyjny. Upewniwszy się, że Eisenstadt stracił go z oczu, nie zawrócił jednak, nie chcąc się narażać na niezręczne przypadkowe spotkanie. Szedł przed siebie, niesiony nagłym pragnieniem znalezienia odrobiny samotności, by po przeżyciach poranka odzyskać równowagę i postanowić coś w kwestii dalszego postępowania względem Estery i Tadeusza. Tuż za placem skręcił w lewo, w Świętojerską, by już po chwili znaleźć się w kanale Nalewek, pachnącym kiszoną kapustą, smażoną cebulą, rybami i czymś nieuchwytnym, czego zapach w całej Warszawie można było znaleźć tylko tu, na drodze prowadzącej do innego świata.

Plątanina myśli i pytań osaczyła umysł Berka tak gęstą siecią, że nie zważał na to, co się z nim dzieje. Po chwili szybkiego marszu był już głęboko na Nalewkach. Rzadko zapuszczał się w te rejony. W nagłym przebłyску spróbował przypomnieć sobie, kiedy był tu po raz ostatni. Miało to miejsce ponad dwa lata temu, gdy szukając prezentu dla ojca, udał się do mieszczącej się tuż za Arsenalem księgarni Abrahama Kahana.

Choć minęło tyle czasu, Berek miał wrażenie, że nic się tutaj nie zmieniło. Ulica nadal zdawała się z trudem wciskać pomiędzy tulące się do siebie zaniedbane, niewysokie domy, które pochylały się nad nią, jakby próbowały zasłonić złowieszczym cieniem ostatnie widoczne skrawki nieba. Odymione od lamp naftowych okna wpatrywały się w siebie

nawzajem poszarzałym, pełnym smutku spojrzeniem. Jediną ozdobę ulicy stanowiły gęsto poprzybijane do ścian drzwi i okiennic tabliczki reklamowe w językach hebrajskim i polskim, dla niepiśmiennych opatrzone zgrabnymi rysunkami. Mówiono, że Nalewki to najbardziej handlowa ulica w stolicy, że jest tu więcej sklepów niż na trzykrotnie dłuższej Marszałkowskiej. Patrząc na liczbę owych tabliczek, Berek nie miał wątpliwości co do prawdziwości tych słów. Dodatkowo ponad jego głową dygotały papierowe chorągiewki mniej trwałych ogłoszeń, informujących o ulokowanych tu składach i domowych fabrykach. Sklepy znajdowały się na wszystkich piętrach, wciskały się w bramy, na podwórka, do piwnic i na strychy. W mikrokosmosie Nalewek można było kupić bez wyjątku wszystko, przy okazji załatwiając wszelakie sprawy życiowe. Były tu magazyny okryć damskich i męskich, warsztaty jubilerskie, zegarmistrzowskie i litograficzne, składy papieru i przyborów piśmienniczych, zakłady rymarskie i obuwnicze, niezliczone składy materiałów aptecznych, księgarnie, sklepy z pełnym asortymentem produktów spożywczych, dom sprzedaży przędzy bawełnianej, pakownie towarów, skup skór surowych, hurtownie szkła, papierosów, trunków z całego świata, biura ekspedycyjne, pracownie krawieckie, warsztaty, zakłady naprawcze i cała masa innych mniejszych i większych sklepików oraz zakładów usługowych. Przyjmował tu nawet pisarz prywatny, który pomagał niepiśmiennym prowadzić korespondencje urzędowe. Słowem: miasto w mieście.

Na Nalewkach najważniejsze były prowadzone interesy, przestrzeń do pracy chałupniczej, w którą zaangażowane były najczęściej całe rodziny, nie wyłączając małych dzieci czy starców. Jakikolwiek komfort mieszkania schodził na drugi plan. Wszystko to robiło niezwykle przytłaczające wrażenie. Berek poczuł, że mu duszno, i rozluźnił nieco szalik. Czuł się tak, jakby ktoś wrzucił go do ciemnej, ciasnej studni, z której nie było wyjścia. Aż wzdrygnął się na myśl o tym, jak nieprzyjemne musi być to miejsce wieczorami. Dookoła nie widać było nawet jednej latarni gazowej, o elektrycznej nie wspominając.

Najciemniejszy zautek Wszechświata..., pomyślał.

Poczuł się winny, że kiedy on żyje w jasnym, pełnym światła i wszelkich udogodnień świecie zbytku, jego współbracia w wierze zmagają się z codziennością napiętnowaną nędzą, brudem, chorobami i tą wszechobecną nawet za dnia ciemnością. Podczas gdy on płacił się w luksusie, na który nie zapracował, oni nie mieli czym nakarmić dzieci. Dłuższą chwilę rozważał z goryczą, czy Bóg rzeczywiście mógł mieć w tym jakiś plan i zamiar, że jedni bez swojej winy rodzą się w nędzy, a inni bez żadnej zasługi od kołyski opływają w dostatki.

Nagle usłyszał za sobą jakiś hałas. Odwrócił się szybko i ujrzał gromadę małych chłopców, którzy właśnie wybiegli z kamienicy, przy której stał. Mieli znoszone, podarte ubrania, za duże buty i krzywo uszyte mycki, ale na ich przybrudzonych, szczerbatych buziach malował się wyraz prawdziwego szczęścia. Dzieci, śmiejąc się głośno, przebiegły

obok niego. Jeden z chłopców ścisnął pod pachą piłkę zrobioną z kawałków szmat. Pozostali gonili go, wesoło pokrzykując, szturchając się nawzajem, wskakując sobie na plecy. Berek nie mógł się nie roześmiać. Pomyślał, że dzieci są wszędzie takie same, nieważne, biedne czy bogate, najedzone czy głodne, zawsze znajdą jakiś powód do radości. Przywołał jednego z chłopców. Wskazany malec struchlał i zastygł w bezruchu, wpatrując się z przerażeniem w eleganckiego pana w lśniących butach, pięknym palcie i idealnie wyfasowanym kapeluszu. Wreszcie przełknął ślinę i wolnym krokiem podszedł do Berka. Pozostali chłopcy przystanęli w pewnym oddaleniu, z przestrawieniem przyglądając się scenie. Stein nic nie powiedział, tylko wcisnął w dłoń malca kilka monet i odszedł.

Za plecami usłyszał narastającą wrzawę i okrzyki radości. Uśmiechnął się do samego siebie. Wprawdzie wiedział, że doktor Korczak nie pochwaliłby jego postępowania: podczas każdej dyskusji na ten temat powtarzał, że jałmużna rozleniwia, a dla nędzarzy lenistwo jest początkiem końca. Berek usprawiedliwił się jednak, że przecież ci chłopcy nie zebrali, o nic go nie prosili, a wszak nikt nie broni sprawić czasem przyjemności bawiącym się grzecznie dzieciom.

Ulica zaczęła się rozszerzać, a wraz ze wzrostem wolnej przestrzeni i większą ilością światła tuż obok niego na chodnikach zaczęli pojawiać się ludzie. Dziesiątki, setki ludzi, wyłaniających się z ciemności podwórek i bram jak wielkie stada pajaków, szły we wszystkich kierunkach, przepychając się, potracając, nawołując. Zszokowany Berek stwierdził nagle,

że na tej samej ulicy, na której kilkanaście metrów wcześniej nie było żywej duszy, teraz przyszło mu przedzierać się przez cisnący się ze wszystkich stron tłum. Wychudzone kobiety niosły kosze rozmaitych wiktuałów. Przybrudzeni szczotkarze z worami ostrych szczotek usiłowali wymijać ciągnięte przez brodatych mężczyzn w czapkach zsuniętych głęboko na oczy wózki, wypełnione mąką, starociami, słomą, drewnem, węglem i całą masą innych rzeczy.

Tuż obok Berka z turkotem przejechał wózek z pierzem, toczony z wyraźnym wysiłkiem przez drobnego, zgarbionego mężczyznę z pooraną bruzdami twarzą, w podartym chałacie nie pierwszej świeżości. Podmuch wiatru wzbił w powietrze samotne piórko, które zapewne wypadło z któregoś worka podczas wiązania. Delikatny, jasny puszek uniósł się do góry i zatańczył w strumieniu powietrza. A potem maleńkie piórko opadło z gracją na chodnik i natychmiast zostało przygniecione ciężkim, ubłoconym butem przypadkowego przechodnia. Berek, dziwnie poruszony tą sceną, poddał się i pozwolił nieść owej ludzkiej fali.

Chwilę później unoszący go tłum wylał się z Nalewek wprost na tętniący życiem, buzujący dźwiękami i zapachami plac Muranowski. Dawniej na tym placu o bodajże najregularniejszym kształcie w stolicy, otoczonym ze wszystkich stron niskimi, nieciekawymi kamienicami, odbywały się targi końskie, przeniesione w połowie XIX wieku na prawy brzeg Wisły. Czasami urządzano tu festyny lub jarmarki, podczas których na środku placu występowali cyrkowcy lub żydowskie grupy aktorów. Teraz jednak miejsce

to zalewały nieprzeliczone rzesze ludzi, kręcących się wokół swoich codziennych spraw jak pszczoły w ulu. Berek nie mógł się oprzeć wrażeniu, że słyszy coś na kształt bzyczenia, na które składały się szmery rozmów, okrzyki zachwyty bądź przygany, płacze i śmiechy dzieci, stukoty, warkoty, rzenie koni, gruchanie gołębi, dzwonki tramwajów. Nagle przez ową plątaninę kupieckich odgłosów przebił się metaliczny dźwięk katarynki. Berek rozejrzał się wokół w poszukiwaniu źródła rzewnej melodii.

W rogu placu, niedaleko miejsca, w którym stał, dostrzegł starego kataryniarza z wielką tubą przywiązaną sznurkami do starego, dziecięcego wózka o powyłamanych szprychach. Miał znoszony, ciemny płaszcz z postawionym kołnierzem i dziwny szal, zakrywający głowę, spod którego wystawały pozlepiane w strąki włosy. Szal zasłaniał niemal całą twarz mężczyzny, a gęsta broda skrzętnie zakrywała usta – o których istnieniu świadczył jednak zwisający, pocięty papieros. Na dłonie kataryniarz nasunięte miał postrzępione rękawiczki bez palców, obnażające brudne, zbyt długie, krzywe paznokcie. Wygrywana przezeń muzyka była inna od tych, które Berek często słyszał na śródmiejskich podwórkach. Tam tony były skoczne i wesołe, kataryniarze przytupywali, kręcąc korbką instrumentu. Niekiedy do taktu podrygiwała przytroczona do mechanicznego instrumentu laleczka, innym razem oswojona małpka, nauczona wyciągać przed siebie czapeczkę, aby przechodnie wrzucali do niej drobne monety. Dookoła tamtych kataryniarzy szybko gromadzili się zwabieni beztroską atmosferą przechodnie oraz dzieci, które dopełniały muzykę

swoim dźwięcznym śmiechem i niemal natychmiast zaczynały tańczyć. Tu, na placu Muranowskim, skryty w cieniu trzypiętrowej kamienicy, odziany w łachmany katarzyniarz był sam. Każda nuta wydobywająca się z jego instrumentu przepełniona była smutkiem. Wzruszony Berek zasłuchał się w ową melancholijną muzykę.

Nawet tu, wśród ubóstwa i prawdziwych trudów codzienności ludzie pragną piękna i szukają w muzyce chwil choćby złudnego zapomnienia, pomyślał.

Wiedziony niespodziewaną, nieuchwytną potrzebą wolności, tęsknotą za harmonią i wiarą w sens istnienia, spojrział w górę, prosto na błękitny, nieskażony nawet jednym kłębkim chmur nieboskłon. Widok bezmiar czystego nieba przyniósł mu ulgę i ukoił nadszarpnięte nerwy.

Chwile zapomnienia..., myślał. Czy tego właśnie Estera szukała w ramionach Tadeusza? Jeśli tak, to o czym tak bardzo chciała zapomnieć? Od zawsze miała wszystko, czego mogła zapragnąć, a Natan byłby w stanie spełnić każde jej marzenie, nawet takie, o którym nie miała odwagi pomyśleć. Rozszerzyłby jeszcze horyzonty jej wyobraźni, pokazując cudowności tego świata, które na jedno jej skinienie złożyłby u jej stóp...

Berek doskonale wiedział, jak bardzo Natan kocha jego siostrę. Już jako chłopiec dostrzegał, że Natan łągnie do Estery jakby przyciągany magiczną siłą, z której istnienia jeszcze żadne z nich nie zdawało sobie sprawy. Lubił słuchać jej głosu, patrzeć, jak się uśmiecha, obserwować, jak się porusza. Natan ją uwielbiał, ale Estera zdawała się wcale tego nie

dostrzegać. Sądząc po tym, co dziś zobaczył, Berek był przekonany, że jego siostra ma na oczach te same zasłony, co w dzieciństwie.

– Biedny Natan – westchnął po raz nie wiadomo który tego dnia.

Muzyka umilkła i uliczny gwar zagłuszył jego myśli, dotąd oddzielone metalicznymi dźwiękami katarynki. Wyrwany z zamyślenia Berek ruszył przed siebie. Wkrótce znalazł się na samym środku placu, co było tak ekscytujące i niebezpieczne zarazem, że chwilowo zapomniał o miłosnych wybrykach siostry. Na placu Muranowskim krzyżowało się bowiem kilka linii tramwajowych, umożliwiających dotarcie niemal w każdy zakątek Warszawy. Tramwaje wprawdzie zwalniały wyraźnie, przejeżdżając przez to morze ludzi, zwierząt i towarów, ale i tak należało zachować ostrożność, gdyż w tym zgiełku i harmidrze można było nie usłyszeć nadjeżdżającego pojazdu. Berek miał wielką ochotę wrócić już do swojego świata. Rozglądał się za tramwajem tak intensywnie, że nie zauważył siedzącej tuż obok niego grubej baby, która sprzedawała ogórki kiszzone i kwas ogórkowy, i nieomal przewrócił jej beczkę. Baba posłała mu długą wiązaną przekleństw, co wnioskowało z jej miny i tonu głosu, gdyż większość z nich słyszał po raz pierwszy. Handlarka ogórkami wyglądała, jakby unosiła się w powietrzu, bo stołeczek, na którym siedziała, zupełnie ginał w fałdach jej sukni, co w połączeniu z rozgniewanym wyrazem jej twarzy tworzyło demonicznie nieprzyjemną całość. Berek mruknął przeprosiny i wycofał się czym prędzej, pragnąc znaleźć się jak najdalej od grubej

handlarki. Ochłonał dopiero, minawszy wąsatego mężczyznę, który gromkimi okrzykami zapraszał do odwiedzenia pobliskiego szynku. Skołatanе nerwy Berka z pewnością odzyskałyby tam spokój, ale on nie zwykł bywać w takich miejscach.

Obok wejścia do szynku sprzedawano pachnące upajająco pomarańcze. Ich woń dziwnie kontrastowała z kwaśnymi zapachami dochodzącymi z pijalni. Dalej grupka chłopców z wypchanymi torbami przewieszonymi przez ramię donośnymi okrzykami reklamowała „Najlepsze papierosy!”, produkowane w pobliskiej Wytwórni Monopolu Tytoniowego przy Dzielnej.

– Rachatłukum? – usłyszał tuż obok cichutki, dziewczęcy głos.

Drobna, ciemnowłosa dziewczynka stała tuż przy jego boku i wpatrywała się w niego z nadzieją. Berek wprawdzie nie przepadał za słodyczami, zwłaszcza za tą szalenie słodką mieszaniną cukru, mąki i aromatów owocowych, posypanych obficie cukrem pudrem, ale nagle uświadomił sobie, że od rana nie miał nic w ustach. Poza tym coś w owym roziskrzonym nadzieją spojrzeniu dziewczynki nie pozwalało mu odejść od niej, nie kupiwszy niczego.

Skinał głową, a mała przekupka brudną rączką skwapliwie nałożyła mu kilka czerwonych kosteczek do papierowej torebki. Podał jej banknot o wartości znacznie przekraczającej cenę rachatłukum, ale na pytające spojrzenie dziewczynki skinął tylko głową, dając znak, by zatrzymała resztę. W odpowiedzi otrzymał przepełniony szczęściem uśmiech.

Talmud mówi, że gdyby oko mogło ujrzeć demony zaludniające świat, życie stałoby się niemożliwe, przypomniało mu się jedno z ulubionych zdań jego ojca.

Ale gdyby można było ujrzeć wszystkie anielskie dusze, skryte niekiedy w najbardziej niepozornych postaciach, życie byłoby o wiele piękniejsze, pomyślał Berek, patrząc na oddalającą się w podskokach małą istotę.

Pokrzepiony tą myślą, wsunął do ust nieco wysuszony kawałek rachatkum i ruszył dalej. Żując lepki przysmak, zastanowił się, czy aby na pewno zna własną siostrę tak dobrze, jak mu się zawsze wydawało. Może miłość braterska uniemożliwiała trzeźwą ocenę i zaburzała widzenie. Może i Natan się mylił, kochając ją aż tak. Berkowi zrobiło się smutno, że mimo wysiłku i najszczerzej chęci nie potrafi pomóc najbliższemu. Zawiódł Jana, Esterę, Natana, nie zdołał im pomóc.

I nagle zrozumiał! Pomaganie im było o wiele trudniejsze niż danie pieniędzy potrzebującej dziewczynce. Ta mała całą sobą starała się przekazać mu, jak bardzo potrzebuje, by wyciągnąć do niej dłoń. Patrzyła na niego z ufnością wyrażającą głębokie przekonanie, że on znajdzie jakieś, choćby krótko działające, lekarstwo na jej niedostatek. Oni zaś wcale tej jego pomocy nie pragnęli. Narzucali się im, chcąc ich chronić, pewny, że może wyprostować ich ścieżki. Oni zaś wprawdzie wysłuchiwali jego rad, ale i tak wybierali własne drogi. Tak było z Janem i tak było również teraz z Esterą. Każdy żyje osobno, tak jak tu, na Nalewkach, gdzie na morze ludzi składały się pojedyncze kropelki handlarzy, woźniców,

przekupek, pucybutów, woziwodów, szczotkarzy, szewców, krawców, lalkarzy, dzieci. Podobnie jest w przyjaźni, miłości, w rodzinie – choć ludzie tworzą całość, zespojoną uczuciem, lojalnością, wiernością, to jednak każdy dokonuje własnych wyborów, sam decyduje o kolejnym kroku. Sam też musi zapłacić cenę za potknięcie.

Berek wsiadł do nadjeżdżającego właśnie tramwaju numer 14, zmierzającego w stronę placu Grzybowskiego, powziąwszy mocne postanowienie, iż nie będzie więcej wtrącał się w sprawy Estery i pozwoli jej żyć tak, jak tego pragnie, czekając jednak w pobliżu, by przyjść jej z pomocą, gdy będzie tego naprawdę potrzebowała. Przemilczy dzisiejsze zajście i nie będzie wpływał na wybór, którego musi dokonać, pomiędzy Tadeuszem a Natanem. Już raz spróbował i jak widać nie przyniosło to spodziewanego rezultatu. Estera musi zdecydować o swoim losie sama.

Berek stanął na stopniu i nagle poczuł się wolny, jakby ktoś zdjął z jego ramion ciężar odpowiedzialności za czyny najbliższych. Zrozumiał, że odpowiedzialny jest jedynie za swoje życie i uczynki.

Rozdział 19

Teodor Rakowski szczyił się tym, jak baczny jest obserwatorem. I tym razem szybko zauważył, że Starczewski przestał pojawiać się w cukierni. Wkrótce, ku jego wielkiemu zadowoleniu, od dawna krążące po mieście plotki o pogarszającym się stanie zdrowia właściciela „U Hanki” okazały się prawdą. Niebawem do uszu Rakowskiego dotarła wiadomość, że cukiernik po krótkim pobycie w szpitalu, gdzie trafił z rozległym zawałem serca, dochodzi do siebie w domu. Szczodrze wynagrodzony informator zapewniał, że zdaniem lekarzy pan Antoni przez najbliższe miesiące nie powinien nawet myśleć o pracy. Rakowski przyjął wszystkie te wieści jako zapowiedź nadchodzącego triumfu. Oto bowiem nadarzała się niepowtarzalna okazja, by jego fortel zakończył się sukcesem.

Przez ostatnie tygodnie z przyjemnością przyglądał się z przeciwległej strony ulicy, jak jego syn wizytuje cukiernię „U Hanki”, nadskakując i asystując córce właściciela. Nie uszło jego uwagi, że wizyty te stają się coraz częstsze i znacznie się wydłużają, a Michał nierzadko wyczekuje, aż Słodka Pola skończy pracę, by odprowadzić ją do domu. Był jednak pewien, że syn w ten sposób pragnie uwiarygodnić swoje przywiązanie do dziewczyny, tak by nie wzbudzić jej podejrzeń. Myśl o tym, że Michał istotnie mógłby zainteresować się Apolonią Starczewską, ani na moment nie zaświtała w głowie Rakowskiego.

Tego dnia obudził się w znakomitym humorze i postanowił udać się na Wioślarską, odebrać syna z porannego treningu i zaprosić na wspólne śniadanie, podczas którego mieliby sposobność omówić plan dalszego postępowania na drodze do przejęcia „U Hanki”. Skoro Starczewski był w tak złym stanie, należało korzystając z tej niewątpliwie sprzyjającej okoliczności, zintensyfikować działania, co mogło znacznie przyspieszyć zwycięstwo. Ostatnimi czasy rozmijali się z Michałem na codziennych ścieżkach. Gdyby Rakowski wyzbył się choć części złudzeń dotyczących własnej rodziny i był ciut baczniejszym obserwatorem najbliższych, zauważyłby z pewnością, że Michał najzwyczajniej w świecie go unika. Rakowski jednak, niczego nie dostrzegając, tłumaczył sobie tę sytuację nadmiarem zajęć ich obu i nieco innym planem dnia. W tym również było sporo prawdy.

Michał zaczynał dzień, gdy słońce wczesną wiosną wciąż jeszcze pogrążone było w głębokim śnie. Rowerem udawał się na Wioślarską, po drodze zajeżdżając do ciastkarni braci Philippów przy Koszykowej 33 po gorącego, wyjętego prosto z pieca i nawet jeszcze niepolukrowanego, niemal stugramowego papatacza – puszystą drożdżówkę wypełnioną chrupiącymi bakaliami. Wprawdzie podwoje sklepu otwierano dopiero o szóstej, ale nieśmiały chłopak już dawno ujął swoją skromnością i nienagannymi manierami obsługę cukierni, tak że przyjeżdżał po swoje śniadanie prosto pod drzwi zaplecza. Zazwyczaj gawędził chwileczkę z przyjaźnie usposobionym i mimo wczesnej pory gadatliwym piekarzem, raczej słuchając jego wynurzeń, niż samemu się zwierając, z czego obie strony

wydawały się zadowolone. Następnie, grzejąc dłoń trzymanym w niej papataczem, ruszał na Powiśle, gdzie punktualnie o szóstej rano rozpoczynał trening.

Otwarta przed siedmioma laty przystań Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego była najnowocześniejszym tego typu obiektem w całej Europie. W sezonie letnim miejsce to odwiedzały niezliczone rzesze zagranicznych gości. Wycieczki wioślarzy amatorów przyjeżdżały jedynie zwiedzać trójkondygnacyjny budynek, w którym mieściły się basen wioślarski do treningów zimowych, szatnie z nowocześnie wyposażonymi łazienkami, a przede wszystkim restauracja z tarasem, z którego rozciągał się wspaniały widok na Wisłę. W oddzielnych budynkach znajdowały się hangary na łodzie, doskonale wyposażone warsztaty skutnicze, mieszkania dla pracowników Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego i pomieszczenia wspólne, w których członkowie urządzali zabawy i najróżniejsze szkolenia.

Profesjoniści przybywali zaś do Warszawy, by trenować w dogodnych warunkach. Z tymi gośćmi zwłaszcza najmłodszy spośród członków towarzystwa często poczynali sobie nieco humorystycznie. Nie dalej jak tydzień temu Michał opowiadał rodzicom, jak podczas wizyty angielskiej drużyny wioślarskiej, która odbywała w Warszawie zgrupowanie przed mistrzostwami świata, postanowili z kolegami zakpić z dostojnych, słynących z taktu i wytworności kolegów. Gdy Anglicy przybyli na swój pierwszy trening, zastali polskich gospodarzy już zwodowanych, ubranych w jednakowe stroje sportowe i... meloniki. Minęło sporo czasu, nim goście

zrozumieli, że Polacy na co dzień nie pływają w tym nadzwyczaj eleganckim nakryciu głowy.

Michał kochał wodę. Wioślarstwo było jego największą pasją. Gdy wiosła zanurzały się po to, aby za chwilę wyrwać się na powierzchnię i z całą gwałtownością uderzyć w taflę, czuł, że rozumie porządek i zasady funkcjonowania tego świata. To go uspokajało, koło napięcia natury obdarzonej szczególną wrażliwością, dla której każde, choćby najmniejsze niepowodzenie, drobnostka w oczach innych, urastało w głębi duszy do rozmiarów poważnej klęski. Wiosłowanie było przewidywalne i nie niosło ze sobą ryzyka narażenia się na śmieszność czy obelgi. Na wodzie zawodnicy byli sami – poszczególne drużyny, łodzie, wiosła i nurt rzeki. Kibice i sędziowie pozostawali na brzegu, co pozwalało skupić się na wykonywaniu zadania bez konieczności rozmyślania o innych.

Najbardziej lubił pływać o świcie, gdy mleczna, gęsta mgła wisiała ciężko nad wodą, nadając znanym nurtom warszawskiej rzeki tajemniczego i z lekka złowróżbnego wyglądu. Michał czuł się wówczas jak bohater dziecięcych opowieści awanturniczych, którzy będąc zwykle piratami o złotych sercach, nieznającymi strachu, bez chwili wahania wpływali w kłębowiska chmur osiadłych na morzu, za którymi czekać mogły na nich śmiertelne niebezpieczeństwa albo spełnienie marzeń o chwale i sławie oraz wielka miłość. Każdego ranka, gdy jego łódź wpływała w mglistą otchłań, wspomnienie owych bajkowych strachów i dziwów powracało, pripraviając Michała o szybsze bicie serca.

Po powrocie z treningów udawał się na górę skarpy, na Uniwersytet Warszawski, przemianowany w ubiegłym roku po śmierci Marszałka na Uniwersytet Józefa Piłsudskiego w Warszawie, gdzie studiował na Wydziale Lekarskim. Sam Michał najchętniej zostałby słuchaczem pobliskiej Akademii Sztuk Pięknych, ale ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć i nakazał synowi zapisać się na studia medyczne.

Po zajęciach miał kolejny trening, już nie na wodzie, lecz w sali gimnastycznej, gdzie członkowie Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego trenowali także fechtunek. Od pewnego czasu każdą wolną chwilę w tym i tak napiętym do granic harmonogramie spędzał na Wilczej w towarzystwie Słodkiej Poli. Mimo iż od restauracji ojca dzieliło go kilkadziesiąt kroków, ani razu go nie odwiedził. Po treningach Michał wracał do domu i kładł się spać, by zebrać nieco sił na wieczorną naukę.

W przeciwieństwie do syna, który był raczej typem stroniącego od ludzi introwertyka, ojciec pasjami lubił rauty, bale, prozowane kolacje, partyjki brydża lub preferansa, wizyty w teatrach, na koncertach oraz w operze i wszelkie inne rozrywki, zwłaszcza te, w trakcie których nadarzała się sposobność do wejścia w nowe, przydatne w przyszłości koneksje bądź do załatwienia spraw, którymi należało się zająć z dala od ciekawskich oczu, nieoficjalnie. Zatem gdy Michał budził się z poobiedniej drzemki, by zasiąść do nauki, elegancko przyodziany Rakowski w towarzystwie nie mniej szykownej żony byli już w drodze na kolejne spotkanie

towarzyskie, z których zwykle wracali nad ranem, po czym spali do południa.

Toteż tego ranka, gdy Michał dostrzegł majaczącą w oddali sylwetkę ojca, który stał na pływającej przystani i machał doń trzymaną w ręku gazetą, zdziwił się do tego stopnia, że ku wyraźnemu niezadowoleniu kolegów na moment zmylił rytm wiosła. Kiedy łódź jego drużyny dobiła do brzegu, tknięty złym przeczuciem, czym prędzej wyskoczył i ruszył w stronę ojca.

– Papo, a co papa tutaj robi? – zapytał Michał, któremu obecność ojca na przystani o świcie wydawała się nierealna.

– Poranne dzienniki wieszczą nadejście kolejnego kryzysu, ba, może i wojny, a tutaj proszę, od rana beztrosko kultywuje się młodzieńczą tężyzną! – Rakowski radośnie powitał syna, udając, że nie dosłyszał pytania.

Na twarzy Michała odmalowało się osłupienie. Był pewien, że ojciec nie zjawiał się na przystani o tak wczesnej porze bez powodu. Wiedział również, że doniesienia prasy codziennej na temat sytuacji międzynarodowej, choćby najbardziej złożonej i trudnej, nie zmusiłyby Teodora Rakowskiego do opuszczenia sypialnianych pieleszy. Nie wiedząc, co powiedzieć, milczał, patrząc na ojca pytająco.

– Pewnie ci zimno – zasugerował Rakowski, nadal niczego nie tłumacząc. – Przebierz się i pozwól ojcu zaprosić się na śniadanie. Co powiesz na „Gastronomię”? Miałem wprowadzić ochotę na porządne śniadanie w Hotelu Europejskim, ale dziś jest czwartek, co niestety oznacza, że serwują od rana te wszystkie w najwyższym stopniu obrzydliwe owoce morza. „Gastronomia” może nie jest najdostojniejszym lokalem, ale na

śniadanie w sam raz. A co ważniejsze, człowiek nie naraża się na niebezpieczeństwo, że o poranku podadzą mu zupę, w której pływać będą macki ośmiornic lub oślizgłe ostrygi, które potem będzie czuł w żołądku przez następne dni.

Tu Rakowski wzdrygnął się teatralnie, jakby sama myśl o owocach morza przyprawiała go o mdłości.

– W „Gastronomii” menu jest pewne jak śmierć! – dodał po chwili i zachichotał, rozbawiony własnym dowcipem. – Nie daj się prosić. Mają zawsze świeży chleb pytlowy, nienaganny wybór wędlin, świeży twaróg... Można się tam także napić wcale niezłej kawy.

I koniaku z rana, dodał w myślach Michał, lecz bez słowa sprzeciwu pośpieszył do szatni. Wyczuł, że dalsze próby poznania prawdziwej przyczyny pojawienia się ojca na przystani również skończyłyby się niepowodzeniem. Bez wątplenia miał jakiś ukryty cel, ale najwyraźniej Michał musi poczekać, aż ojciec sam raczy mu go wyjawić. Mimo to, przebijając się, chłopak nie mógł powstrzymać się od analizowania wydarzeń ostatnich dni, szukając wśród nich takiego, które mogłoby być przyczyną niecodziennej wizyty. Nagle nabrał niejasnego przekonania, że ojciec przyszedł porozmawiać z nim o Słodkiej Poli.

Od dłuższego czasu zdawał sobie sprawę, że nadejdzie dzień, w którym dobrowolnie bądź pod przymusem będzie musiał opowiedzieć mu o uczuciach, jakie żywi względem córki Starczewskiego. Nie był tylko pewien, czy dzisiejszy dzień sprzyja czynieniu podobnych zwierzeń.

Gdy wyszedł z siedziby Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego, ojciec czekał w zaparkowanym po drugiej stronie ulicy samochodzie. Skinął na syna i nim ten zdążył porządnie usadowić się na miejscu, nakazał szoferowi ruszyć wiaduktem Stanisława Markiewicza w górę, na skarpe. Od małego Michał przepadał za samochodowymi przejażdżkami po tym secesyjnym, pięknie przyozdobionym rzeźbami i dekoracjami architektonicznymi dłuta Jana Woydygi, ślimakowatym wiadukcie, ale dziś podróż nie cieszyła go jak zwykle. We wszystkim, co się działo, było coś nieuchwytnego, ulotnie niepokojącego, jakby niewypowiedziana groźba. Po chwili mknęli już Krakowskim Przedmieściem, mijając uczelnię Michała, który dziś miał wykłady dopiero od południa. Gdy dojechali na róg Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, Rakowski wysiadł z samochodu i nie patrząc na syna, ruszył w kierunku wejścia oświetlonego rzęsiście dużym neonem, zawieszonym tuż nad drzwiami. Michał niechętnie ruszył w ślad za nim. Usiedli w miłym wnętrzu kawiarni, która po prawdzie z kawiarnią miała niewiele wspólnego; posiadanie koncesji na prowadzenie restauracji wiązało się jednak z koniecznością uiszczania znacznie wyższych podatków.

Owionięty ciepłem i przyjemnymi zapachami Michał poczuł się nagle ociężałe i sennie. Zjedli śniadanie, niewiele rozmawiając, i chłopak powoli zaczął się rozluźniać. Mało brakowało, by nabrał przekonania, iż ojciec rzeczywiście zaprosił go na śniadanie powodowany wyłącznie własnym kaprysem i chęcią spędzenia czasu z jedynym synem. Wtem

Rakowski odezwał się tonem niby lekkim, w którym jednak wyczułone ucho syna natychmiast dosłyszało badawcze nutki:

– A jak się mają sprawy z córką Starczewskiego?

Michał zaczerwienił się i nie wiedząc, co odpowiedzieć, wymamrotał coś pod nosem i włożył do ust kolejną tartinkę. Rakowski obrzucił go baczny spojrzeniem, odczekał, aż chłopak przełknie, i zapytał ponownie:

– Ostatnio często bywasz „U Hanki”. Mniemam zatem, że sprawy pomiędzy tobą i tą dziewczuchą układają się jak najlepiej, czyż nie?

Michał poczuł nagłe uderzenie przykrości, słysząc, jak ojciec wypowiada się o jego ukochanej. Przygryzł mocniej dolną wargę, zastanawiając się, od czego zacząć mówienie prawdy, która najpewniej nie przypadnie rodzicielowi do gustu. Teodor Rakowski był surowy i nieubłagany, gdy ktoś ośmielił się postąpić wbrew jego woli. Michał wiedział, że gdy szło o interesy, sentymenty rodzinne nie miały dla niego żadnego znaczenia. A kłamać tym razem zdecydowanie nie zamierzał. Życie w kłamstwie, w nieustannym lęku spowodowanym możliwością odkrycia jego tajemnicy, było zbyt męczące dla prostej, szczerzej natury chłopaka.

– Tak – odparł wreszcie niepewnie.

Czujne oczy Rakowskiego zwięzły się nieznacznie, gdyż zdołał już zauważyć nietypowe zachowanie syna. Jednakże podejrzenia, iż mógłby zadurzyć się w tej dziewczynie, nadal nie mogły przebić się przez warstwę narosłych w trakcie życia Michała ojcowskich przekonań, oczekiwań i wyobrażeń na jego

temat. Tymczasem Michał wziął głęboki wdech, czując, że strach przed nieuniknionym bierze w nim górę.

– Ożenię się z Polą – wyrzucił z siebie na jednym wydechu.

Rakowski przyklasnął.

– Zuch chłopak. Wspaniale! Zgodziła się już?

Michał oniemiał. Spodziewał się różnych reakcji ze strony ojca, ale nie tak entuzjastycznego przyjęcia jego oświadczenia. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że ten nadal żywi przekonanie, iż Michał realizuje opracowany przez niego plan przejścia cukierni Starczewskich.

– Papo, to nie tak. – Michał pokręcił przecząco głową. – Widzisz, ja chcę ożenić się z Apolonią Starczewską, z Polą, nie dla cukierni, lecz ponieważ ją kocham.

W jednej chwili oczy Rakowskiego zmieniły się w dwie wąskie szparki.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wysyczał, z trudem panując nad sobą.

– Nic ponad to, co już papie powiedziałem – rzekł Michał, który czuł, jak pod wpływem spojrzenia ojca kurczy mu się żołądek, a dłonie zaczynają lekko drżeć. – Ożenię się z nią. Zrobiłbym to choćby jutro, gdyby tylko zechciała.

Michał widział, jak dłoń ojca zaciska się na serwetce, a na jego twarzy pojawiają się czerwone wybroczyny; mimo to poczuł, że lęk ustępuje. Był dorosły, kochał wspaniałą kobietę i miał podstawy sądzić, że jest to uczucie odwzajemnione. Ku własnemu zaskoczeniu odkrył, że wszechwładny ojciec nad tym jednym aspektem jego życia nie panuje. Ta myśl dodała mu otuchy.

– Kocham Polę – powtórzył głośno i wyraźnie, napawając się dźwiękiem tych szczególnych słów.

Rakowski, nie zważając na pozostałych gości, walnął pięścią w stół. Oddech miał nierówny, nozdrza poruszały mu się z niezwykłą prędkością.

– A kim ty jesteś, żeby składać mi tu takie deklaracje? – wydyszał.

Michał nigdy dotąd nie widział ojca w takim stanie. Strach, który chwilowo ustąpił miejsca łagodnej świadomości kochania i bycia kochanym, powrócił ze zdwojoną siłą.

– Mam ci przypomnieć, co jeszcze kilka miesięcy temu sądziłeś na temat tej dziewczyny? – powiedział Rakowski, który zdążył nieznacznie ochłonać. – Albo dlaczego w ogóle zacząłeś się z nią widywać?

Michał spuścił wzrok. Winy z przeszłości okryły cieniem teraźniejszą radość.

– A może... – kontynuował Rakowski, widząc zawstydzoną twarz syna, tknięty naraz myślą tyleż odkrywczą, co okrutną. – A może ta dziewczucha o niczym nie wie?

Chłopak rozpaczliwie szarpnął głowę i spojrzał ojcu prosto w oczy.

– I może powinna się o tym wszystkim dowiedzieć? – dodał, pewien, że zagrał na właściwej nucie.

Michał zamrugał szybko, jakby nie dowierzał temu, co słyszy.

– Papa się nie odważy... – jęknął.

– Chcesz się przekonać? – zapytał Rakowski, a na jego twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech. – Skończyłem.

To mówiąc, ani razu nie spojrzawszy na syna, wstał i poszedł uiścić rachunek. Michał pozostał przy stoliku z duszą na ramieniu, modląc się, by ojciec nie spełnił swojej groźby.

Rozdział 20

W chłodne marcowe przedpołudnie Estera, jak przystało na dobrą, wielce stęsknioną narzeczoną, którą jednakże była tylko oficjalnie, czekała na wylądowanie samolotu Natana, powracającego z ostatniej przedślubnej podróży.

Przechadzając się niecierpliwie po wprowadzie niezbyt przestronnym, ale niezwykle nowoczesnym wnętrzu poczekalni w budynku pasażerskiego portu lotniczego na Okęciu, czuła się podle. Nigdy wcześniej nie doświadczała aż tak ogromnej niechęci względem samej siebie. To, co dwa lata temu po krótkim okresie zauroczenia wydawało jej się dziecinadą i zabawną dykteryjką z młodości, którą w przyszłości będzie mogła opowiedzieć wnuczce, ogarniętej podobnymi rozterkami, okazało się namiętnością, której nie potrafiła się oprzeć. Tadeusz zawładnął nią bez reszty, choć znajdowała się pod jego zgubnym wpływem wyłącznie wówczas, gdy był tuż obok. Kiedy zaś Zasławskiego nie było przy niej, nie rozmyślała nad tym, co robi, nad czym się zastanawia, jak mu idzie trening, czy zjadł śniadanie, czy się aby nie rozchorował. W ogóle o nim nie myślała, poza krótkimi uderzeniami gorąca, które odczuwała, wspominając mimowolnie jego pocałunki. Jednak każde wspomnienie rozkoszy tych chwil dostarczało także kolejnej porcji wątpliwości i strachu przed tym, co zrobiła, odnawiając znajomość z Tadeuszem.

Spotkali się zaledwie parę razy, na kwadrans lub dwa. Za każdym razem gdzieś, gdzie przy odrobinie pecha ktoś mógłby ich nakryć razem. Już same te spotkania we dwoje wystarczyłyby, żeby jej matkę przyprawić o zawał serca, a zwykle dobrotliwego ojca o straszny gniew. Wiedziała też, że potajemne schadzki mogły dać asumpt do zakwestionowania jej reputacji i dobrego imienia. Młodej, niezamężnej kobiecie nie wolno było spotykać się z obcymi mężczyznami, a i u mężatek podobne zachowanie nie było zbyt dobrze widziane. Za każdym razem, upajając się pocałunkami Tadeusza, drżała także z obawy przed wykryciem ich sekretu. Miała jednak niejasne przeczucie, że spragnionemu emocji i wciąż mocniejszych doznań Tadeuszowi taka sytuacja bardzo odpowiadała. Nie padło między nimi zbyt wiele słów. Tadeusz wprawdzie wyznał jej miłość, ale nie dowierzała mu ani nie odpowiedziała podobnym wyznaniem. Zresztą wcale tego od niej nie oczekiwał. To wszystko było tyleż niezrozumiałe, co niezdrowe. Nie mogła o nim całkiem zapomnieć, nie mogła powiedzieć mu, by odszedł i zniknął z jej życia, po prostu nie mogła. Tadeusz przyciągał Esterę jak źródło światła nocnego motyla, ale jakiś delikatny podszept wewnątrz duszy ostrzegał ją, że jeśli się nie opamięta i nie znajdzie wyjścia z labiryntu emocji, w którym się obecnie znajdowała, spłonie przez tę namiętność.

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia, które rozproszyłoby natrętne myśli i dręczące ją nieustannie wyrzuty sumienia, ale poczekalnia wydawała się wymarła. Choć od ponad roku mówiono, że dla lotnictwa cywilnego ma

to być port doraźny, działający jedynie do chwili wybudowania spektakularnego lotniska na Gocławiu, owa tymczasowość wciąż się przedłużała, a tym, przez co dawało się ją najdotkliwiej odczuć, był brak jakichkolwiek rozrywek dla oczekujących. Ot, jedna restauracja z tarasem, z którego można było podziwiać lądowisko, ale i ona o tak wczesnej porze była zamknięta. Poza tym znajdowały się tu biura zarządu portu, przedstawicielstwo Przedsiębiorstwa Linie Lotnicze „LOT”, lotniskowe biuro meteorologiczne, urząd pocztowy, posterunek policji państwowej, ambulatorium, słowem – same ważne instytucje, niesprzyjające jednak zabijaniu czasu oczekiwania na nierzadko mocno opóźnione loty. Estera z westchnieniem pomyślała, że mimo iż budynek warszawskiego portu lotniczego Okęcie zaprojektował nikt inny jak Edward Seidenbeutel, projektant wnętrz Adrii, te dwa miejsca pod względem atrakcji dla gości stanowią przeciwległe bieguny.

Po likwidacji lotniska na Polu Mokotowskim zdecydowano, że Warszawa będzie miała przynajmniej trzy lądowiska: sportowe na Młocinach, wojskowe tu, na Okęciu, i komunikacyjne lotnisko cywilne na Gocławiu. Miesiące mijały, a lotnisko na prawym brzegu Wisły nie doczekało się jeszcze nawet planów, o jakiegokolwiek infrastrukturze nie mówiąc. Jedynymi działaniami zmierzającymi do spełnienia obietnicy o lądowisku pasażerskim na podmokłych terenach dawnego folwarku Gocławek i przyległych doń wsi były prace nad wybudowaniem kanału melioracyjnego, służącego

odwodnieniu terenu, który miał zostać opatrzony wdzięczną i wielce sugestywną nazwą „Nowa Ulga”.

Estera podeszła do marmurowego parapetu i wzięła do ręki broszurę; szczegółowo opisano w niej wszystkie trasy, na których latała dwudziestopięciosamolotowa flota LOT-u. Bez zaciekawienia przekartkowała kilkakrotnie katalog i odrzuciła go zniecierpliwionym ruchem. Zauważyła, że ręce drżą jej nieznacznie, a serce bije głośniejsze niż zwykle.

Czyżbym się czegoś obawiała? – zapytywała samą siebie.

W odpowiedzi naszło ją znów wspomnienie ostatniego spotkania z Tadeuszem. Policzki Estery oblał purpurowy rumieniec. Odwiązała apaszkę i rozpięła płaszcz. Mimo mroźnego dnia w tej nieogrzewanej poczekalni wydało jej się nagle niezwykle gorąco. Musnęła palcem wargi, które zdawały się wciąż wilgotne od pocałunków Zasławskiego. Czuła jego dotyk na swojej szyi i uścisk jego palców na jej delikatnych ramionach.

– A czemuż to panienska tak wzdycha? – zapytała poufałym tonem wierna Sonia Libeltowa, która siedząc na czarnej, lśniącej, skórzanej kanapie, jednym ramieniem dyskretnie opierając się o pobliski kaloryfer, od dłuższego czasu zajmowała się szydełkowaniem kolejnego małego ubranka dla przyszłych dzieci Estery.

Od jej zaręczyn z Natanem, w związku z przedłużającym się narzeczeństwem, Sonia napełniła już tymi małymi cudёнkami pokaźny kuferek. Do niedawna widok ten rozczulał i wzruszał Esterę. Dziś jednak, gdy spojrzała na prawie gotowy białuteńki

kaftanik, leżący na kolanach poczciwej towarzyszki, poczuła wściekłość.

– I po co Sonia się tak męczy? Komu to potrzebne? – spytała, ignorując zadane jej pytanie. – Dużo czasu upłynie, zanim ktoś założy te ubranka.

– Oj nie tak dużo, nie tak dużo – zachichotała Sonia, robiąc przy tym minę osoby wielce doświadczonej, która z pewnością wie, co mówi.

– Głupstwa Sonia plecie – fuknęła Estera i gniewnym krokiem przeszła na drugą stronę poczekalni, gdzie powieszona została wielka mapa świata z zaznaczonymi miejscami, do których można dolecieć z Warszawy. Skubiąc doniczkową palemkę, modną ostatnio ozdobę wnętrza, która zdaniem Estery była tu całkiem nie na miejscu, wpatrywała się bezmyślnie w plakat.

Odchodząc, dostrzegła wyraz twarzy Soni, która najwyraźniej poczuła, że powiedziała coś niestosownego. Przez krótką chwilę Estera miała ochotę wrócić do guwernantki, przeprosić ją za swoje zachowanie, powiedzieć coś miłego o kaftaniku, który obiektywnie na rzecz patrząc, był bardzo ładny... ale nie wróciła.

Nie wiem, czemu matka nadal każe mi wszędzie chodzić z Sonią! Za miesiąc biorę ślub! Jestem dorosła! Mogłabym chyba po narzeczonego na lotnisko udać się sama!

Wspomnienie Natana wywołało gwałtowny skurcz w żołądku dziewczyny. Nagle z całą jasnością dotarło do niej, że z jej winy za miesiąc może nie być żadnego ślubu.

Poczuła, jak bardzo tęskni za czasami, gdy mogła o wszystkim porozmawiać z bratem. Wszechwiedzący Berek z pewnością i teraz znalazłby jakieś rozwiązanie supła, który zaplątał się wokół niej, a raczej który sama sobie uplotła, poddając się pieścizom Tadeusza. Nie mogła jednak poprosić go o pomoc. Zawiodła go, zdradzając niemal wszystkie zasady, którym on pozostawał zawsze wierny. Na samą myśl o tym, że miałyby przyznać się przed nim do odnowienia znajomości z Zasławskim, po plecach przebiegał jej dziwny dreszcz.

Z umieszczonych w rogach sali megafonów rozbrzmiał miły kobiecy głos, informujący o tym, że samolot z Paryża właśnie wylądował. Esterze świat zawirował przed oczami. Nie widziała Natana zaledwie kilkanaście tygodni, lecz przez ten czas tak wiele się wydarzyło.

Nie powinnam była tu przyjeżdżać, pomyślała. Wiedziała jednak, że po prawdzie nie miała wyboru. Wszyscy byli przekonani, że z niecierpliwością wyczekuje Natana, niczym Penelopa Odysa; wyjście po narzeczonego na lotnisko uważano powszechnie za coś oczywistego. Wyobraziła sobie, co by się stało, gdyby powiedziała matce, że nie zamierza witać go na Okęciu.

Parę chwil później do hali wbiegł Natan. Dostrzegła go kątem oka, ale nie mogła zmusić się do pójścia w jego stronę. Wstrzymała oddech. Nogi miała jak z ołowiu. Zastygła w bezruchu z dziwną, nierealną nadzieją, że może jej nie zauważy i odjedzie bez niej. Jednak niemal w tej samej chwili usłyszała radosny okrzyk Soni, która machała to w stronę

Natana, to na Esterę, dając znak, że dostrzegła jej narzeczonego.

Natan podbiegł do Estery, chwycił ją w ramiona i okręcił wkoło. Na jego twarzy malował się wyraz niczym nieskrępowanego szczęścia i oddania. Odruchowo położyła mu dłonie na ramionach. Wkrótce opuścił ją na ziemię i pocałował w rękę.

– Witaj, moja droga.

Estera uśmiechnęła się, wciąż nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Z kłopotu wybawiła ją Sonia, która upchnąwszy robótkę z powrotem do torby, nadeszła również powitać Natana. Wkrótce rozpoczęła się niezobowiązująca rozmowa o podróży, pogodzie, samopoczuciu i innych rzeczach, o których ludzie zwykli rozmawiać w dworcowych poczekalniach. Estera wzięła Sonię pod ramię, by przypadkiem tej ostatniej nie przyszło do głowy zostawić narzeczonych na chwilę samych. Paplała też bez zastanowienia, wciąż starając się unikać wzroku Natana. Z oburzeniem opowiedziała mu o tym, jak jego przyszła teściowa już wyznaczyła im datę ślubu. Natan jednak nie podzielał jej niezadowolenia.

– Ech... Pani Stein bywa kłopotliwa, nieco ekspresyjna i nazbyt spragniona towarzyskiego splendoru, ale chyba za ostro ją oceniasz, Estero – spróbował wyciszyć jej wzburzenie.
– Chciała dobrze. Zresztą, nic takiego przecież się nie stało.

– Jak to?! Zadecydowała za mnie... Za nas! – poprawiła się prędko Estera.

– Nie zdecydowała o niczym ważnym, Esterko – z uśmiechem odparł Natan. – Przecież to ty już dawno temu przyjęłaś moje oświadczyzny. Ślub jest przecież ukoronowaniem tamtej decyzji.

Estera wciągnęła powietrze, żeby wypowiedzieć pierwszą myśl, która przyszła jej do głowy, ale powstrzymała się.

– Twoja matka zrealizowała swoją potrzebę bycia na świeczniku – kontynuował Zimmerman. – To wszystko, kochanie.

Estera skinęła, ale nie wydawała się przekonana. Natan dostrzegł jej wahanie. Zatrzymał się. Zaskoczona dziewczyna wypuściła ramię Soni, która opacznie zrozumiała to jako znak, by się oddaliła.

– Coś cię martwi? – zapytał z troską w głosie, gdy zostali sami.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, co wyglądało bardziej, jakby chciała odpędzić od siebie jakąś niedającą spokoju myśl. Natan przyjrzał się jej z zastanowieniem.

– Masz wątpliwości, prawda? – spytał nagle.

Estera podniosła gwałtownie głowę. Spojrzała w dobre, ciemne oczy Natana, w których migotała obawa, że może ją utracić, i zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy. Natan rozumiał wszystko. Czytał z jej twarzy jak z otwartej księgi. Dostrzegał zmianę w jej zachowaniu, wahania, wątpliwości, a mimo to nie dopytywał i nie nalegał. Czekał, dając jej czas i przestrzeń, by podjęła własną decyzję, której będzie mogła być wierna. Poczula, że jeśli czegoś na świecie jest absolutnie pewna, to tego, że nigdy nie znajdzie w sobie dość sił, by go opuścić.

Rozdział 21

Rozdrażniony do granic możliwości rozmową z synem Rakowski postanowił czym prędzej zakończyć tę miłosną farsę. Michał okazał się niegodny zaufania i niezdolny do panowania nad sobą w obliczu stawianych przed nim wyzwań. Nad tym Rakowski zamierzał zastanowić się później, teraz bowiem należało czym prędzej zakończyć tę całą nedorzeczną historię miłosną, najlepiej tak, by nie pozostawić nawet okruszyny nadziei na ponowne zejście się jego syna z tą okropną dziewczuchą, jak zwykł nazywać w myślach Słodką Polę.

Wszedłszy do mieszkania, udał się prosto do sypialni małżonki i nakazał Emilii, by co rychlej się ubrała, gdyż zaprasza ją na poranną kawę do cukierni „U Hanki”. Emilia zamrugła zmieszana, gdyż nie przywykła do przedpołudniowych wyjść, ale nie odezwała się ani słowem, dostrzegając silne wzburzenie męża.

W niecałą godzinę później siedzieli przy stoliku nieopodal okna, popijając doskonałą kawę i zajadając się ptifurkami. Emilia, dla której trwająca obecnie wizyta w cukierni Starczewskiego była pierwszą, rozglądała się wokoło urzeczona wystrojem i panującą tu atmosferą. Najbardziej zaś przypadły jej do gustu jakość i różnorodność podawanych tutaj ptifurek. Dotąd, jak większość dam z towarzystwa, twierdziła, że najlepszy wybór tych maleńkich ciasteczek sporządzanych z ciasta kruchego, makaronikowego i biszkoptowego, misternie zdobionych i nadziewanych, miały

cukiernie Semadeniego, jednak gdy kelner postawił na ich stoliku wysoką, pięciotalerzową paterę z białej porcelany z ptifurkami pana Antoniego, musiała zmienić zdanie. Na zmyślnie przyczepionych do złotej laseczki cieniuteńkich talerzykach spoczywały najprawdziwsze arcydzieła sztuki cukierniczej. Emilia oglądała z zachwytem każde ciasteczko, nim odważyła się włożyć je do ust. Kolejno sięgała po okrągłe biszopciki z konfiturą z płatków słodkich fiołków i róż, lukrowane wszystkimi kolorami tęczy makaroniki, przekładane orzechowym kremem, maślane rombiki błyszczące kryształkami cukru, kruche, pachnące cynamonem kwiatuszki z punkcikiem gorzkiej czekolady pośrodku, łożki z marcepanu migdałowego, pistacjowego, z orzechów włoskich, laskowych i rzadko spotykanego marcepanu z orzeszków piniowych. Wszystko to ze smakiem udekorowane było czereśniami, rajsłkami jabłuskami, miniaturowymi zielonymi pomarańczami, smażonymi w gęstym cukrowym syropie i posypanymi miąłkim cukrem, oraz nienadającymi się wprawdzie do jedzenia, lecz idealnie dopełniającymi całość, kandyzowanymi, drobno pokrojonymi liśćmi tataraku i łodyżkami arcydzieła. Efekt był zachwycający.

Patera z ptifurkami pochłoneła uwagę Emilii do tego stopnia, że nie dostrzegła nawet nietypowego zachowania męża podczas posiłku. Gdy ona zajęta była rozkoszowaniem się tyciutłkami wypiekami, Rakowski siedział niespokojnie, nerwowo rozglądając się na boki, wciąż szukając wzrokiem kogoś, kto powinien już się zjawić, a nie nadchodził. Od czasu do czasu

pociągał z filiżanki łyk kawy, której w rozdrażnieniu zapomniał posłodzić. Ptifurki nie interesowały go dziś wcale, mimo jego legendarnej już miłości do słodczy.

– Emilio, Emilio! – roześmiał się nagle Rakowski tak głośno, że jego żona aż podskoczyła ze strachu.

Mężczyzna jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, że przestraszył żonę. W tym samym momencie bowiem dostrzegł wchodzącą do sali Słodką Polę i postanowił za wszelką cenę przyciągnąć jej uwagę. Okrzyk poskutkował. Zarówno Pola, jak i paru innych gości siedzących w kawiarni spojrzęło w stronę stolika zajmowanego przez Rakowskich. Emilia siedziała sztywno, bojąc się poruszyć, i patrzyła na męża z przestraszeniem. Ten jednak, odzyskawszy panowanie nad sobą w chwili pojawienia się dziewczyny, jak gdyby nigdy nic zaczął mówić:

– Emilio, to po prostu śmieszne! – powiedział, nadal nie ścisząc głosu. – Michał zakochany?!

Pola drgnęła, słysząc imię ukochanego. Podeszła do stojącego tuż za plecami Rakowskich samowara i udając, iż sprawdza jego czystość, przystanąła, nasłuchując.

– I to w kim?! W tej... olbrzymce – dobitnie rzekł Rakowski, upewniwszy się, że jego plan się powiódł i przyciągnął uwagę pani Starczewskiej. – Sam przecież mówił, że jest wielka i niezgrabna, a wierz mi, moja droga, mężczyźni doceniają kobiece powaby.

Emilia, dotąd nie bardzo rozumiejąc zachowanie męża, siedziała w napięciu, usiłując zyskać rozeznanie w sytuacji. Słyszając ostatnie słowa, podążyła dyskretnie za jego

spojrzeniem i kątem oka dojrzała zastygłą, pobladłą twarz nieładnej dziewczyny imponujących rozmiarów. Naraz przypomniała jej się owa jesienna kolacja i plan przejęcia kawiarni, zakładający tymczasowy mariaż Michała z córką Starczewskiego.

A zatem to ona, pomyślała Emilia i raz jeszcze zerknęła na stojącą przy samowarze dziewczynę.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego jej mąż zachowuje się tak, jakby chciał zniszczyć swój własny pomysł, obrażając dziewczynę. Zdezorientowana, zerknęła na męża pytająco, ale on nakazał jej wzrokiem, by poszła w jego ślady. Nie wiedząc, co robić, Emilia wybuchnęła śmiechem, który Pola odczytała jako obraźliwy, i z urazy zacisnęła wargi. Rakowski zawtórował żonie, po czym dodał:

– Doprawdy nie ma się czym martwić. Młodzi mężczyźni muszą sobie czasem pożartować, dać upust drzemiącej w nich energii, nabrać wprawy we flircie, nim przyjdzie im szukać towarzyszkę życia. Owszem, wejście tego małego urodziwego dziewczęcia do rodziny mogłoby mieć i dobre strony. Michał mógłby na przykład przejąć tę piękną cukiernię. Rozmawialiśmy o tym nawet któregoś dnia i pomysł chyba przypadł mu do gustu – perorował Rakowski. – Ale nie wiem, czy ostatecznie zdecydowałby się na aż takie poświęcenie.

Upił łyk kawy i skrzywił się lekko.

– Tfu, gorzka. – Wsypał dwie kopiaste łyżeczki cukru do filiżanki, zamieszał i podjął: – Możesz być spokojna. Michał to esteta. Gdy nadejdzie dzień, w którym nasz syn przedstawi

nam kobietę swojego życia, z pewnością będzie ona przynajmniej tak piękna jak jego matka.

Emilia zatrzepotała rzęsami, Rakowski podniósł do ust jej dłoń i pocałował. Wyglądali na parę eleganckich, zakochanych małżonków, choć dla Rakowskiego ten moment był tylko ukoronowaniem zwycięstwa, które odniósł nad córką wroga, przy wsparciu niewiele pojmującej z gry, w której uczestniczyła, żony. Pola z oburzenia drżała na całym ciele, jej policzki pokrył pąsowy, prawie fioletowy rumieniec, a oczy ciskały nienawistne błyski, lecz z jej ust nie padło ani jedno słowo. Wysłuchiwała do końca wywodu Rakowskiego. Ten, ucałowawszy żonę, sięgnął po małe ciasteczko, obejrzał je z lubością i wsadziwszy do ust, niby od niechcienia rozejrzał się po sali. Nawet gdyby wcześniej nie dostrzegł Słodkiej Poli, musiałaby teraz przyciągnąć jego wzrok, choćby samymi rozmiarami swojego rosnącego ciała. Rakowski wbił w nią spojrzenie i przybrał swój wyuczony, przymilny wyraz twarzy.

– Panienko Polu, dzień dobry! – zawołał, podnosząc się na powitanie.

Zwykle swobodna i towarzyska Apolonia Starczewska stała teraz, opierając się o samowar, zupełnie osłupiała. Nie wiedziała, jak ma się zachować względem Rakowskiego po usłyszeniu całej prawdy o Michale i jego uczuciu do niej. Nie chcąc jednak dać po sobie poznać, że podsłuchiwała ich rozmowę, skinęła uprzejmie i starała się nadać swojej twarzy wyraz choć trochę podobny do uśmiechu. Rakowski nie bez przyjemności patrzył na jej wysiłki. Wiedział, że słyszała każde

słowo, i doskonale bawił się całą tą sytuacją. Nie mógł sobie odmówić dalszej rozrywki.

– Panienko Polu, proszę do nas – powiedział, wykonując przy tym zapraszający ruch ręką.

Emilia rzuciła mu karcące spojrzenie; mimo wszystko żal jej było tej dziewczyny, ale Rakowski dał znak, by nie ważyła się wtrącić. Dla Poli nie było ratunku. Musiała podejść do sąsiada, gdyż tego wymagały od niej znienawidzone w tej chwili zasady dobrego wychowania, których jako córka właściciela cukierni zobowiązana była bezwzględnie przestrzegać.

– Witamy, witamy! – przywitał ją jowialnie Rakowski. – Jak zdrowie szanownego papy panienki?

– Dziękuję – wydusiła z siebie, całą siłą woli starając się zapanować nad drżeniem głosu.

– Proszę przekazać papie wyrazy szacunku – dodał, delektując się grą emocji na twarzy dziewczyny. – Doskonałe ptifurki. Czy moglibyśmy prosić o przygotowanie nam firmowego koszyczka tych wspaniałości na wynos?

Zamiast odpowiedzieć, Pola skinęła mu tylko głową, uśmiechnęła się krzywo i wymamrotawszy przeprosiny, pośpieszyła w stronę sali nazywanej żartobliwie swatkownią. Chciała uciec, ukryć się gdzieś przed całym światem. Odchodząc, słyszała rozentuzjasmowany głos Rakowskiego.

– Mam ochotę na jeszcze jeden deser, moja droga – mówił, ucieszony jak małe dziecko. – Co powiesz na eklery, Emilio?

Pola zamknęła za sobą drzwi swatkowni. Przez chwilę stała niemal bez życia, przyciskając twarz do ściany. Dotyk chłodnej

powierzchni na policzku przyniósł ulgę i przywrócił nieco poczucie realności. W głowie kłębiły jej się pytania, których nie chciała sobie zadawać, i odpowiedzi, z którymi nie pragnęła się konfrontować.

Po raz pierwszy w życiu do serca Poli wkradł się mrok tak wielkiej przykrości, a jej promienne zwykle myśli zasnuła mgła wątpliwości i ogromnego smutku. Przez ostatnie kilka tygodni życie jawiło jej się jak najpiękniejsza baśń, bo był w nim Michał. Na samo wspomnienie ukochanego wstrząsnęło nią uczucie żalu. Cień niespełnionych marzeń zasłonił nagle ową jeszcze chwilę temu tak słoneczną stronę otaczającej rzeczywistości. Z całą mocą dotarło do niej, że jego miłość była snem, ułudą, kłamstwem.

– Nikczemny! – powtarzała raz za razem.

Nie mogła uwierzyć w to, jak łatwo dała się oszukać i zwieść.

Ktoś zastukał dyskretnie, wyrywając ją z zamyślenia. Nie odpowiedziała, lecz po chwili w uchylonych lekko drzwiach ukazała się głowa Eustachego.

– Polu? Jesteś tu? – usłyszała cichy głos starego kelnera.

– Tak, Eustachy?

– Pani Makowiecka prosi, byś osobiście odebrała dyspozycje dotyczące tortu na urodziny jej męża. Odmówiła rozmowy z kimkolwiek innym, twierdząc, że tylko ty dopilnujesz, by wszystko było jak należy.

– Już idę, już – powiedziała.

Eustachy zniknął, zamknąwszy za sobą drzwi. Pola westchnęła głęboko. Nie dane było jej oddać się dalszym rozmyśleniom. Ojca nie było w cukierni, a sprawy do

załatwienia piętrzyły się niemiłosiernie. Myśl o ilości czekających ją tego dnia obowiązków przyniosła dziewczynie nieznaczną ulgę.

Trzeba pracować, i dobrze!, pomyślała, poprawiając włosy. *Żadnych marzeń, tylko praca.*

Praca była rozwiązaniem jej problemu. Nicnierobienie, siedzenie z założonymi rękoma i oczekiwanie na to, co przyniesie los, było czymś sprzecznym z jej naturą. Nie znosiła beczynności, dzięki czemu zdołała teraz odzyskać panowanie nad sobą. Miała zadanie, które musiała wykonać, i o tym musiała myśleć. Powinna doglądać cukierni ojca, dopóki ten nie wyzdrowieje. Do tego czasu wszystko musi być jak dawniej, utrzymane we wzorowym porządku i ładzie, a przede wszystkim z najlepszym smakiem. Zadowoleni klienci w cukierni ojca – oto jej życiowy cel, którego żaden kłamca i manipulant nie zdoła jej odebrać.

W jej sercu szybko rozplenilo się przekonanie, że rozmowa z Michałem niczego nie zmieni, nie naprawi, nie rozwiąże, nie wyjaśni. Należało żyć tak, jakby ostatnie tygodnie nigdy się nie wydarzyły. Zapomnieć, oddając się solidnej i rzetelnej pracy, bo tylko to w życiu się liczy.

Gdy późnym popołudniem złakniony jej obecności Michał wbiegł do cukierni tak szybko, iż dzwoneczek u drzwi tylko zamigotał swym dźwiękiem, zastał Polę zupełnie opanowaną, pochłoniętą rozmową ze starszym mężczyzną, któremu pomagała wybierać ciastka tacowe na wynos. Michał stanął z tyłu, z lubością przyglądając się jej miłej postaci i wdzięcznym ruchom. Mimo niepokoju wywołanego poranną

rozmową z ojcem, nie mógł się nie uśmiechnąć na ten widok. Czuł, że oprócz ich miłości nic nie ma znaczenia. Fala szczęścia przelewała się przez niego, przyozdabiając wszystko wokół. Nawet ów starszawy klient wydał mu się jakoś szczególnie elegancki i sympatyczny. Michał nie potrafił rozeznaczyć, czy tak było w istocie, czy tylko on go tak postrzegał, bo kochał i był kochany przez najdoskonalszą istotę na ziemi, która obecnie srebrnymi szczypcami nakładała maleńkie, misternie ozdobione ciasteczka, wskazywane przez klienta, do okrągłego pudełka z emblematem cukierni, wyłożonego miękkim, purpurowym aksamitem. Pola opowiadała mu kiedyś, jak skomplikowaną i wymagającą wprawę sztuką było przygotowywanie pudła słodczy, zwłaszcza gdy miało być wypełnione ciasteczkami w miejsce cukrów. Ciasteczka, ze swej natury delikatniejsze, były łatwiejsze do uszkodzenia i trudniejsze do ułożenia w taki sposób, by po przechyleniu pudełka wzór pozostał nienaruszony, a ciasteczka niepokruszone. Jegomość wskazał jeszcze maślane muszelki ozdobione pistacjami, romby z ciasta makaronikowego z odrobiną konfitury morelowej, migdałowe kłosa zbóż pociągnięte lukrem z drobinkami złota i aż westchnął z zadowolenia, gdy Pola pokazała mu ułożony przez siebie wzór.

– Delicje! I do tego nad wyraz piękne, panno Polu! – wykrzyknął uradowany klient.

Pola zaśmiała się życzliwie i posypała całość garścią wonnych fiołków, smażonych w cukrze. Na górze ułożyła małe szczypczyki z platerowanego drutu. Ostrożnie nałożyła wieko

pudełka i przewiązała całość lśniąca, granatową wstążką. Pogawędziła jeszcze chwilę z niezwykle zadowolonym klientem, przyjęła zapłatę i ani razu nie spojrzawszy w stronę, gdzie stał Michał, ruszyła na zaplecze.

Chłopak czym prędzej pośpieszył za nią. Był wprawdzie odrobinę zaskoczony brakiem przywitania ze strony ukochanej, ale – wciąż ze słonecznymi klapkami na oczach – przypisał jej nietypowe względem niego zachowanie nadmiarowi obowiązków o tej porze dnia.

– Złota moja, napatrzeć się na ciebie nie mogę! – wykrzyknął z zachwytem, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi spiżarni.

– Bo jestem tak wielka czy tak niezgrabna? – zapytała natychmiast, wciąż na niego nie patrząc.

Michał w jednej chwili zrozumiał, że ojciec spełnił swoją groźbę. Zamarł.

– A może dlatego, że wypatrujesz z utęsknieniem chwili, gdy nie sprostam obowiązkom i twój ojczulek będzie mógł dodać do panteonu swoich trofeów spekulacyjnych także naszą cukiernię, bez żadnych poświęceń z twojej strony? – ciągnęła bezlitośnie Pola.

Całe upokorzenie, którego doznała, przerodziło w tej chwili jej głębokie uczucie do Michała w równie silną niechęć.

– Polu... – zaczął błagalnie. – Pozwól mi wytłumaczyć...

– Zaprzeczasz, że to twoje słowa? – przerwała mu ostro.

Michał milczał. Pola czuła, jak całe jej wnętrze krzyczy, by się odezwał, zaprzeczył, choćby jednym pomrukiem lub ruchem głowy. Ale chłopak stał ze spuszczoną głową, a z całej jego postaci biło poczucie winy.

– Nie zaprzeczasz. W takim razie uprzejmie proszę, abyś... aby pan stąd wyszedł i nie wracał. Nie chcę pana znać, rozumie pan?

Michał rozpaczliwie szukał słów, którymi mógłby się usprawiedliwić, przełamać niechęć Poli i opowiedzieć jej prawdę, jak to powinien był zrobić dawno temu, ale żadne nie wydawały mu się właściwe.

– Proszę wyjść – powtórzyła z naciskiem.

– Polu...

W jego głosie brzmiały tak żałosne i pełne błagania nuty, że dziewczyna musiała użyć całej siły woli, żeby nie przylgnąć do niego i nie spróbować go pocieszyć. Pokręciła przecząco głową. Nie mogła sobie pozwolić na to, by kolejny raz zostać oszukana i wyśmiana, to było ponad jej siły.

– W takim razie ja wyjdę – powiedziała, czując, że serce jej mięknie i zaczynają w nim pobrzmiwać nutki nadziei i pragnienie, by usłyszeć to, co Michał ma do powiedzenia.

Chłopak został sam wśród wielkich worków z mąką i zielonymi ziarnami kawy, w miejscu, które tak niedawno było świadkiem chwili jego największego szczęścia, teraz zaś największej klęski.

Rozdział 22

Kamienica przy Brackiej 25, przy której zatrzymał się szofer, była dla Estery jaskinią cudów, hołubioną od dziecka. Uwielbiała tu przyjeżdżać, choć matka uparcie twierdziła, że Dom Towarowy Braci Jabłkowskich przepychem i elegancją nie dorównuje Harrodsowi w Knightsbridge w Londynie czy Le Bon Marche w Paryżu, a zwłaszcza nieodżałowanemu przez panią Stein Domowi Mody Hersego. Choć modowe imperium Bogusława Hersego już jakiś czas temu zostało pokonane przez kryzys, Sara Stein każdą wizytę na Brackiej rozpoczynała od litanii tęsknych westchnień do tego, co przeminęło wraz z jego upadkiem. Zazwyczaj dopiero w okolicy drugiego piętra kończyła wzdychać, że „Herse nigdy by czegoś takiego nie oferował porządnym klientom”, że „na tak słabej jakości materiał Herse nawet by nie spojrział”, że Herse to, że Herse tamto.

Estera wysłuchiwała wprawdzie z grzeczności owych narzekań, w międzyczasie jednak karmiła wzrok wspaniałościami zgromadzonymi w Domu Towarowym Braci Jabłkowskich, który był jej ulubionym miejscem zakupów. Kolumnada przed wejściem oznaczała dla niej przejście z codzienności do najprawdziwszej krainy spełnionych snów. Stojący przed drzwiami elegancko umundurowany portier witał klientów, uchylając czapki i kłaniając się wchodzącym. Dla Estery był zwiastunem nadchodzących cudów. Wciąż pamiętała własne zdziwienie, gdy jako mała dziewczynka

podczas pierwszej wizyty w tym miejscu nie mogła pojąć, dlaczego odźwierny w ogóle tu stoi, skoro drzwi sklepu otwierają się same. Wiele lat później zrozumiała, że obrotni bracia Jabłkowscy potrafili docenić rolę, jaką w odpowiednim usposobieniu klientów do zakupów odgrywa przyjazne i eleganckie powitanie.

Dom Towarowy Braci Jabłkowskich podzielony był na czterdzieści cztery sklepy, mieszczące w sobie trzysta działów. Wprawdzie przy drzwiach każdy klient otrzymywał drukowany przewodnik po tej zakupowej świątyni, ale Estera za każdym razem uprzejmie odmawiała jego przyjęcia. Uwielbiała owo uczucie niewiadomej i niepewności tego, co czeka ją przy kolejnym stoisku. Zresztą najważniejszy podział i tak znała na pamięć. W podziemiach była paczkarnia, w której pracownicy pakowali zakupione przez gości rzeczy, by następnie wysyłać je zupełnie za darmo pod wskazany adres, oraz dział reklamowany jako „Tysiąc artykułów codziennej potrzeby po niespotykanych cenach”, niegdyś ulubione miejsce małej Esterki. To tam kilkakrotnie matka odnajdywała córkę, która uciekała do tego targowiska różnorodności z elegantszych i uporządkowanych wyższych pięter. Ucieczka obowiązkowo odbywała się zaczarowaną stalową windą. Estera dokładnie pamiętała przeszywający ją dreszcz rozkoszy i niepewności, gdy srebrzyste, lśniące drzwi odcinały ją od świata zewnętrznego.

Na parterze i trzech pierwszych piętrach prowadzono sprzedaż. Znajdowały się tu także dwie kawiarnie; w sali obok tarasu, na którym działała jedna z nich, zorganizowano

teatrzyk kukielkowy dla dzieci, gdzie było aż trzysta miejsc dla małych widzów. Bilety kosztowały zaledwie pięć groszy, a dochód właściciele sklepu rokrocznie przeznaczali na prezenty świąteczne dla najuboższych dzieci. Na czwartym piętrze były meble i wszystko, co mogło przydać się do dekoracji i urządzenia wnętrza eleganckiego, acz nie zanadto zbytowego. Na piątym piętrze, jedynym, na które matka udawała się z pewną dozą przyjemności, ale tylko w stanie najwyższej potrzeby, gdy sprowadzenie sukni z Paryża było niemożliwe, znajdowała się zaś pracownia krawiecka. Ponad dwustu projektantów, krawców i krojczych szyło tam zamawiane na miarę suknie, płaszcze, garnitury oraz kapelusze, wszystko według najnowszej obowiązującej mody. Podczas gdy Sara Stein zajmowała się przymiarkami i dopasowywaniem przygotowywanych dla niej kreacji, córka udawała się do sąsiedniej przechowalni futer, gdzie wśród zapachu lawendy i naftaliny cicho pochrapywał konserwator budynku – Ryszard Moro. Uroczą czarnowłosa dziewczynka zaprzyjaźniła się ze starszym panem do tego stopnia, że pozwalał jej obsługiwać maszynę do trzepania dywanów, ówczesny cud techniki.

Estera uwielbiała stać tuż przy drzwiach wejściowych i spoglądać w górę, na balkony kolejnych pięter sklepowych. Gdy była mała, zdawało się jej, że ten niezwykły sklep ciągnie się w górę w nieskończoność. I choć kiedy urosła, proporcje się odmieniły i potrafiła już racjonalnie ocenić wysokość wewnątrz sklepowego holu, ilekroć spoglądała w górę, jej serce ogarniało znajome uczucie podekscytowania wkraczaniem do

krainy czarów. Bo tym właśnie był Dom Towarowy Braci Jabłkowskich – zaklętą krainą zmieniających się zapachów, pełną kolorów, dźwięków, smaków, w którym za każdym rogiem czekała na małą Esterę niezapomniana przygoda. To, co dla matki było świątynią tandety, odwiedzaną niemal wyłącznie przy okazji kupowania prezentów świątecznych czy okolicznościowych dla służby, dla jej córki było i pozostało dziecięcym rajem.

Miłe uczucie ogarnęło Esterę, kiedy tego popołudnia stanęła z matką w przestronnym holu, gdzie przybyły, by kupić upominki z okazji jej ślubu dla wszystkich służących i ubogich. Zwyczaj nakazywał bowiem, aby przy okazji zaślubin obdarować tych, którzy mieli mniej od małżonków, na znak hojności i miłosierdzia panującego w nowo założonej rodzinie. Podczas gdy matka rozglądała się z niesmakiem wokół, cmokając i narzekając, Estera przymknęła oczy i odetchnęła zapachem dziecięcych wspomnień.

Kolejne trzy godziny spędziły, spacerując pomiędzy piętrami i stoiskami, kupując niezliczone ilości pończoch, serwetek, krawatów, rękawiczek i całego mnóstwa rzeczy, co do których Estera miała pewność, że na nic nie zdadzą się ludziom, dla których były przeznaczone. Raz czy drugi spróbowała wyjaśnić matce, że ich pokojówkom bardziej przydałaby się ciepła bielizna na zimę niż porcelanowe figurki aniołków, a szoferowi porządna koszula niż posrebrzane spinki do mankietów, ale matka tak długo ignorowała jej uwagi, aż Estera pojęła, że czynienie ich jest bezcelowe. Pozwoliła zatem matce kupować, na co ta miała ochotę, a sama krążyła wśród regałów, szaf,

staroświeckich mebli i błyszczących, lakierowanych lad, oglądając przeróżne cudenka. Najbardziej ucieszyła się, gdy nadeszła chwila zakupu zabawek dla dzieci z ochronki Korczaka na Nalewkach.

Gdy pani Stein wybierała lalki dla osieroconych dziewczynek, a Estera po raz czwarty nakręciła pozytywkę z małym żołnierzem uderzającym w bębenek, wygrywającą skoczny marsz, podszedł do nich Tadeusz. Estera pobladła. Cała jej radość i beztroska ulotniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Bała się, że wszystko się wyda, i w duchu przygotowywała się na najgorsze. Tadeusz jednak grzecznie przywitał się z panią Stein, nie zwracając najmniejszej uwagi na stojącą obok matki Esterę. Kilka wytwornych komplementów i długich, pełnych oddania spojrzeń w oczy wystarczyło, aby matka Estery nabrała przekonania, że ten przepiękny, dawno niewidziany młodzieniec potajemnie wielbi ją od lat. Czym prędzej zaprosiła Tadeusza na podwieczorek, na który obie panie właśnie się udawały, robiąc sobie zasłużoną przerwę w okropnie męczącym zajęciu, jakim były zakupy. Zasławski z kurtuazją podał pani Stein ramię i poprowadził do Baru pod Słońcem. Zwykle lokal ten, gdzie siedząc w wygodnych, głębokich, wiklinowych fotelach, można było podziwiać wspaniałą panoramę Warszawy, otwarty był wyłącznie latem, jednak tego roku już wczesną wiosną dni były tak ciepłe i pogodne, że na prośbę klientów kawiarnia na dachu rozpoczęła podejmowanie gości.

Zamówiono podwieczorek. Pani Stein z wypiekami na twarzy, niestrudzenie i niezwykle szczegółowo opowiadała Tadeuszowi o przebiegu dzisiejszych sprawunków. Tadeusz, przybrawszy minę człowieka głęboko zainteresowanego tematem, potakiwaniem i pomrukami zachęcał ją do dalszych wynurzeń, podczas gdy sam ujął pod stołem dłoń siedzącej obok niego Estery. Dziewczyna wciągnęła głośno powietrze, ale nic nie powiedziała. Siedziała nadal idealnie wyprostowana, modląc się, by matka niczego nie zauważyła. Podwieczorek w promieniach ciepłego popołudniowego słońca minął pani Stein nader wesoło, Estera zaś nie przełknęła ani kęsa. Tadeusz wprawdzie wypuścił jej dłoń w chwili, gdy kelner przyniósł poczęstunek, ale zamiast tego zaczął rzucać jej ukradkowe spojrzenia, od których natychmiast oblewała się rumieńcem.

Kiedy kończyli posiłek, do ich stolika podeszła znajoma pani Stein, głośno błogosławiąc szczęśliwy traf, który zetknął je dziś ze sobą. Miała bowiem do przekazania przyjaciółce najświeższe, nikomu jeszcze nieznanne wieści o ich wspólnym znajomym, panu Feliksie, i jego tajemniczej, przynajmniej ćwierć wieku młodszej dalekiej kuzynce. Znajoma wypowiedziała ostatnie słowa z takim naciskiem, że pani Stein zapomniała nawet o kokietowaniu Tadeusza. Czym prędzej wstała, przeprosiła swoich towarzyszy i szybkim krokiem poprowadziła przyjaciółkę w stronę barierek otaczających taras, przy których nie stał żaden stolik, by spokojnie omówić najnowsze doniesienia z towarzyskiego życia warszawskiej socjety, mając jednak młodzież na oku.

– Śledzisz mnie? – zapytała Estera.

– Skąd. Uwielbiam zakupy, a w Domu Braci Jabłkowskich spędzam każdą wolną chwilę – zażartował, puszczając do niej oko.

– Tadeusz, to się musi skończyć – powiedziała, usiłując pokonać rozbawienie i przybrać odpowiednio karcący ton głosu.

– Zgadzam się. Skończ farsę z tym całym Zimmermanem i wyjedź ze mną do Ameryki.

Zdziwiona Estera wypuściła z ręki widelec. Zaczerwieniła się i rozejrzała nerwowo wokoło, jakby ów incydent mógł ich zdradzić.

– Do Ameryki? – powtórzyła, odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Do Ameryki – przytaknął Tadeusz, z rozczeniem obserwując jej zmieszanie. – Tam będziemy wolni od tych wszystkich nakazów i zakazów, od tego, co wypada, a co nie. Zaczniemy wszystko od nowa w kraju, w którym wszystko jest nowe.

Zapał i energia, z jaką opowiadał o życiu za oceanem, jeszcze dodały mu urody. Estera przyglądała się jego pięknej twarzy i z całego serca zapragnęła, żeby te jego marzenia stały się ich wspólną rzeczywistością.

– Jestem w pierwszym składzie Polonii Warszawa, mam obiecane miejsce w drużynie na olimpiadzie w Berlinie...

– Pojedziesz grać dla Hitlera?! Po tym wszystkim, co ten człowiek opowiada? – przerwała mu.

– Nie dla Hitlera, a dla olimpijskiej idei jedności. Esterko, błagam, ty jedna nie bądź z góry uprzedzona do III Rzeszy! Kompletnie nie rozumiem, dlaczego wszyscy się tak na nich uwzięli. Fakt, mają dość oryginalne podejście do zagadnień społecznych, ale Piłsudski też bywał radykalny, a wszyscy go kochali.

– Ale on nie mówił, że Żydzi niemieccy nie zasługują na to, by być obywatelami jego kraju... – powiedziała cicho Estera.

– A Hitler powiedział, i co z tego? On tylko tak mówi, żeby było o nim głośno. Spójrz, kto stoi na czele komitetu olimpijskiego? Levalda, Żyd. Kto będzie reprezentował III Rzeszę we florecie? Helene Mayer, Żydówka. W hokeju? Rudi Bali, też starozakonny. Hitler faktycznie ma niewyparzony język i pomyłone pomysły, ale nie jest aż tak groźny, jak odmalowują go w radiu i w prasie.

Estera pokiwała głową. Nie chciała się sprzeczać z Tadeuszem, zresztą wszystko, co mówił, zgadzało się ze stanem faktycznym. Mimo to miała przeczucie, że rzeczywistość jest jednak trochę bardziej skomplikowana, niż wydawało się to młodemu Zasławskiemu. Do wyciągnięcia takich wniosków skłaniał ją też nagły, wcześniejszy przyjazd Berka, który okazał się nie tyle wizytą, ile powrotem. Znała swojego brata i choć żartobliwie tłumaczył, że musi przypilnować, czy Natan będzie także po ślubie dobrze traktował jego małą siostrzyczkę, kilkakrotnie słyszała, jak ściszym głosem szeptał o czymś z ojcem, siedząc wieczorem w gabinecie. A może tylko jej się wydawało...?

– Estero, nieważne, gdzie odbędą się igrzyska, olimpiada zawsze oznacza duże pieniądze i duży rozgłos. W sierpniu zdobędę jedno i drugie, i złożę u twych stóp niczym wieniec laurowy, którym niegdyś dekorowano zwycięzców. Pobierzemy się, nie pytając nikogo o zgodę, i wyjedziemy za ocean.

– W sierpniu? – praktyczne podejście do rzeczywistości wyrwało Esterę z rozmarzenia.

– W sierpniu – skinął głową Tadeusz i uśmiechnął się triumfalnie, przyjmując pytanie Estery za dobrą monetę.

– A do tego czasu? – dopytywała dziewczyna.

– Nie rozumiem... – Spojrzał na nią pytająco.

– Co będzie ze mną, zanim zdobędziesz ów rozgłos i sławę?

– Chyba wszystko będzie jak dotąd... – zawahał się Tadeusz, choć czuł, że nie takiej odpowiedzi od niego oczekiwała. – Nie zastanawiałem się nad tym.

– Jak dotąd?! – zirytowała się dziewczyna. – Czyli mam zachowywać pozory planowania życia z Natanem, nieustannie przekładać ślub, okłamywać wszystkich ludzi, na których mi zależy, żeby w sierpniu bez wyjaśnienia włożyć na głowę twój wieniec laurowy i odpłynąć za ocean, tak?

– I po co ta kpina? – zaperzył się Tadeusz, nie rozumiejąc pretensji dziewczyny. – Kto ci każe kogokolwiek okłamywać?

– Czyli mam powiedzieć prawdę?! – zawołała wzburzona, aż kilka siedzących przy sąsiednich stolikach osób rzuciło w ich stronę zaciekawione spojrzenia.

Estera zaczerwieniła się i ściszyła głos.

– Tadeusz, przecież ja nie mogę! Jak miałabym spojrzeć w oczy ojcu, o matce nie wspominając, gdy po tym wszystkim,

co dla mnie zrobili, otwarcie sprzeciwiłabym się ich woli, zamiast za Natana, wychodząc za ciebie?

– A co jest we mnie takiego złego, że nie mogłabyś zostać moją żoną? – rozjuszył się chłopak, który nie przywykł do bycia poza piedestałem w czyjejkolwiek ocenie.

– Poza tym, że jesteś gojem, bez pieniędzy i koneksji? Nic! – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu Estera.

Tadeusza aż zatkało z wrażenia. Nigdy dotąd nie pomyślał o sobie w ten sposób. Był królem własnego życia, dzieckiem szczęścia, urodzonym w diamentowym czepku, kimś, kto zawsze osiąga to, czego pragnie. Obraz odmalowany przez Esterę wydał mu się z jednej strony niezwykle prawdziwy, z drugiej zaś najzwyczajniej w świecie karykaturalny.

– Tadeusz, nie zrozum mnie źle... – powiedziała cichutko Estera, spłoszona nieco własną bezpośredniością i pobrzmiewającą w jej słowach bezlitosną małostkowością. – Tadeusz, to wszystko przecież nie ma znaczenia... Ja... ja tylko nie wiem, jak mam im wszystkim o tym powiedzieć...

Dyskretnie pogładziła jego dłoń, która, ściśnięta w pięść, spoczywała na stole.

– Masz rację i nie masz racji – odezwał się po chwili, jakby z rozmysłem zwlekał, by Estera mogła w pełni uświadomić sobie swój karygodny postępek. – Fakt, jestem katolikiem bez koneksji, tytułów i majątku, ale jestem też przyszłością polskiej piłki nożnej, złotym dzieckiem futbolu, i wkrótce sam zdobędę, a nie odziedziczę, to wszystko, czego tak ci potrzeba do szczęścia.

Estera przyglądała mu się w zamyśleniu. Większość ludzi w głębi serca sądzi, że jest lepsza od pozostałych, wynosi się nad innych w myślach, na zewnątrz zachowując jednak pozory skromności. W tym aspekcie Tadeusz Zaslowski był istnym wzorem autentyczności. Wiedział, że niemal każdy chciałby być nim, i nie krył się wcale ze stanem swojej wiedzy. Był dumny z tego, kim jest, i uważał, że ma prawo dochodzić swoich racji. Spojrzał na Esterę surowo i z wyższością. Dziewczyna milczała, choć jej próżność i miłość własna mocno ucierpiały pod wpływem ostatnich słów chłopaka. Niespodziewanie jednak, nie wiadomo skąd, przyszli jej na myśl ów pan Feliks i jego kuzynka, o których losach od kwadransa jej matka rozprawiała z przyjaciółką.

– Tadeusz... – zapytała, tknięta nagłą wątpliwością. – A czy ty... Czy...

Spuściła wzrok i zaczerwieniła się, onieśmielona, mimo to wyszeptała:

– Czy ty kochałeś się w kimś od naszego rozstania?

Wiedziała, jaką odpowiedź pragnie usłyszeć, ale już po krótkiej chwili ciężkiego milczenia, które zapadło między nimi, stało się jasne, że rzeczywistość wyglądała inaczej. Tadeusz, zorientowawszy się, iż Estera domyśliła się prawdy, zezłościł się.

– A czemu miałyby cię interesować to, co działo się ze mną, skoro sama byłaś, przepraszam, nadal jesteś, zaręczona, moja droga? – spytał z udawaną obojętnością w głosie i przyodzabiając twarz złośliwym uśmiechem, dodał: –

Z majętnym, utytułowanym potomkiem ustosunkowanego żydowskiego rodu Zimmermanów.

Estera aż się wzdrygnęła, słysząc te słowa. Tadeusz nie przebierał w środkach i za nic miał jej wrażliwość. Poczula do niego nagłą niechęć.

– Ja nie jestem tylko zaręczona – odparła dumnie, prostując plecy i odrzucając do tyłu ciężkie pukle włosów. – Za kilka tygodni wychodzę za mąż, czy ci się to podoba, czy nie, mój drogi.

To mówiąc, wstała i nawet na niego nie patrząc, podeszła do matki. Ta jednak, nadal pogrążona w rozmowie, kiwnęła tylko nieuważnie, gdy Estera poprosiła o zgodę na samodzielny powrót do domu, i wróciła do omawiania sensacyjnych nowinek.

Tadeusz dogonił Esterę na schodach i złapał ją za nadgarstek.

– Nie tak prędko. Przecież wiem, że mnie kochasz! Tacy już jesteśmy, Estero! Śmiejemy się, kłócimy, godzimy, obrażamy, dokuczamy sobie, ale rozumiemy się jak nikt inny! Potrzebujemy siebie nawzajem! Jesteś moja! – powiedział głosem, w którym z wielką siłą pobrzmiwały emocje, po czym, nie zważając na otaczające ich tłumy ludzi, objął ją ramieniem i pocałował.

Estera w pierwszym odruchu przylgnęła do niego, zalana falą gorącej namiętności, lecz po chwili opamiętała się i odepchnęła impertynenta. By ostatecznie odciąć się od zdarzenia, o którym – była pewna – wkrótce mówić będzie całe miasto, wzięła zamach i szybkim ruchem uderzyła Tadeusza

z wściekłością w policzek, po czym odwróciła się i płonąć ze wstydu, zbiegła po schodach. Na dole zderzyła się z wchodzącym na stopień Natanem. Jedno spojrzenie wystarczyło Esterze, by stwierdzić, że narzeczonego widział całe zajście. Nie pytając o nic, kilkoma szybkimi susami znalazł się przy Tadeuszu i z całej siły uderzył go pięścią w twarz. Tadeusz zachwiał się, a stojąca wciąż przy drzwiach Estera krzyknęła z przerażenia. Ten okrzyk zatrzymał kolejny cios Natana. Spojrzał na Tadeusza, potem na Esterę. Świat zastygł. Wokół nich znieruchomieli klienci, subiekci, modelki, nawet małe dzieci zatrzymały się w pół kroku. Dla Natana czas się zatrzymał. W tej jednej sekundzie zrozumiał wszystko. Wątpliwości, które od dawna kiełkowały w jego sercu, nagle rozkwitły z wielką mocą. Opuścił pięść, rozprostował palce. Rzucił Tadeuszowi nienawistne spojrzenie, poprawił kapelusz, wyprostował się i wyszedł. Nawet nie spojrzał na Esterę, przechodząc obok niej.

Przerażona dziewczyna podbiegła do Tadeusza. Musiała przedrzeć się przez otaczający go tłumek gapiów i obsługi sklepowej, która choć również podekscytowana tak niecodziennymi wydarzeniami, ze wszystkich sił starała się przywrócić w sklepie ład i miłą atmosferę, sprzyjającą beztróskiemu wydawaniu pieniędzy. Tadeusz leżał na podłodze, nie ruszał się, a z nosa płynęła mu wąska strużka krwi.

– Tadzik, Tadzik, kochany... – wyszeptała, zalewając się łzami, których pod naporem emocji nie była w stanie dłużej powstrzymać. – Kochany...

– Teraz chyba nie masz wyboru? – szepnął, otwierając oczy i rzucając jej wesołe, łobuzerskie spojrzenie. – Piękny spektakl, prawda?

Estera poczuła nagłe uderzenie gniewu. Zrozumiała, że Tadeusz widział nadchodzącego Natana, że to, co wydarzyło się na schodach, nie było wyrazem desperacji jego uczuć, a próbą zmuszenia jej do postępowania zgodnie z jego życzeniami.

– Co ty sobie wyobrażasz? – zapytała, nie zważając na zgromadzonych wokół nich ludzi. – Kim jesteś, żeby tak traktować innych?!

– Chciałem ci tylko ułatwić i tak nieuniknioną decyzję, moja droga – powiedział wesoło Tadeusz.

Usiadł i otarł wierzchem dłoni krew z górnej wargi. Na jego twarzy pojawił się doskonale jej znany wyraz triumfu. Estera poczuła, że z wściekłości brak jej tchu.

– Nie mów tak do mnie – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– Ależ Esterko, nie ma się o co gniewać... – zaczął, ale dziewczyna nie dała mu dokończyć.

Wstała, wyprostowała się i delikatnie wysunęła podbródek.

– Proszę, aby nigdy więcej nie zwracał się pan do mnie w ten sposób. Cokolwiek roił sobie pan dotąd w temacie naszych wzajemnych stosunków, jest nieprawdą. Żegnam.

Uśmiech natychmiast znikł z twarzy chłopaka. Patrzył, jak Estera wsuwa się pomiędzy przerzedzający się już tłum. Podniósł z błyszczącej posadzki kapelusz i bez słowa ruszył w ślad za dziewczyną. Gdy wyszedł przed Dom Braci Jabłkowskich, rodzinne miasto i doskonale znana okolica

wydały mu się nagle obcym miejscem. Z zamyślenia wyrwało go gwałtowne uderzenie w brzuch. Mały chłopiec tak zapatrzył się na świecąca reklamę, umieszczoną na frontowej ścianie sklepu, pierwszą tego typu w całym kraju, że nie zauważywszy Tadeusza, wpadł na niego z całym rozmachem właściwym małym chłopcom, którzy wszędzie bardzo się spieszą. Chłopczyk spojrział w górę na Tadeusza wielkimi, ciemnymi, pełnymi przerażenia oczami. Tadeusz miał ochotę strzelić go w ucho i udzielić nieuważnemu malcowi solidnej reprimendy, pouczyć, jak należy korzystać z chodnika, który jest dobrem wspólnym wszystkich użytkowników, lecz niewinne i przestraszone spojrzenie chłopca wprowadziło go nagle w zakłopotanie. Kiedy stał się aż tak zepsuty, żeby krzyczeć na małe dzieci? Kiedy stracił resztki ciepła, poczucia humoru i życzliwości, wpajane mu w rodzinnym domu? Kiedy przypisał sobie prawo do wynoszenia się nad innych? Kiedy pozwolił sobie na zachowania tak okrutne i niegodziwe, jak to, co przed chwilą wydarzyło się na schodach Domu Braci Jabłkowskich? Nagle z całą jasnością uświadomił sobie, że głęboko pod powierzchnią jego uczucia do Estery, które bynajmniej nie powstrzymywało go od kochania się w innych kobietach, czaiło się coś na kształt sportowej zawziętości, towarzyszącej mu nieustannie na boisku, która przez ostatnie tygodnie bezwzględnie kierowała jego poczynaniami także w życiu osobistym, wiodąc ku jednemu z góry upatrzonemu celowi – zwycięstwu. Zrozumiał, że bardziej niż miłości Estery pragnął zwycięstwa nad Natanem Zimmermanem, jedynym człowiekiem, któremu kiedykolwiek zazdrościł. Udało się,

odniósł owo upragnione zwycięstwo. Był pewien, że gdyby tylko zechciał, udałoby mu się przekonać Esterę, żeby dała mu jeszcze jedną szansę. Tyle tylko, że gdyby przestała być wyzwaniem, w pełni odsłoniła potęgę swoich uczuć względem niego, straciłaby też urok bycia nieosiągalną, ów czar, który odróżniał ją od innych kobiet. Uwielbiane przez niego uczucie triumfu było tym razem zaprawione goryczą krzywdy wyrządzonej dwojgu dobrych ludzi, którzy mogliby być razem szczęśliwi. Przez jedną chwilę, niestety nazbyt krótką, by zapoczątkować jakąś trwałą przemianę, Tadeusz Zasławski poczuł wstręt do samego siebie.

Rozdział 23

– Dobrze się pan czuje?

Głos jakby z innego świata dobijał się do bram świadomości Michała.

– Proszę pana, wszystko w porządku? – głos stawał się coraz wyraźniejszy i, niestety, coraz głośniejszy.

Młody Rakowski otworzył oczy i natychmiast je zamknął. Jasnożółte światło, rzucone przez neon ulokowany tuż nad jego głową, oślepiło go. Zanurzył się znów w przyjemną ciemność pod powiekami, ale przywrócona jaskrawym światłem przytomność umysłu zrobiła swoje. Senność ustąpiła miejsca dotkliwemu bólowi głowy. Nic nie było w porządku. W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. W głowie mu szumiało, w ustach odczuwał dziwną, nieprzyjemną suchość, serce waliło jak oszalałe, a mdłości szarpały żołądek. Całe ciało miał zdętwiałe i było mu okropnie zimno. Obrócił głowę nieco w bok i spróbował znów otworzyć oczy. Udało się. Zobaczył szary bruk, porzucony samotnie patyk i czarne pantofelki na niewysokim obcasie. Podniósł wzrok i ujrzał pochyloną nad nim postać o anielskiej twarzy, rozświetlonej oślepiającą jasnością. Poczuł zdziwienie i strach.

– Umarłem? – zapytał na głos, z trudem rozklejając zaschłe wargi.

Wysłanniczka niebios zaśmiała się życzliwie.

– Nie, proszę pana. Sądząc po pańskim wieku, ma pan przed sobą przynajmniej kilkadziesiąt lat życia.

Choć brzmiała dość rzeczywiście, jeszcze chwilę przyglądał się jej podejrzliwie. Gdy udało mu się zogniskować wzrok w jednym punkcie, dostrzegł, że kobieta ma na głowie charakterystyczny biało-czarny czepiec pielęgniarski.

– Może pan usiąść? – spytała łagodnie.

Uświadomił sobie, że cały czas leży na chodniku. Bez względu na przyczynę, doprowadzenie się do stanu upojenia alkoholowego, po którym spędza się ostatnie godziny nocy na ulicy, było ujmą na honorze, a o tej porze roku także poważnym zagrożeniem dla zdrowia. Zawstydzony, spróbował się podnieść, ale natychmiast zakręciło mu się w głowie, przed oczami wszystko wokół rozmyło się i zlało w jedną szarą całość. Ponownie osunął się na chodnik.

– Powoli – powiedziała kobieta i zgrabnie kucnąwszy, podtrzymała mu głowę. – Powolutku, proszę chwilę wytrzymać w tej pozycji. Dobrze, a teraz proszę jeszcze troszkę się podnieść. O tak, doskonale.

Przemawiała do niego cicho i czule jak do dziecka, ale w jej głosie dało się wyczuć pewność siebie i pełną świadomość tego, co robi. Michał bezwiednie poddał się jej delikatnej perswazji i już po chwili udało mu się usiąść. Oparł się o ścianę budynku, przy którym leżał. Nieznośny szum w uszach nasilał się, ale mdłości odrobinę zelżały.

– I jak się pan czuje? – zapytała znów po chwili.

Przymknął powieki na znak, że wszystko w porządku.

– Dobrze. Proszę zaczekać, przyniosę panu coś do picia – powiedziała nieznajoma i nim zdążył coś odpowiedzieć, zniknęła w pobliskiej bramie.

Michał spróbował przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Potoczył wokół wzrokiem, usiłując rozejrzeć się, w miarę możliwości nie poruszając głową. Szybki rzut oka w lewo, na ogromną ciemną tablicę z ozdobnie wymalowanym jasnym napisem „KEFIR”, wystarczył, by odświeżyć jego pamięć. Wydarzenia poprzedniego wieczoru powróciły do niego z soczystą wyrazistością. Po tragicznej w skutkach wizycie u Poli ruszył przed siebie, nie bacząc na kierunek, w którym zmierzał. Szybko przeciął plac Napoleona z górującym ponad nim pięknie iluminowanym wieczorową porą budynkiem Towarzystwa Ubezpieczeniowego Prudential i wszedł w Warecką, by po chwili znaleźć się na gwarnym Nowym Świecie. Śmiechy siedzących przy stolikach ludzi, głośne rozmowy, pokrzykiwania i ogólnie panująca wokół wesołość wyrwały go z apatii. Poczul gniew. Był zły na ojca, że po raz kolejny go wykorzystał, na matkę, że go nie powstrzymała, na Polę, że nie dała mu szansy na wyjaśnienia, wreszcie na samego siebie, że dał się wciągnąć w te ciemne intrygi, za które przyszło mu zapłacić tak ogromną cenę. W przypiływie wściekłości postanowił, że odtąd będzie żył tak, jak mu się podoba, robił tylko to, na co ma ochotę, pił, palił, bawił się, flirtował, używał życia, zamiast starać się dopasować do świata, w którym i tak nikt nie liczy się z jego uczuciami.

Przypomniało mu się, że tego dnia w Warszawskim Towarzystwie Wioślarskim organizowany jest piąty już w tym

sezonie bal wiosenny. Pośpiesznie udał się na Foksal 19, do wybudowanej niemal czterdzieści lat wcześniej ze składek i darowizn członków towarzystwa neogotyckiej kamienicy, z rzeźbą Hipolita Marczewskiego przedstawiającą alegorię Wisły na frontonie. Wprawdzie Michał był wielkim miłośnikiem modernizmu, ale nie mógł odmówić uroku tej budowli, choć nie był pewien, czy ciepłe uczucia wywołuje w nim poczucie estetyki, czy sentyment. Spędził tu wiele zimowych godzin, wykonując ćwiczenia gimnastyczne potrzebne do zdobywania trofeów w sezonie wioślarskim, odbył niezliczoną ilość pojedynków szermierskich i rozmów z kolegami na ławkach w szatni. To miejsce było dla niego symbolem energii, zapału, zabaw, wesołości i żywotności chłopców niezauważenie stających się mężczyznami.

Wchodząc do siedziby tego najstarszego polskiego stowarzyszenia sportowego, którego członkami byli niegdyś także Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz, spojrzął na umieszczone tam godło warszawskich wodniaków. Przedstawiało tarczę z herbem Warszawy, opartą na kotwicy i skrzyżowanych wiosłach. Nagle poczuł się pokrzepiony tą wizją. Tu jest jego kotwica, tu jest jego prawdziwy dom i prawdziwa rodzina. Tu jest potrzebny i tu dziś zabawi się jak nigdy przedtem.

Jak postanowił, tak też uczynił. Koledzy, mile zaskoczeni wizytą Rakowskiego, który dotąd nie zaszczycił żadnego z ich balów swoją obecnością, dołożyli wszelkich starań, by zapamiętał ten wieczór. Przeegzaminowali go z wioślarskich przyśpiewek, odstępowali do tańca najurodziwsze partnerki,

z rzadka pozwalając Michałowi zejść z parkietu, odpalali cygaro za cygarem i wtykali mu w usta, gdy wirował w tańcu, a nade wszystko obficie poili napojami wysokoprocentowymi, podziwiając możliwości młodego Rakowskiego w tej dziedzinie. Niestety! Michał, nieprzywykły do picia trunków mocniejszych niż mały kieliszek wina do uroczystego obiadu czy odrobina koniaku do bożonarodzeniowej kawy, nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie niesie za sobą wychylenie zawartości kolejnych kieliszków, podawanych mu przez życzliwych kolegów. Wieczór szybko okazał się aż nadto upojny.

Po kilku godzinach zabawy, patrząc na zdobiące salę balową ogromne malowidło Henryka Siemiradzkiego, przedstawiające syrenkę na tle panoramy Starego Miasta, młody Rakowski mógł przysiąc, że powabna kobieta puszcza do niego oko i zaprasza do tańca, wyciągając w jego kierunku swoje piękne, blade dłonie o nieziemsko długich palcach. Rakowski nie mógł oprzeć się urokowi wodnej panny i zaczął tańczyć, przyciskając się czule do ściany, na której wymalowana była jej podobizna. Tego było za wiele dla starszych towarzystwa, czuwających nad przebiegiem balu i pilnujących, aby młodzież bawiła się zgodnie z wymogami etykiety i przyzwoitości. Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie chlubiło się nieposzlakowaną opinią instytucji eleganckiej, dbającej nie tylko o tężyznę fizyczną, lecz i moralne prowadzenie się swoich członków. Młody Rakowski został uprzejmie, acz stanowczo wyproszonej. Etykieta i drużynowa lojalność nakazywały kolegom odeskortować upojonego towarzysza do domu, zadbać zarówno o jego bezpieczeństwo fizyczne, jak

i nieposzlakowaną opinię; należało czuwać, by upojony, utraciwszy kontrolę nad swoimi poczynaniami, nie dopuścił się aby jakiegoś wykroczenia. Dwóch spośród kolegów, którzy najmocniej stali na nogach, zaoferowało Rakowskiemu pomoc, jednak ten stanowczo odmówił, nie chcąc psuć im zabawy. Wzruszeni jego postawą koledzy postanowili zatem jeszcze chwilę pozostać w tym przybytku uciechy, obiecując wznieść toast za jego drogę do domu.

Michałowi wydawało się, że dotarcie na Noakowskiego przyjdzie mu bez trudu, więc odrzucił także propozycję portiera, który chciał przywołać dla niego dorożkę. Wybełkotał, iż nocny spacer doskonale mu zrobi, orzeźwi ciało i umysł. Rozmowa z portierem była ostatnią pamiętaną przezeń rzeczą. Napis, w który wpatrywał się obecnie, świadczył o tym, że zbyt daleko nie uszedł. Leżał bowiem przy zbiegu ulicy Foksal i Nowego Świata, nie dalej jak sto kroków od siedziby Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego.

Zmęczony wspomnieniami, przymknął powieki, modląc się w duchu, by nikt z władz towarzystwa nie rozpoznał go podczas powrotu do domu. Klub szczycił się opinią wylęgarni dżentelmenów, którym pijaństwo było surowo zakazane.

Stukot pantofelków o bruk, wyraźnie odcinający się we wczesnorannej ciszy, oznajmił, że jego opiekunka wróciła. Kobieta podeszła do niego, niosąc butelkę kwasu chlebowego. Przyjął ją z wdzięcznością i zaczął łapczywie pić.

– Powoli, powoli – upomniała go znowu.

Gdy zaspokoił pierwsze pragnienie, poczuł się troszkę lepiej.

– Dziękuję.

Uśmiechnęła się, jakby lekko zawstydzona jego podziękowaniami.

– Miał pan sporo szczęścia, że dzisiejsza noc była tak ciepła. Inaczej niechybnie przypłaciłby pan zabawę zapaleniem płuc – powiedziała, byle coś powiedzieć, speszona wbitym w nią spojrzeniem chłopaka.

– Czy ja pani przypadkiem gdzieś już nie spotkałem? – zapytał jakby w nagłym przeblasku świadomości; coś sobie przypomniął.

– Owszem. Wielokrotnie się mijaliśmy – odpowiedziała kobieta. – Restauracja pańskiego ojca sąsiaduje z cukiernią „U Hanki”, nieprawdaż?

Michał kiwnął głową, a serce zaczęło mu bić mocniej z niepokoju o to, kim jest nowa znajoma.

– A cukiernia „U Hanki” należy do mojego teścia – kontynuowała. – Jestem Klara Starczewska.

– O nie! – jęknął, zamiast się przedstawić, i ukrył twarz w dłoniach.

Tego wszystkiego było dla niego już zbyt wiele. Kłótnia i rozstanie z Polą, pierwsza w życiu alkoholowa zabawa, która skończyła się spędzeniem reszty nocy na chodniku w środku miasta, gdzie wreszcie znalazł go nie kto inny, a bratowa jego ukochanej! Zbyt wiele upokorzeń jak na niepełną dobę.

– Gorzej się pan czuje? – zaniepokoiła się Klara.

Michał pokręcił przecząco głową, wciąż zasłaniając twarz.

– Powiedziałam coś nie tak?

Chłopak znów pokręcił głową, ale coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że Klara przypomniwała sobie poprzedni wieczór. Po

pracy przysłała na Moniuszki, zmierzyć ciśnienie panu Antoniemu. Teść jednak spał, więc usiadła w salonie i pograżyła się w lekturze *Faraona*, która to książka, założona tradycyjnie łyżeczką, leżała na poręczy fotela. W międzyczasie do domu wróciła Słodka Pola. Klarze wystarczyło jedno szybkie spojrzenie w zwykle roześmiane i pogodne oczy dziewczyny, by zaniepokoić się stanem jej duszy. Milczenie Poli, która zwykła od progu głośno opowiadać wszystkie przygody minionego dnia, bez względu na to, czy ktoś jej słuchał, czy nie, sprawiło, że Klara czym prędzej odłożyła książkę na bok.

– Jak tam, Polu, wszystko w porządku? – zagadnęła, starając się, aby jej głos brzmiał możliwie swobodnie, by nie dać Poli odczuć, że dostrzegła jej przygnębienie.

– O tak, w najlepszym! – odpowiedziała Pola sztucznie podniesionym, nienaturalnym dla niej tonem.

Odpowiedź składająca się z czterech słów upewniła Klarę, że siostrze Wojtka musiało się przytrafić coś bardzo przykrego. Po kilku próbach dowiedzenia się czegokolwiek, zadawania najróżniejszych, z pozoru błahych pytań, dowiedziała się tylko tyle, że Polę spotkał wielki zawód miłosny. Z wypowiedzianych przez nią słów wywnioskowała również, że uczucie musiało być niezwykle silne, skoro mogło wzbudzić tak wiele oschłości i zapalczywej nienawiści do świata, uczuć tak obcych słodkiej, ciepłej i dobrej naturze dziewczyny. Widząc jednak niechęć Poli do zwierzeń, Klara postanowiła wrócić do tematu za kilka dni, gdy emocje dziewczyny nieco opadną.

Tak, ten chłopak patrzył na nią teraz z takim samym bezbrzeżnym smutkiem jak ona. Tknięta nagłym przeczuciem, wykrzyknęła:

– To o panu mówiła Pola! – po czym z przejęcia, że zdradziła sekret, zasłoniła dłońmi usta.

Michał spodziewał się wielu rzeczy, ale nie tak bezpośredniego postawienia sprawy. Opuścił ręce, nie zważając na to, że Klara zobaczy na jego twarzy ślady łez. Było mu już wszystko jedno, co sobie o nim pomyśli. Czuł się paskudnie, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Skoro jednak Pola nie chciała go znać, nic więcej nie miało znaczenia.

Nie musiał odpowiadać, Klara już wiedziała.

Przyjrzała mu się uważnie i nagle zrobiło się jej okropnie żal tego biednego, zagubionego człowieka. Siedział przed nią samotny, bezbronny i załamany. Jego duma, którą zwiastowały zaciśnięte szczęki i wargi wydęte jakby w wyrazie pogardy dla świata, musiała srodze ucierpieć podczas owej nieszczęsnej w skutkach próby zapomnienia. Nie wiedziała, jak długo leżał na chodniku ani jak dużo wypił minionego wieczoru. Przekrwione oczy świeciły rozgorączkowanym blaskiem, a głębokie sińce, odcinające się szarogranatowym cieniem od bladych policzków, sprawiały, że wyglądał na bardzo chorego. Zarost pokrywał ciemną szczeciną jego pięknie zarysowaną twarz, dodając mu lat i wdzięku. Mimo ogólnego wrażenia choroby i nieładu, jakie teraz sprawiał, Michał Rakowski wydał się Klarze, która nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na jego urodę, bardzo przystojnym mężczyzną.

– Odprowadzę pana do domu – zaproponowała, spoglądając na zegarek. – Zdażę. Gdzie pan mieszka?

– Dziękuję, nie ma takiej potrzeby – odburknął z godnością, z trudem podnosząc się z kolan. – Dam sobie radę.

Mówiąc to, zachwiał się i opadł na ścianę. Świat zawirował mu przed oczami i Michał z wielkim trudem ustał na nogach. Podparł się na kolanach i ze wszystkich sił próbował oprzeć się ciągnącej go ku ziemi sile grawitacji.

– Oczywiście, że da pan radę, ale Pola nigdy nie wybaczyłaby mi, gdybym pozwoliła panu odejść samemu w takim stanie.

Michał spojrzał na nią gniewnie.

– Poli jest absolutnie obojętne, co ze mną będzie, bez względu na stan, w jakim się znajduję! Nie musi się pani kłopotać!

– Jest pan tego pewien? – zapytała spokojnie Klara, patrząc mu prosto w oczy.

W sercu Michała obudziła się delikatna nutka nadziei, choć złość nie pozwoliła mu na okazanie tego.

– Tak, proszę pani, jestem pewien. Kazała mi odejść i nigdy nie wracać.

– A zastanowił się pan, dlaczego tak surowo pana potraktowała?

Michał spojrzał w jej czyste i dobre oczy, w których nie dostrzegł nawet śladu kpiny czy złośliwości. Zastanowił się chwilę, po czym odparł:

– Nienawidzi mnie, bo ją oszukałem...

– A może kocha pana i dlatego tak bardzo zabolęło ją to, co pan zrobił?

Michał potrząsnął głową.

– Nic nie zrobiłem... Cóż mogę poradzić na to, że jestem synem mojego ojca?! Każde słowo, które powiedziałem Poli, było prawdą... Niczego nie udawałem, choć początkowo miałem taki zamiar.

– Powinien jej pan to powiedzieć... – zaczęła ostrożnie Klara.

– Próbowałem – przerwał jej zniecierpliwiony Rakowski. – A tu widzi pani żaloszny finał owej próby. Pola nie chce mnie znać.

Zwiesił głowę. Klara przyglądała mu się współczująco. Z całą jasnością dotarło do niej, jak bardzo kocha się tych dwoje młodych ludzi, na pierwszy rzut oka zupełnie do siebie niepasujących.

– Pomogę panu – stwierdziła stanowczo.

– Powiedziałem, że sobie poradzę, dziękuję.

– Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał – potrząsnęła głową. – Pomogę panu wyjaśnić wszystko Poli.

Michał znieruchomiał. Po chwili podniósł wzrok i spojrzał na nią z wdzięcznością. Na krótką chwilę wstąpiła w niego wiara w to, że z pomocą Klary może mu się udać odzyskać ukochaną. Zaraz jednak przed oczami stanęła mu jej ścięta bólem twarz i wypełnione łzami oczy, gdy mówiła, że nie chce go nigdy więcej widzieć. Nadzieja rozwiąła się, nim na dobre zdołała rozgrzać jego duszę.

– To nic nie da – westchnął smutno.

– Tak łatwo się pan poddaje? – nie dawała za wygraną Klara.

– Ja się nie poddaję, szanowna pani, ja wiem, co wczoraj usłyszałem.

– Wczoraj należy już do przeszłości. Proszę pozwolić mi z nią porozmawiać w pana imieniu. Jeśli mi się nie uda...

– Ale ja nie chcę, żeby cierpiała, przeżywając to wszystko od nowa...

– Nie może jej pan ochronić przed całym złem tego świata, tak jak nie może jej pan zmusić do wybaczenia, ale musi jej pan dać szansę, by mogła to zrobić.

Rakowski skinął głową i po raz pierwszy podczas rozmowy uśmiechnął się słabo. Klara odwzajemniła jego uśmiech, po czym spojrzała na maleńki zegarek, zapięty dyskretnie na przegubie dłoni.

– A zatem dobrze, proszę wrócić do domu, zażyć snu, odświeżyć się trochę i czekać na wieści – zasugerowała życzliwie. – Do widzenia panu.

Poprawiła czepek i założyła rękawiczki. Kiwnęła mu na pożegnanie, po czym ruszyła w stronę Alei Jerozolimskich.

– I proszę być dobrej myśli! – zawołała półgłosem, odwracając się w jego stronę. – Jeśli pana kocha, przebaczy. Jestem tego pewna!

– Jeśli kocha... – powtórzył za nią Michał i zwiesił głowę.

Rozdział 24

Posada pielęgniarki w szkole sióstr Posseltówien nie należała do najbardziej wymagających. Joanna całe dni spędzała we w pełni wyposażonym gabinecie pielęgniarskim, zamiast pracy, oddając się lekturze. Nieczęsto bowiem nadarzała się okazja, by skorzystać z medycznych utensyliów ukrytych w rzeźbionych, malowanych na biało szafach z mnóstwem szufladek. Udzielanie pomocy było tu raczej niecodziennym zajęciem. Ot, jednego dnia jakaś nieuważna panienska poparzyła się klejem podczas zajęć z modelarstwa, drugiego któraś stłukła sobie kolano, gimnastykując się na świeżym powietrzu, to znowu inna niespodziewanie zapadła na migrenę, ale te wypadki nie dawały Joannie ani zajęcia dla rąk i głowy, ani satysfakcji z wykonywanej pracy, której tak usilnie poszukiwała.

Po miesiącu bezczynności zaczęła się zastanawiać, czy podjęła słuszną decyzję, zostawiając maleńkie dzieci w domu po to tylko, by całymi dniami siedzieć przy oknie i czytać kolejne lektury ze szkolnej biblioteki, która była sukcesywnie uzupełniana o wszystkie nowe pozycje pojawiające się na rynku wydawniczym. Wydawało się, że z jednej martwoty popadła w drugą.

Gdy pewnego dnia nieomal była gotowa zrezygnować z posady, do jej gabinetu zapukała Teodora. Od pierwszej chwili, w której się poznały, przypadły sobie do gustu. Męczkowska była wprawdzie starsza od Joanny o ponad

czterdzieści lat, lecz mimo tak znacznej różnicy wieku miały podobne usposobienie, co nierzadko źle wróży przyjaźni, ale w ich przypadku okazało się niespodziewanie owocną okolicznością. Nie znosiły bezruchu i lenistwa, chciały pomagać innym, zmieniać świat. W dodatku obie były zapalonymi miłośniczkami automobilizmu. W zasadzie prawdziwych początków swojej przyjaźni dopatrywały się właśnie w owym porannym komentowaniu pojazdów, którymi najlepiej sytuowane uczennice odwożone były do szkoły.

Teodora, choć wychowana w tradycyjnych wartościach przez matkę nauczycielkę i ojca – ewangelickiego pastora, prezentowała naturę aż nadto wyzwoloną, niejednokrotnie wprawiając tym Joannę, która wszak sama zwykła określać się mianem kobiety wyemancypowanej, w najszczerze osłupienie. Nadto miała doskonałe poczucie humoru, duży dystans do niedostatków swojej urody i wybitną zdolność lapidarnego puentowania każdej, choćby najbardziej niezręcznej sytuacji. Wiele koleżanek twierdziło, że Teodora nie bywa poważna, i z obawy przed jej ciętymi uwagami trzymało się od niej z daleka. Joanna jednak wielokrotnie przekonała się, że Męczkowska była niezastąpionym towarzyszem w kłopotach, a jej żartobliwy nastrój zniknął natychmiast, gdy pojawiały się trudności.

– Nie przeszkadzam? – zapytała, zaglądając przez uchylone drzwi do środka.

Joannie zdawało się, że wyczuwa w głosie przyjaciółki lekko kpiące nutki.

– Ależ przeszkadzasz! Jak widzisz, jestem szalenie zajęta – odpowiedziała w tym samym tonie, szerokim ruchem dłoni wskazując puste wnętrze gabinetu. – Ale proszę, wejdź, dołącz do naszego doborowego towarzystwa.

Teodora przyjęła zaproszenie i z całą powagą teatralnie kiwnęła głową w stronę pustych krzeseł. Joanna roześmiała się głośno i nieskrępowanie. W towarzystwie Teodory czuła się swobodnie, jakby jej bezceremonialność i w niej wyzwalała bardziej naturalny sposób bycia. Dłuższą chwilę gawędziły niezobowiązująco, aż wreszcie Teodora zdradziła cel swojej wizyty.

– Czy masz już plany na dzisiejsze popołudnie? – zapytała, przybierając zagadkowy wyraz twarzy.

Joanna pokręciła przecząco głową.

– W zasadzie nie – odparła z lekkim wahaniem.

Przemknęło jej przez myśl, że przecież w domu czekają na nią bliźnięta, ale zaintrygowana pytaniem koleżanki, szybko usprawiedliwiła się przed sobą, że przecież są pod doskonałą opieką i jedno popołudnie bez matki nie wyrządzi im szkody.

– Dziś jest zebranie Klubu Politycznego Kobiet Postępowych; może miałabyś ochotę wybrać się tam ze mną?

Joanna chwilę zastanawiała się, co też mogła oznaczać ta nazwa. Wiedziała, że wykładająca przedmioty przyrodnicze Teodora ukończyła także studia filozoficzne i psychologiczne, a jej główną pasją życiową było nie tyle nauczanie, ile działanie na rzecz zrównywania praw kobiet i mężczyzn. Bez reszty zaangażowana w prowadzenie działalności społeczno-politycznej, była członkiem nieprzebranej liczby kół, związków,

towarzystw, klubów i zrzeszeń. Joanna już dawno straciła rachubę, więc i tym razem nie była pewna, dokąd zaprasza ją przyjaciółka.

– To jest ten klub, w którym spotykamy się, by omawiać sytuację kobiet w Polsce i na świecie, ich rolę w życiu gospodarczym, politycznym, obyczajowym i kulturalnym – wyjaśniła Teodora, a w odpowiedzi na pytające spojrzenie Joanny, dodała: – Dziś będziemy dyskutować na temat mojego referatu o pozycji społecznej matki podejmującej pracę zarobkową. Pomyślałam, że możesz być żywo zainteresowana tą kwestią.

Joanna wprawdzie nie przepadała za polityką, jednakże udział w takim zgromadzeniu i możliwość poznania wszystkich kobiet, o których Teodora wielokrotnie opowiadała jej z niekłamany zachwytem, wydała się miłym urozmaiceniem monotonnej codzienności. Sama nie wiedząc kiedy, przyjęła zaproszenie koleżanki.

Po skończonej pracy planowała zaledwie na krótką chwilę zajrzeć do domu, by uściskać bliźnięta i zmienić strój. Nie wiedziała, jak należy się ubrać na kobiecy wiec polityczny, i dobór odpowiedniej garderoby zajął jej niezmiernie dużo czasu. Ostatecznie zdecydowała się na skromny brązowy kostium z dopasowanym żakietem, jedwabną beżową bluzeczką i krótkim sznurkiem pereł, podarowanym jej przez Andrzeja po narodzinach bliźniaków. Gdy skończyła się ubierać, ukradkiem spojrzała na zegarek i ku własnemu przerażeniu skonstatowała, że jeśli zaraz nie wyjdzie i nie złapie dorożki do Śródmieścia, z całą pewnością się spóźni.

Chwilę później, gdy siedziała wygodnie na skórzanej kanapce powozu i skończyła gorączkowe przeglądanie torebki, upewniwszy się, że niczego nie zapomniała, przez myśl przemknęło jej, iż dawno nie czuła się tak zaangażowana we własne życie, jak teraz, spiesząc się na spotkanie w Klubie Politycznym Kobiet Postępowych.

Gdy dojechała na miejsce, przez moment ogarnęły ją wątpliwości. Z słów Teodory wynikało, że członkiniami tego elitarnego klubu były wyłącznie świetnie wykształcone kobiety. Niemal wszystkie miały dyplomy krajowych i zagranicznych uczelni wyższych, w większości z kierunków przyrodniczych, matematycznych i medycznych, czyli tych uznawanych tradycyjnie za męskie. Joanna niepokoiła się, że będzie się czuła niezręcznie wśród aż tak wyedukowanych dam, mimo to zdecydowanym krokiem weszła do środka.

Wkrótce okazało się, że jej obawy były bezpodstawne. Zgromadzone kobiety powitały ją serdecznie, z uznaniem przyjmując wiadomość, że jako matka bliźniąt zdecydowała się także na pracę w szkole. Joanna czuła się nieco zażenowana tym podziwem. Ona jedna znała prawdę. Wiedziała, jak bardzo w wychowywaniu i pielęgnowaniu dzieci pomagały jej profesor Zasławska i poczciwa Helenka, oraz jak niewiele wysiłku kosztowała ją praca. Mimo to poczuła się wyróżniona i zauważona, czego od dawna jej brakowało.

Po krótkim poczęstunku i rozmowach przy popołudniowej herbacie zaczęły się referaty. Teodora miała przemawiać jako ostatnia. Kiedy nadeszła kolej jej poprzedniczki, towarzystwo wydawało się już nieco zmęczone. Wyraźnie dało się odczuć

rozproszenie uwagi i dobiegające z różnych części sali stłumione szepty. Jednak gdy tylko Teodora weszła na mównicę, wszystkie rozmowy ustały, a setki par oczu skierowało spojrzenia w jej stronę.

– Kobiety nie doceniają samych siebie – zaczęła z mocą. – W teorii mają równe prawa z mężczyznami, jednak w praktyce z nich nie korzystają. Przyczyną tego jest brak wiary we własne siły, w to, że ich zdanie się liczy, że ich poglądy, działania mogą coś zmienić. Ów brak wiary skutkuje biernością i obojętnością wobec otaczającego świata. Domową rzeczywistość i konieczność wychowywania dzieci nierzadko traktują jako wymówkę, usprawiedliwienie własnego indyferentyzmu politycznego. Połączenie działalności zawodowej i macierzyństwa, gdy okoliczności temu sprzyjają, winno być świadomym wyborem rozbudzonych umysłów...

Teodora mówiła dalej, a jej zapał rósł z każdym wypowiedzianym słowem. W niczym nie przypominała niepozornej nauczycielki, wizytatorki żeńskich szkół w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, którą była na co dzień. Zachwyconej Joannie przywodziła na myśl ową kobietę z obrazu Eugène'a Delacroix, wiodącą zbuntowany lud Francji na barykady, choć oczywiście Męczkowska była w przeciwieństwie do tamtej kompletnie ubrana. Wystąpienie zostało nagrodzone gromkimi oklaskami, a po nim rozgorzała płomienna dyskusja. Joanna od razu zauważyła w tym środowisku brak pewnej znienawidzonej przez nią cechy dyskutantek płci niewieściej. Zgromadzone tu kobiety nie czyniły nic niewnoszących do dyskusji uczonych

uwag, niemających na celu niczego poza wyniesieniem się nad pozostałych interlokutorów. Członkinie Klubu Politycznego Kobiet Postępowych słuchały się nawzajem, czekały na swoją kolej wypowiedzi nawet podczas najbardziej burzliwej dyskusji i odnosiły się do siebie z niezwykłym szacunkiem. Joanna, która do tej pory poznała wyłącznie jedną kobietę prowadzącą konwersacje w ten sposób – profesor Zasławską – była zachwycona. Po pewnym czasie ośmieliła się włączyć do rozmowy, a jej wypowiedź została przyjęta z zainteresowaniem, co zachęciło ją do dalszego perorowania, tak że rychło zaczęła przewodzić dyspacie. Ze zdziwieniem odkryła, że jest w swoim żywiole.

Oddanie sprawie, dynamizm i nieustrudzona ciekawość poruszanych tematów oczarowały ją. Miała wrażenie, jakby krew w jej żyłach zaczęła szybciej krążyć. Ona także chciała być częścią owej wielkiej sprawy, o którą walczyły te kobiety.

Kolejne tygodnie upłynęły Joannie na wkraczaniu w niezwykle świat życia politycznego. Jednak choć wszystko było tu nowe, orzeźwiające, zajmujące i pochłaniające, gdy pierwszy zachwyty minął, poczuła się rozdarta pomiędzy światem domowym, który mimo wszystko kochała, i zaczarowaną krainą koleżanek z Klubu Politycznego Kobiet Postępowych. Zmagiała się z uczuciem zawieszenia pomiędzy nimi.

Teodora, jakkolwiek fascynująca, inteligentna i niezwykła, nie pragnęła dzieci i robiła wszystko, by ich nie mieć. Przy niej Joanna czuła się nieco zacofana i chwilami wstydziła się swego przywiązania do Jerzyka i Kazika. Wielokrotnie kusiło

ją, by opowiedzieć przyjaciółce o ich słodkich piętках albo nowym ząbku. Od czasu do czasu się zapominała i wówczas Teodora posyłała jej pełen pobłażliwości uśmiech, unosząc brwi, jakby chciała zapytać: i gdzie w tym postępowość, kochana? Gdzie twoja nowoczesność? Mimo to milczała, jedynie wyrazem twarzy dając Joannie do zrozumienia, co myśli o ubrudzonych konfiturą buźkach i stłuczonych kolankach.

Owe wątpliwości zakłócały radość płynącą z odnalezienia w życiu pasji. Joanna wiedziała, że nie może i nie chce się jej oddać w pełni. Dom był dla niej mimo wszystko zbyt ważny. Ta świadomość męczyła ją najbardziej. Niczemu nie mogła poświęcić się do końca.

W domu profesorstwa Zasławskich nie angażowała się w takim stopniu, jak w jej mniemaniu powinna, w swoje obowiązki domowe. Po prawdzie, odkąd zamieszkali na Hoene-Wrońskiego pod czułymi skrzydłami Helenki, nie miała ich zbyt wielu. Zabawa z synkami, przyjemna przez kwadrans czy dwa, szybko zaczynała ją niecierpliwic. Andrzeja nie było w domu od rana do wieczora, a im bliżej było do tej nieszczęsnej wystawy, tym rzadziej go widywała. Tematu „Warszawa przyszłości” miała powyżej uszu. Przy posiłkach, podczas spacerów, przy wieczornej herbacie z teściem, teściową lub zaproszonymi gośćmi z rzadka tylko poruszano jakieś inne zagadnienie, a jeśli już, robiono to wyłącznie po to, by po chwili znów nawiązać do wystawy. Z drugiej strony nie mogła tak zdecydowanie i stuprocentowo poświęcić się działalności klubu, całkowicie porzucając kwestie domowe.

Kochała swoich malców i choć szybko nudziła się jej zabawa z nimi, nie potrafiła się nie bawić. Uwielbiała im się przyglądać. Tak szybko się zmieniali, tak wiele uczyli się każdego dnia. Nie chciała stracić tych chwil, nawet w imię walki o słuszną sprawę.

Był jeszcze i Andrzej. Wprawdzie ostatnimi czasy irytująco zaaferowany wystawą, ale jedyny i ukochany. Odkąd sama została wessana w wir zaangażowania społecznego, z dużo większą wyrozumiałością podchodziła do jego obsesyjnej fascynacji przyszłym wyglądem stolicy. Potrzebował swojej pracy do szczęścia, ona zaś bardziej niż wieców i zbiórek na cele dobroczynne potrzebowała jego. Tylko przy Andrzeju niczego jej nie brakowało, za niczym nie tęskniła. Był dobry, niepozorny i roztrzepany w życiu osobistym, wyrazisty w swoich projektach, szaleńczo zakochany w niej i w pracach wuja Stefana, który pomagał chłopakowi, jak mógł. Joanna była coraz mniej zazdrosna o pracę męża, bo wiedziała, że bez tych wszystkich tuszów, kalek i miernic byłby bardzo nieszczęśliwy.

Wreszcie była i praca w szkole, w której jednak ostatnimi tygodniami oddawała się głównie pisaniu manifestów politycznych i formułowaniu w nich postulatów stronnictw kobiecych.

Nie należała zatem w pełni do żadnego z tych światów. Początkowo martwiła się tym, czuła się winna i zagubiona. Wkrótce jednak uznała, że nic jej nie przyjdzie z owego zakłopotania, taka już jest i tak jest dobrze. Nigdy nie będzie wybitnym politykiem jak Teodora ani najśłodszą i najczulszą

matką skupioną wyłącznie na dzieciach. Nie potrafiła dokonać wyboru i poświęcić się czemuś bez reszty. Uznała zatem, że najlepiej będzie ów fakt zaakceptować i cieszyć się z możliwości bycia kimś pomiędzy, pomostem pomiędzy światami. Być kobietą postępową, która nie wstydzi się tego, że kocha bez pamięci swojego męża i dwóch niesfornych, rudowłosych malców. Na samą myśl o tych trzech drogich mężczyznach nie mogła się nie uśmiechnąć.

Po pewnym czasie Joanna przedstawiła Teodorę profesor Zasławskiej. Znajomość ta szybko zaowocowała wstąpieniem pani Janiny do Polskiego Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem, którego spotkania odbywały się w siedzibie czasopisma społeczno-politycznego „Kobieta Współczesna”. Wkrótce profesor Zasławska stanęła na czele grupki zajmującej się prowadzeniem badań statystycznych nad udziałem kobiet w życiu naukowym, politycznym i zawodowym w II Rzeczypospolitej.

Pewnego wieczoru podczas kolacji profesor Zasławski, wysłuchawszy kolejnej tyrady żony i wspomagającej ją synowej na temat sposobów uświadamiania kobiet o konieczności zajmowania przez nie miejsc w parlamencie, wybuchnął gromkim śmiechem. Dwie pary oczu natychmiast rzuciły w jego stronę oburzone spojrzenia, on jednak nie mógł przestać się śmiać. Siedzący przy końcu stołu Jurek i Kazio zawtórowali mu ochoczo. Profesor Zasławski aż poczerwieniał z wesołości.

– Drogi mężu, czy mógłbyś mi wytłumaczyć, które z moich słów tak bardzo cię rozbawiło? – surowo zapytała pani Janina.

Słyszając ostrzegawcze nuty w jej głosie, profesor Zasławski natychmiast się opanował. Otarł łzy z oczu i spojrzał czule na żonę. Uścisnął jej dłoń, spoczywającą tuż obok jego, i powiedział:

– Nigdy nie przypuszczałem, że na starość doczekam się w domu jednocześnie pary bliźniąt i dwóch zapalonych feministek.

Jednak gdy żona nie odpowiedziała mu uśmiechem, a oczy Joanny cisnęły gromy, odchrząknął i przybrał zakłopotany wyraz twarzy.

Jakież one są podobne! – pomyślał, lecz nie ośmielił się wypowiedzieć tej myśli na głos. Podskórnie przeczuwał, że dwie panie mogłyby nie być zachwycone takim postawieniem sprawy.

– Ale oczywiście nie ma w tym nic złego! Wasze zaangażowanie jest doprawdy... – zawahał się, szukając odpowiedniego słowa – wspaniałe!

Sposób, w jaki wypowiedział ostatnie zdanie, sprawił, że tym razem roześmiali się już wszyscy siedzący przy stole domownicy.

Rozdział 25

Przez wiele dni Wojtek budził się rano z pękiem nowej nadziei w sercu, że oto właśnie tego dnia ich małżeńska relacja się odmieni, powróci dawna troska, czułość, pragnienie bycia razem. Niestety owa nadzieja wędła, nim nastawał wieczór.

Widział wyraźnie, jak pod wpływem nowej pracy Klara zaczyna powoli odzyskiwać utraconą wolę życia. Zaczęła znów dbać o ubiór, nosić staranne uczesanie, czyścić przed wyjściem pantofelki. Ową troskę o wygląd zewnętrzny przyjmował za dobrą monetę, zapowiedź zmian na lepsze. Miał nadzieję, że nowa praca i związane z nią wyzwania pozwolą Klarze zapomnieć o przeszłości i umożliwią mu jej odzyskanie. Jednak te nadzieje okazały się płonne. Dni mijały, a ona nadal pozostawała wobec niego obca, daleka, jakby zamrożona przez złe moce baśniowej Królowej Śniegu. Od tragicznych wydarzeń, które – jak mu się do dziś zdawało – rozdzieliły ich na zawsze, minęło już tyle czasu, że zaczął powoli tracić nadzieję na to, że kiedykolwiek zdołają odnaleźć zagubioną tamtej nocy nić bliskości.

Dziś jednak nastąpił wyraźny przełom. Wojtek siedział na kanapie i nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Klara od rana zachowywała się tak, jakby ktoś zdjął z niej ów zły czar, pod którego wpływem żyła już tak długo. Wstała rano i choć wciąż nie pozwoliła się pocałować, wychodząc do łazienki, posłała mu od tak dawna niewidziany uśmiech. To wystarczyło, by wprowadzić go w doskonały nastrój. Upojony

szczęściem Wojtek nie poświęcił ani chwili na zastanowienie się nad przyczyną tak diametralnej zmiany w zachowaniu żony. Przyjął za zadowalające pierwsze wyjaśnienie, które przyszło mu na myśl, że oto minęło już wystarczająco dużo czasu, który jak wiadomo ma lecznicze właściwości. Wesoło nucąc pod nosem, udał się do kuchni, by przygotować Klarze śniadanie. Wkrótce siedzieli razem przy stole, rozmawiając. Choć Klara mówiła niewiele, wyraźnie zachęcała męża do opowieści i zdawała się z uwagą wsłuchiwać w jego słowa. Po wielu miesiącach milczenia i obojętności przyjął to z niewysłowioną radością. Promieniał szczęściem, które wylewnie okazywał, rzucając żonie pełne oddania i czułości spojrzenia, raz po raz wybuchając śmiechem bez przyczyny.

– Cieszę się, że wróciłaś – powiedział wreszcie, patrząc Klarze głęboko w oczy. – Odtąd wszystko się ułoży, zobaczysz.

Dziewczyna spuściła wzrok i zaczerwieniła się. Wojtek przyjrzał się jej z uwagą, a w jego sercu pojawił się nagle niepokój, że ten wspólny poranek był jedynie kolejnym stadium smutku Klary.

– Kochanie, wszystko dobrze? – spytał wreszcie, widząc, że dalsze oczekiwanie na jakiegokolwiek słowa żony nie ma sensu.

Klara skinęła głową, wciąż nań nie patrząc.

– Kochanie...? – szepnął. – Nie odchodź znów... Proszę.

Kobieta podniosła wzrok i spojrzała na męża. W jej oczach dostrzegł nieme błaganie. Ona także o coś go prosiła.

– O co chodzi? – zapytał, chcąc dodać jej odwagi.

Klara wyprostowała się i nie spuszczając z niego wzroku, powiedziała, że chce przygarnąć niesłyszającego chłopca,

poznanego w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych.

Odkąd poznała historię Felusia, niemal codziennie pod różnymi pretekstami odwiedzała skrzydło przedszkolne. Nie potrafiła dociec, kiedy po raz pierwszy w jej głowie wyklarowała się myśl o zaopiekowaniu się chłopcem. Owo pragnienie dojrzewało w niej powoli, z każdym dniem stając się coraz bardziej natarczywym marzeniem. Wkrótce nie mogła już myśleć o niczym innym. Chciała dać chłopcu dom, którego został tak okrutnie pozbawiony, chciała go uszczęśliwić, a ponadto pragnęła mimo fizycznej niemożności doświadczyć bycia matką. Chciała znów żyć dla kogoś, zamiast dusić się w świecie bolesnych wspomnień. Zaopiekowanie się Felusiem było pierwszą rzeczą, której prawdziwie zapragnęła, odkąd utraciła własne dziecko.

Wojtek zaś jawił się jej jedynie jako przeszkoda, ktoś, kto może zagrozić jej przyszłemu szczęściu. Z każdym dniem odczuwała wobec niego już nie tyle obojętność, ile rosnącą niechęć. Czasami bała się tych natrętnych myśli i wyrzucała sobie, że w ogóle powstały w jej głowie, mimo to nie mogła ich wykorzenić. Niekiedy nachodziło ją pragnienie ucieczki. Chciała zamknąć na klucz drzwi przeszłości, zabrać Felusia, wyjechać i zbudować swoje życie od nowa. Joanna zajęta była swoimi sprawami, rodziców nie miała, nikt nie odczułby zbyt dotkliwie jej nieobecności. Jedynie Wojtek mógł wszystko zniszczyć. Wzięła głęboki wdech i starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo się boi, rzekła:

– Właściwie wszystko już ustaliłam z dyrektorem Zawadzkiem...

To ostatnie zdanie wyrwało Wojtkę z osłupienia.

– Wszystko już ustaliłaś? – powtórzył głucho.

– Tak – odpowiedziała nieco ciszej.

– I dopiero teraz pytasz mnie o zdanie?

– Nie pytam...

Wojtek nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

– Co to ma znaczyć, Klaro?

– Chcę zaopiekować się Felusiem – rzekła, a w jej głosie dało się słyszeć owe rzadko spotykane u niej nutki stanowczości.

Wojtek zrozumiał, że podjęła już decyzję i jego zdanie nie miało dla niej znaczenia. Nie potrzebowała go w swoim życiu. To, co wziął dziś rano za dobry znak, było tylko pozorem. Klara, owszem, była radosna, ale nie on był tego przyczyną. Odnalazła swój cel, powołanie, upragnionego syna. Mąż był jej zbędny.

Wstał od stołu.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

– A czy to ważne?! – odparł gniewnie.

– Wojtek... – zaczęła, ale on nie czekał, aż skończy.

Chwycił płaszcz, kapelusz i wybiegł na ulicę. Skierował kroki w stronę jedyne miejsce, w którym chciał się teraz znaleźć.

Gdy trzy kwadransy później wszedł do swego rodzinnego mieszkania na Moniuszki, od progu uderzył go ów właściwy tylko temu miejscu zapach. Stał chwilę, próbując ustalić jego części składowe, ale nie mógł. Zapach domu był jedyny, niepowtarzalny, i krył w sobie tajemnicę. Przywitał się z Wiesią, po czym pośpieszył korytarzem do pokoju ojca.

Zastukał, a gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, delikatnie nacisnął klawisz i zajrzał do środka.

Pan Antoni leżał na łóżku, obłożony ze wszystkich stron pierzynami, choć po prawdzie wiosna zdążyła już rozgościć się w stolicy i ciepłe dni nie należały teraz do rzadkości. Głowa, gdzieś przyprószona już siwizną, spoczywała na idealnie spulchnionych poduszkach. Wojtek uśmiechnął się na myśl o tym, z jaką troskliwością Wiesia opiekuje się chorym.

Ojciec spał. Chłopak usiadł więc na krześle nieopodal łóżka i zatopił się we własnych zmartwieniach. Nieznośne myśli kołatały mu się po głowie, mieszając się z żalem, gniewem i poczuciem zawodu. Nie miał więcej siły, by walczyć o Klarę. Zresztą po cóż miałby to robić, skoro jej nie przerażała wizja życia bez niego. Dziecko najwyraźniej mogło jej wystarczyć. To, co miało trwać wiecznie, było skończone.

– To ja tu jestem chory, mój drogi, dlaczego więc to ty tak ciężko wzdychasz? – zapytał z ową krzepiącą kpina w głosie pan Antoni.

Wojtek dopiero teraz dostrzegł, że ojciec musiał się w międzyczasie przebudzić, gdyż leżał, przyglądając mu się zupełnie przytomnie, a na jego twarzy nie dostrzegł ani śladu senności.

– Wyjeżdżam – oświadczył nagle ze złością Wojtek.

– Nic nie wspominałeś. Dokąd się wybierasz? – pan Antoni zdawał się wyraźnie zaintrygowany zachowaniem swego zwykle spokojnego i opanowanego syna.

– Do Paryża. Na stypendium, do dekoratorni Wedla przy operze paryskiej.

– Wspaniałe wieści! – ucieszył się pan Antoni. – Gratuluję! Toż to nie lada wyróżnienie!

Wojtek przytaknął wprawdzie, ale coś w wyrazie jego twarzy niepokoiło pana Antoniego.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Gdybym mógł, pojechałbym zaraz. Nic mnie tu nie trzyma.

– A Klara może pojechać z tobą? – zapytał delikatnie ojciec.

Wojtek pokręcił przecząco głową.

– A nawet gdyby mogła, i tak by nie zechciała... – dodał, po czym opowiedział ojcu o wypadkach poranka.

Pan Antoni zamyślił się głęboko. Choć Pola starała się trzymać wszelkie zmartwienia i problemy z dala od niego, wiedział, że po tragedii, która ich spotkała, stosunki Wojtka z żoną nie układają się najlepiej. Nie uzmysławiał sobie jednak, iż jest między nimi aż tak źle.

– Ten wyjazd to dla mnie ogromna szansa – powiedział Wojtek, bardziej do siebie niż do ojca.

– Szansa... – powtórzył w zamyśleniu pan Antoni. – Może i szansa, a może ucieczka? Każda taka sposobność jeszcze bardziej oddali cię od rodziny. Pojedziesz do Paryża i będzie ci się wydawało, że już osiągnąłeś swój wymarzony cel, że wkrótce powrócisz do Warszawy, że upływający czas i oddalenie wam pomogą, będziecie mogli odetchnąć i zająć się naprawą waszej relacji. Jednak pod koniec pobytu okaże się, że na twoim horyzoncie pojawi się coś kolejnego, po co zapragniesz sięgnąć. To jest strumień pragnień, w którego

prądy nadzwyczaj łatwo wpaść. Bez silnego postanowienia i jasnego określenia spraw w życiu najważniejszych, wychylenie głowy ponad jego wody jest praktycznie niemożliwe. Zacznesz uciekać coraz dalej i dalej, zadowalać się powierzchownymi relacjami z niemal obcymi ludźmi. Będziesz udawał miłość, zamiast ją przeżywać, niesiony pędem, z którego nie sposób się wyrwać. Aż nadejdzie dzień, w którym gorzko zapłaczesz, że dałeś tej gonitwie odebrać sobie to, co w życiu najważniejsze.

– Mnie już to odebrano i nikt nie zapytał mnie o zgodę – szepnął z goryczą Wojtek.

– Ale nikt nie powiedział, że nie powinienes zrobić wszystkiego, by to odzyskać.

– Próbowałem... – westchnął z rezygnacją Wojtek.

– Próbuj dalej – powiedział twardo ojciec.

– Czyli taty zdaniem nie powinienem jechać, tak? – Wojtek przybrał buntowniczy ton.

– To jest sprawa drugorzędna.

Chłopak wbił w ojca zdziwiony wzrok.

– Taki wyjazd sam w sobie nie jest niczym złym – kontynuował pan Antoni. – Pytanie tylko, czy nie jest przede wszystkim ucieczką?

– Ona mnie już nie kocha... – wyznał szeptem Wojtek i spuścił żałośnie głowę.

– Synu, ale to niczego nie zmienia – odparł spokojnie pan Antoni.

Wojtek podniósł wzrok na ojca i rzucił mu pytające spojrzenie.

– Musisz się dobrze zastanowić, czego pragniesz. Czy chcesz być centrum świata Klary, czy chcesz ją kochać tak, jak przysięgałeś: stale, pomimo wszystko, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Zapadła cisza, w której wyraźnie słychać było upływający czas, odmierzany rytmicznym cykaniem wielkiego zegara, stojącego nieopodal łóżka pana Antoniego.

– Widzisz – ciągnął po chwili ojciec – oddałbym całe życie, żeby móc spędzić z twoją matką jeszcze jeden dzień, bez względu na to, w jakim byłaby humorze. Chciałbym pooddychać jej obecnością, spojrzeć jej w oczy, słuchać jej śmiechu lub płaczu, móc podziwiać jej ruchy, być w pobliżu, gdyby mnie potrzebowała. Ale nigdy nie dostałem tego jednego dnia...

Wzruszenie odebrało panu Antoniemu głos. Wojtek przestraszył się, że stan ojca się pogarsza, i chciał pójść po lekarza, ale chory powstrzymał go.

– Już dobrze. Zbyt wiele wspomnień, zbyt wiele wzruszeń.

Syn podał mu szklankę z wodą, stojącą na stoliku nocnym.

– Widzisz, prawdziwa miłość do drugiej osoby jest przekraczaniem granic miłości własnej. Od dnia ślubu twoim celem nie powinno być uszczęśliwianie siebie, a Klary.

– Nawet jeśli ona mnie nie chce?

– Czy to właśnie podpowiada ci zraniona odsunięciem na bok duma?

– Tu nie o dumę chodzi – odparł urażonym tonem Wojtek. – Kiedyś byłem dla niej ważny. Budowaliśmy nasze szczęście

razem, nie zawsze w zgodzie, ale w ogromnym pragnieniu harmonii. A teraz?!

Urwał, oddychając ciężko, jakby lękał się, że wypowiadając myśl, która dudniła mu w głowie, miał nadać jej moc sprawczą, ostatecznie odciąć więź pomiędzy nim a żoną.

– Teraz Klara sama decyduje o sobie, a ja bynajmniej nie jestem czynnikiem, z którym by się liczyła.

– A wiesz to na pewno? – zapytał ojciec, patrząc mu prosto w oczy.

– Każdego dnia Klara daje mi to wyraźnie do zrozumienia. To koniec, ojczu.

– Tak podpowiadają ci emocje, ale wiem, że tak łatwo się nie poddasz. Zbyt mocno ją kochasz, synu.

Wojtek wiedział, że ojciec ma rację.

– A chłopiec? – spytał nagle.

– Co z nim?

– Nie znam go, nic o nim nie wiem, nigdy go nawet nie widziałem.

– Zapewne możesz go poznać choćby zaraz.

– Ale... on jest niesłyszący!

– Zastanów się, czy jest to prawdziwa przeszkoda, czy kolejna wymówka... – zasugerował delikatnie pan Antoni.

– To jest obce dziecko... – szepnął Wojtek, spuszczaając głowę.

– To jest po prostu dziecko – sprostował z naciskiem ojciec. – Mały, porzucony człowiek, który potrzebuje domu. Chłopczyk, którego, wierz mi, pokochasz prędzej, niż możesz teraz przypuszczać.

– Ale ja nie wiem, czy będę umiał pokochać cudze dziecko jak własne... – Wojtek wypowiedział na głos to, co trapiło go najbardziej.

– A skąd ta pewność, że własne tak łatwo jest pokochać? Rodzicielskiej miłości zawsze trzeba się nauczyć. Wiem coś o tym – rzekł pan Antoni i posłał synowi słaby uśmiech. – Więzy krwi nie stwarzają prawdziwej rodziny. Trzeba ją budować dzień po dniu, przebywając razem, obserwując, dzieląc się swoimi radościami i smutkami, troszcząc się o siebie nawzajem, ucząc się każdego z jej członków osobno, od podstaw, jak najbardziej szczegółowo. Aż pewnego dnia bez zapowiedzi nadchodzi owa drogocenna bliskość, której nikt i nic nie jest w stanie zniszczyć.

Wojtek nic nie odpowiedział; zamyślił się głęboko nad tym, co usłyszał. Lecz choć rozum przyjmował ojcowskie argumenty, ogarnięte żalem, wątpliwościami i strachem serce wciąż nie dowierzało, że on i Klara jeszcze się odnajdą i że on kiedykolwiek mógłby pokochać Felusia.

– Muszę się nad tym wszystkim zastanowić – rzekł wreszcie, przerywając ciszę.

– Zastanów się, zastanów – poparł go ojciec. – Przemyśl wszystko dokładnie, tak byś był pewien ścieżki, którą wybierzesz. Słuchaj swojego serca, a nie strachu. Ufam, nie, jestem pewien, że wybierzesz mądrze.

Wojtek spojrzał na ojca z wdzięcznością. Wiedział, że rodzic ma rację, a wskazana przez niego droga jest jedyną słuszną do odnalezienia szczęścia, lecz mimo to był rad, że nie próbował

niczego mu narzucić, zupełnie jakby wiedział, że syn potrzebuje czasu, by serce przyjęło argumenty rozumu.

Pan Antoni przymknął oczy, zmęczony emocjami i wysiłkiem rozmowy. Wojtek zauważył to i podniósł się, chcąc oddalić się niepostrzeżenie, by dać ojcu możliwość odpoczynku.

– Jeszcze jedno – zagadnął cicho pan Antoni, nie otwierając oczu. – Sporządziłem testament.

Wojtek jęknął.

– I po co, przecież tata wkrótce będzie zdrów...

Pan Antoni zniecierpliwiony machnął ręką, nakazując synowi milczenie.

– Może, ale tego nie wie nikt poza Stwórcą, a uporządkowanie spraw ziemskich ułatwia wejście w te niebiańskie – ojciec usiłował zażartować, ale głos uwiązł mu w gardle z przejęcia.

– Synu, zapisałem cukiernię Poli.

Wojtek poczuł, jak ogromny gład stacza mu się z serca, uwalniając go spod swego ciężaru. Milczał, rozkoszując się tym uczuciem.

– Masz do mnie żal? – zapytał z przestraczem pan Antoni, którego przez tę krótką chwilę ciszy ogarnęły wątpliwości, czy aby nie pomylił się w ocenie syna.

Wojtek natychmiast pokręcił przecząco głową.

– Prawdę mówiąc, niewypowiedzianie mi ulżyło, tato – odpowiedział już całkiem rażno.

Rozdział 26

W ciągu kilku ostatnich dni wiosna zdążyła naznaczyć swoją obecnością każdy zakątek miasta. Kwiaty, jeszcze niedawno skrywające swoje piękno pod lśniącymi łuskami pąków, w jednej chwili rozłożyły swe płatki, barwiąc ulice, parapety domów i miejskie kwietniki wszystkimi kolorami tęczy. Krakowskie Przedmieście, poprzecinane promieniami słońca, migotało barwami i zapachami rozchodzącymi się z okolicznych klombów.

Estera, zbyt głęboko zatopiona we własnych niewesołych myślach, by dostrzec zmianę, która zaszła w przyrodzie, weszła w arkady niedawno wybudowanego Domu Funduszu Kwaterunku Wojskowego, ochrzczonego przez warszawiaków mianem Domu bez kantów. Mieszkańcy stolicy często powtarzali anegdotę, której ów okazały gmach wojskowy zawdzięczał swój przydomek. Powiadano, że marszałek Piłsudski, zlecając budowę, przykazał jego twórcom, Bryle i Przybylskiemu, by budowali bez żadnych kantów. Miał wprowadzić na myśli uczciwe podejście do realizacji powierzonego im zadania, lecz budowniczowie, z właściwą sobie stronnictwością zawodową, odczytali wskazówki wodza jako instrukcję projektową i miękko zaokrąglili wszystkie krawędzie budynku.

Idąc w podcieniu arkad, Estera wspominała dzień, w którym Natan pierwszy raz odsłonił swoje prawdziwe uczucia względem niej. Pamiętała nawet dokładną datę, gdyż tego dnia

przez Warszawę przejeżdżali uczestnicy rajdu Monte Carlo, którego trasa wiodła ze Lwowa przez Berlin, Brukselę, Paryż i kilka pomniejszych miast aż do Monako. To była niedziela, dwudziestego stycznia 1929 roku. Miała wówczas zaledwie trzynaście lat. Tego dnia mimo siarczystego mrozu wybrała się wraz z Berkiem i ojcem na plac Saski, by podziwiać zmagania uczestników rajdu, którzy w czasie zaledwie siedemdziesięciu dwóch godzin mieli przemierzyć pół Europy.

Na tak ważnym wydarzeniu nie mogło oczywiście zabraknąć i Zimmermanów, w owym czasie inwestujących spore sumy w intensywnie rozwijający się przemysł samochodowy. Przybył też Natan, który swoje pierwsze pieniądze nieco ponad rok wcześniej ulokował w produkcję samochodów Stetysz. Auta te zaprojektował hrabia Stefan Tyszkiewicz, on też wyprodukował za granicą pierwsze modele. Tyszkiewicz, który był wielkim patriotą, postanowił czym prędzej przenieść fabrykę do Polski. Mówiono, że aby zrealizować ten cel, zastawił niemal cały swój majątek i sprzedał nawet należącą do żony broszkę z osiemdziesięciosześcioratowym szmaragdem, która wcześniej była własnością carycy Katarzyny. Wkrótce zaczął szukać inwestorów spoza rodzinnego grona. Natan zdecydował, iż wsparcie budowy fabryki stetyszów w Warszawie będzie jego pierwszą samodzielną inwestycją. Wybór okazał się niesłychanie trafny. Samochód cieszył się doskonałą opinią wśród znawców motoryzacji, jako pojazd wygodny, niezawodny, łatwy w naprawie i pod względem konstrukcyjnym w niczym nieustępujący zagranicznym automobilom. Dodatkowo miał liczne walory estetyczne

i zastosowano w nim nietypowe rozwiązania, jak chociażby możliwość montażu kierownicy zarówno po prawej, jak i po lewej stronie.

Już w roku ubiegłym dwa czterodrzwiowe modele stetyza – torpeda i limuzyna – w dobrym stylu ukończyły VII Międzynarodowy Rajd Automobilklubu Polska na trasie liczącej ponad trzy tysiące kilometrów. Jednak to udział w rajdzie gwiazdzistym do Monte Carlo miał być prawdziwym chrztem drogowym stetyza, który miał tym samym zostać pierwszym samochodem polskiej konstrukcji biorącym udział w wyścigu. Przed odcinkiem Warszawa–Berlin polska załoga znajdowała się w czołówce klasyfikacji. Natan wielokrotnie opowiadał Esterze i Berkowi o kolejnych sukcesach jego drużyny. Był dumny, że udało mu się swoim niewielkim kapitałem przyczynić do tak wielkiego osiągnięcia.

Tego dnia padał gęsty śnieg. Grube, białe płatki zasnuły świat mroźną kurtyną. Estera z trudem dostrzegła Natana stojącego obok ojca pod olbrzymim parasolem, który ubrany w zimową liberię lokaj podtrzymywał nad ich głowami. Pomachała mu przyjaźnie, gdy i on ją dostrzegł. Był wysokim, ciemnowłosym, siedemnastoletnim już wówczas chłopcem, którego traktowała jak brata. Nie należał do mężczyzn specjalnie urodziwych, ale w jego rysach znać było siłę charakteru i ową szlachetną dumę, dzięki którym twarz Natana wydawała się interesująca i zdaniem wielu kobiet niezwykle pociągająca.

Dla Estery Natan był po prostu Natanem. Nigdy nie zastanawiała się nad jego urodą lub jej brakiem. Znali się od

zawsze i ku zdziwieniu wielu, z biegiem lat, gdy drogi chłopców i dziewczynek przyjaźniących się w dzieciństwie zwykle się rozchodziły, oni wciąż dobrze się razem czuli. Natan nachylił się w stronę ojca i uzyskawszy jego zgodę, wyrażoną jednym kiwnięciem dostojnej głowy, czym prędzej ruszył w stronę Steinów. Niewiele widzieli z wyścigu, gdyż śnieg padał coraz mocniej. W końcu mecenas Stein zdecydował, że pora ukryć się w jakimś ciepłym miejscu, bo inaczej cała wyścigowa przygoda skończy się dla wszystkich chorobą. To mówiąc, zaprosił dzieci na podwieczorek do cukierni Lourse'a w Hotelu Europejskim, czyli do warszawskiej giełdy plotek.

Gawędzili miło, popijając kawę ze śmietanką i objadając się tutejszymi przysmakami – drożdżowymi bułeczkami, które były leciutkie jak puch i zdawały się rozplýwać w ustach niczym płatki śniegu złapane na język. Rozkoszując się ciepłem i słodkimi rarytasami, rozprawiali wesoło o przeżyciach tego dnia. Od słowa do słowa rozmowa zesłała na poświęteczne plany wyjazdowe Natana.

– Sprawuj się dobrze i ucz pilnie w Paryżu – powiedział mecenas Stein.

– W Paryżu?! – zawołała Estera, której umknął gdzieś fakt, że Natan, który tego roku zrobił maturę, wyjeżdża do Francji na kursy preparacyjne do studiów za granicą.

Wiadomość zrobiła na małej Esterze ogromne wrażenie. Natan był synem bliskich przyjaciół rodziców, serdecznym kolegą Berka, kimś, kto całe życie przewijał się przez kolejne karty jej historii, nie odgrywając w niej żadnej ważniejszej roli.

Po prostu był. Zawsze miły, zawsze pogodny, zawsze odnoszący się do niej z sympatią i szacunkiem, traktował ją jak kogoś ważnego, a nie tylko jak młodszą siostrę kolegi. Był w jej życiu zawsze, choć nigdy nie zastanawiała się nad jego obecnością. Był i już. Dopiero teraz, gdy dowiedziała się, że ma wyjechać, w swoim dziecięcym sercu poczuła, że będzie jej go brakowało.

Natan uśmiechnął się, widząc jej żywiołową reakcję, ale nic nie odpowiedział. Nie musiał, bo Berek zaczął kpić z siostry i jej braku orientacji w otaczającym ją świecie. Estera do tego stopnia zaangażowała się w spór z bratem, że zapomniała o ukłuciu żalu na myśl o wyjeździe przyjaciela. Wkrótce Natan zaczął się żegnać. Choć początkowo planował przechadzkę dla zdrowia, spojrzawszy przez okno i dostrzegłszy, iż pogoda tylko nieznacznie się poprawiła, a śnieg nadal pada niezwykle obficie, ochoczo przystał na propozycję podwiezienia samochodem mecenasa. Miłą atmosferę mącił nieco fakt, że Estera i Berek kłócili się zawzięcie przez całą drogę powrotną. Umilkli dopiero, gdy ojciec zapukał w okno szoferki, prosząc Mordechaja, by na najbliższym skrzyżowaniu wysadził ich z samochodu.

Gdy zajechali pod kamienicę Steinów, mecenas polecił kierowcy odwieźć Natana do domu. Pożegnali się i ojciec z Berkiem ruszyli ku drzwiom. Estera stała chwilę przed przyjacielem, nie wiedząc, co zwykle się mówić w takich okolicznościach. Żal, od którego sprzeczka z Berkiem skutecznie odwróciła jej uwagę, powrócił teraz ze zdwojoną mocą i czuła, że pod powiekami zbierają jej się łzy. Podała

Natanowi rękę, którą on grzecznie ucałował na pożegnanie. Traktował ją jak damę, choć była jeszcze dzieckiem.

– Uważaj na siebie – nie patrząc na niego, wypowiedziała zdławionym głosem słowa, którymi matka zwykła żegnać odjeżdżających krewnych. Nie chciała, by widział jej smutek.

– I wróć prędko – wyszeptała, szarpnięta nagłą tęsknotą za tym miłym towarzyszem dziecięcych zabaw.

– Wróć – odpowiedział Natan, delikatnie podnosząc jej podbródek tak, by spojrzała mu w oczy. – Wróć i wówczas ożenię się z tobą.

To powiedziawszy, puścił do niej oko i z szelmowską miną wsiadł do samochodu. Pomachał jej zza szyby, a ona odmachała mu, śmiejąc się wesoło, bo wzięła jego ostatnie zdanie za mający jej poprawić humor żart.

Od tamtej pory widywali się kilkakrotnie. Ona zmieniła się w piękną, niezwykle czarującą, choć temperamentną, młodą kobietę, on w dojrzałego i mądrego mężczyznę, który paroma celnymi inwestycjami w krótkim czasie zdołał znacznie powiększyć majątek swojej rodziny. Jednak podczas tych spotkań Natan ani razu nie wspomniał o słowach wypowiedzianych tamtego popołudnia. Zachowywał się, jak gdyby nigdy ich nie wypowiedział, aż do chwili, gdy po skończonych studiach wrócił na stałe do Warszawy.

Estera dowiedziała się o jego powrocie, kiedy następnego poranka po swoim przyjeździe przyszedł do domu państwa Stein prosić o rękę ich córki. Wszyscy byli zdziwieni, a najmocniej Estera, gdy ojciec przyszedł zapytać ją o to, jak zapatruje się na małżeństwo z Natanem. Entuzjastycznie

przyjęła oświadczyły, wówczas sądząc, że nie ma na świecie miłszego towarzysza niż młody Zimmerman. Spisano akt zaręczyn i omówiono szczegółowo wszystkie kwestie dotyczące majątków obojga narzeczonych. To, co dla niej było dawno zapomnianym żartem starszego kolegi, dla niego okazało się prawdziwym zobowiązaniem. Kochał ją przez te wszystkie lata, z niecierpliwością wyczekując dnia, kiedy będzie mógł spełnić dane jej słowo, przekonany, że to Bóg wybrał ją dla niego na małżonkę, nim jeszcze oboje przyszli na ten świat.

Nagły powiew wiosennego wiatru wstrząsnął Esterą. Uderzenie chłodu, stanowiące bolesny zgrzyt w radosnej miejskiej atmosferze, przypomniało jej nagle, dokąd i w jakim celu zdążała. Otuliła się szczelniej płaszczem, chcąc ogrzać się i dodać samej sobie otuchy. Najchętniej odeszłaby w przeciwnym kierunku, by dać sobie jeszcze trochę czasu, by odwlec tę bolesną chwilę ostatecznego pożegnania z człowiekiem, który – czy tego chciała, czy nie – był mężczyzną jej życia.

Chwilę później stanęła przed wejściem do winiarni, opatrzonym elegancką tabliczką z napisem „Wacław Rago i s-ka, Krakowskie Przedmieście 54”. Emblem firmowy umieszczony na tabliczce znany był doskonale każdemu czytelnikowi warszawskich gazet, które nieustannie sławiły bogactwo piwniczek należących do rzeczony spółki. W tym niepozornym budyneczku, wciśniętym pomiędzy Dziekanę a kościół pokarmelicki, poprzednio mieścił się skład hurtowy koniaków, araków, likierów i portera Karola Lesisza, w którym wina nie odgrywały większej roli. Po przejęciu składu Wacław

Rago postanowił to zmienić. Obecnie reklamy głosiły, że można tu nabyć wina dalmatyńskie, hiszpańskie, włoskie, węgierskie, francuskie, reńskie, zieleniaki, maślacze, jednym słowem wszystko, czego dusza konesera gronowych trunków mogła zapragnąć. Lokal nie należał może do najelegantszych w stolicy, ale miał jedną zasadniczą zaletę, która skłoniła Natana do wyboru właśnie tego miejsca. Cicha winiarnia zapewniała dyskrecję trudną do znalezienia gdziekolwiek indziej w mieście, w którym skłonność do plotek była niemal równie wielka jak miłość do przesiadywania w kawiarniach i cukierniach. Owszem, w części sklepowej lokalu ruch był nieustanny. Nawet teraz, o poranku, ktoś kupował, ktoś kosztował, ktoś wymieniał, ktoś pakował, ktoś inny sprzeczał się i żądał zadośćuczynienia. Subiekci uwijali się za ladami jak pszczoły w ulu, ale izdebka, w której można było usiąść przy stoliku i napić się wina, zwykle o tej porze dnia świeciła pustkami. Ciemnawe, zakurzone pomieszczenie, w którym rządził niepodzielnie starszy, lekko niedosłyszący kelner, zbyt pochłonięty własnymi myślami, by poświęcać jakąkolwiek, ponad niezbędną, uwagę osobom odwiedzającym lokal, pozwalało mieć nadzieję, że o ich dzisiejszej rozmowie nikt się nie dowie.

Jako dziedzic majątku Zimmermanów Natan był w Warszawie znaną osobistością i jego pojawienie się w jakimkolwiek miejscu natychmiast wzbudzało żywe zainteresowanie pozostałych gości. Obsługa zwykle również nadstawiała uszu, licząc, że usłyszy od potomka wielkiego Zimmermana jakąś wskazówkę dotyczącą możliwości

pomnożenia ich szczupluteńkich kapitałów. Podczas dzisiejszej rozmowy Natan za wszelką cenę pragnął uniknąć towarzystwa choćby najzyczliwszych osób. Nie chciał ryzykować nawet potencjalnej możliwości narodzin kolejnej plotki na swój temat, którą później będzie trzeba zdusić przy pomocy ogromnych pieniędzy i koneksji. Już wystarczająco dużo kłopotu sprawił ojcu ostatnimi wydarzeniami. Pan Zimmerman zmuszony był uruchomić wiele swoich kontaktów, by sprawa bójk w Domu Towarowym Braci Jabłkowskich nie dotarła do prasy. Na szczęście nikt poza trójką zainteresowanych nie zwrócił uwagi na poprzedzającą bójkę scenę miłosną, która rozegrała się na schodach. Takiego skandalu żadne pieniądze nie byłyby w stanie ukryć. Na samo wspomnienie tamtej chwili Natan odczuł głęboką przykrość.

Kiedy Estera weszła, już czekał. Siedział przy stoliku, pogrążony w lekturze „Kuriera Warszawskiego”, oprawionego grzbietem w długi kij z haczykiem na końcu. Gdy zobaczył ją stojącą w drzwiach, odwiesił dziennik na stojak i czym prędzej podszedł do dziewczyny. Bez słowa odebrał od niej płaszcz i poprowadził do stolika. Oprócz nich w lokalu był tylko ów stary kelner i samotna kobieta w średnim wieku, która wsparłszy policzek na dłoni, wyglądała przez okno. Estera dostrzegła, że spomiędzy palców przeciekały jej łzy. Spojrzała na Natana i nagle, ku własnemu zaskoczeniu, ze wszystkich sił zapragnęła się do niego przytulić. Wiedziała jednak, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie ma i już nigdy nie będzie miała do tego prawa.

Natan zamówił dla nich kruszon, jej ulubiony napój podczas przyjęć, zwykle przyrządzany z białego wina, z cukrem, podawany z plasterkami cytryn i pomarańczy. Estera w pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale Natan nie dał jej dojść do słowa, mówiąc:

– Nie musisz się niepokoić. Tutejszy kruszon, choć wyśmienity, nie zawiera ani odrobiny alkoholu. Receptura przedsiębiorczego Rago przewiduje bowiem, by zamiast wina używać soku z jasnych winogron, a następnie namawiać gości do zakupu szampana mającego podnieść walory zarówno procentowe, jak i smakowe napoju.

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, pojawił się kelner, proponując, by dodali do zamówienia szampana, który podkreśli smak kruszonu. Natan uśmiechnął się porozumiewawczo do Estery, a kelnerowi odpowiedział, iż nie zwykł pijać w towarzystwie dam, w dodatku przed południem. Staruszek wzruszył tylko ramionami i postawił przed nimi wysokie szklance. Estera upiła przez słomkę odrobinę orzeźwiającego napoju.

– Estero, nigdy w życiu nie kochałem nikogo tak jak ciebie – powiedział nieoczekiwanie Natan.

Zaskoczona, podniosła głowę, ale Natan nie patrzył na nią. Na jego jeszcze przed chwilą uśmiechniętej twarzy gościł teraz grymas niepokoju i powagi.

– Nigdy też niczego tak nie pragnąłem, jak tego, byś została moją żoną – ciągnął głosem, w którym pobrzmiwał głęboki smutek. – Jestem, kim jestem, i nigdy nie musiałem o nic w życiu walczyć, ale o ciebie jestem gotów.

Estera nie mogła oderwać wzroku od jego posągowej twarzy.

– Będę walczył do chwili, gdy ty będziesz dawała mi choć cień nadziei na zwycięstwo, na to, że będziesz moja... I tylko moja – dodał po chwili z naciskiem.

Zamilkł, a Estera spuściła wzrok, zawstydzona. Zaczerwieniła się z przykrości, słysząc sugestię zawartą w ostatnich słowach Natana. Była jednak pewna, że nie powiedział tego, by ją zranić. Miał zbyt wiele godności i taktu, by posuwać się do takich metod.

– Zwolnię cię z danego mi słowa, jeśli go kochasz – podjął po chwili. – Dołożę wszelkich starań, byś nie ucierpiała na skutek skandalu, który z pewnością wywoła w mieście wiadomość o naszym rozstaniu i zerwaniu zaręczynowego kontraktu. Jestem gotów wziąć winę na siebie. Mężczyznom opinia publiczna wybacza łatwiej niż kobietom. Przyczepią temu wydarzeniu etykietę kaprysu bogatego panicza i po kilku pełnych emocji tygodniach plotka umrze śmiercią naturalną, a ty odzyskasz pełną swobodę.

Estera, poruszona jego wielkodusznością, słuchała, nie mogąc pojąć, jak Natan może być tak wyrozumiały względem niej. Milczeli dłuższą chwilę, każde pogrążone we własnych myślach.

– Estero, pamiętasz, jak pewnej zimy tuż przed Chanuką siedzieliśmy w salonie twoich rodziców i Berek czytał nam baśnie po angielsku?

– Hawthorne'a – powiedziała cicho.

Skinał głową, wciąż na nią nie patrząc.

– Wtedy tak bardzo chciałem... marzyłem, że z nami będzie tak jak z Baucis i Filemonem z opowieści o cudownym dzbanie.

Estera poczuła, że długo powstrzymywane łzy płyną teraz po jej policzkach, raz po raz znacząc stół ciemnymi, błyszczącymi plamkami.

– „Jakby każde z nich było obojgiem, a oboje jednym, i jakby mówiły razem z głębi wspólnego serca” – zacytował Natan drżącym głosem. – Mieliśmy przeżyć razem podarowane nam dni, pożytkując nasze siły na to, by uczynić ten świat choć odrobinę lepszym, a potem odejść z niego jak Baucis i Filemon, jednocześnie, jak to się zwykle dzieje z tymi, którzy kochali się całe życie.

Westchnął ciężko i odwrócił wzrok od okna.

– Powiedziałaś już rodzicom? – zapytał, zmieniając temat, jakby chciał odciąć się od myśli o przeszłości. Podał zapłakanej Esterze haftowaną chustkę do nosa.

– Nie, a ty? – odparła, muskając palcem wyszyte srebrną nitką inicjały.

Pokręcił przecząco głową. Estera wytarła nos chusteczką.

– Nie mam odwagi – dodała cicho. – Ale mam niejasne przeczucie, że matka domyśla się wszystkiego, bo od kilku dni snuje się po domu milcząca i nieuczesana.

Natan uśmiechnął się, słysząc niewinnie kąśliwą uwagę Estery pod adresem jej matki. Dziewczyna także uśmiechnęła się przez łzy, niepewnie i nieśmiało. Miała wrażenie, że dokonuje się w niej jakiś przełom, że zaczyna coś pojmować, choć żadna wyraźna myśl jeszcze w jej głowie nie powstała.

- Panią Stein czekają ciężkie chwile - rzekł Natan, przybierając łobuzerski wyraz twarzy. - Będzie musiała odwołać przyjęcie, zająć się anulowaniem wszystkich zamówień, zwrotami prezentów dla gości i służby... Pozytywne jest tylko to, że jako matka niedoszłej panny młodej znajdzie się na językach wszystkich i prawdopodobnie pozostanie na tej zaszczytnej pozycji o wiele dłużej, niż gdyby spotkało nas szczęśliwe zakończenie. Tragedie zwykle budzą więcej emocji i rodzą znacznie więcej plotek i spekulacji. To powinno nieco ukoić jej żal.

Estera roześmiała się głośno, ogarnięta nagłym przyływem wesołości, jednak po chwili ze zdziwieniem stwierdziła, że znów płacze, tym razem już nie dyskretnie. Z jej piersi wydobyło się rozdzierające łkanie.

Natan natychmiast spowaźniał i dotknął jej mokrego od łez policzka.

- Natan... - chlipała dziewczyna, wtulając twarz w jego dłoń.
- Natan... ja... ja nic nie wiem, nic nie rozumiem... Nie chciałam... Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam.

- Kocham cię, zawsze cię kochałem i zawsze będę kochał. Tylko daj mi szansę. Proszę! Błagam, daj mi szansę. - Natan mówił nieskładnie, zduszonym od emocji głosem, po czym chwycił dziewczynę za łokieć i przyciągnął do siebie, nie zważając na to, że znajdują się w miejscu publicznym i ktoś mógłby ich zobaczyć.

Jej zalana łzami twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. Wydawało jej się, że zapada się w głąbię jego pełnego oddania spojrzenia.

W życiu człowieka zdarzają się niekiedy sekundy, w których nagle pojmuje sprawy niezrozumiałe od lat. W życiu Estery to była właśnie ta chwila. Pojęła z całą mocą, że to, co czuła do Tadeusza, było jedynie namiętnością, mrzonką, przyjętą z zaskoczeniem pierwszego uczucia, którego intensywność i istota są jedną z największych tajemnic świata ludzkich serc. Zakochała się gwałtownie, na oślep, z egzaltacją przepełniającą jej umysł i serce wyobrażeniami na temat Tadeusza, których nigdy tak naprawdę nie spróbowała zweryfikować. Naraz przypomniało jej się zdanie z Talmudu, mówiące, iż grzech jest słodki na początku, ale gorzki na końcu. Mimo ostrzeżeń Berka idealizowała Zasławskiego, co przychodziło jej tym łatwiej, że przez długi czas nie widzieli się wcale. Tadeusz był słodkim, grzesznym snem, w którym jednak nie było ani kropli prawdziwej miłości. W Domu Towarowym Braci Jabłkowskich do Estery dotarła gorycz prawdy o obiekcje jej dziewczęcych westchnień. Kłębiące się dotąd niespokojnie myśli ułożyły się w jedną harmonijną całość. Teraz, patrząc w oczy Natana, Estera zrozumiała wszystko.

Rozdział 27

Od ostatniej rozmowy z Michałem minął tydzień, potem drugi i trzeci, ale Pola nie zauważyła upływającego czasu. Nie widywała go wcale. Chłopak przestał bywać także w restauracji ojca, choć po prawdzie i wcześniej jedynie z rzadka tam zaglądał. Najwidoczniej jego codzienne szlaki znów prowadziły go tymi samymi ścieżkami, które przemierzał przed owym październikowym, deszczowym popołudniem.

Pola nie odczuwała braku ani tęsknoty, z zasady dyscyplinowała samą siebie, by w ogóle nie myśleć o młodym Rakowskim, choć nie tak dawno budziła się i zasypiała z jego imieniem na ustach. Niewidzenie go tylko ułatwiało jej wytrwanie w danym sobie słowie, że nigdy więcej nie chce mieć z nim nic wspólnego. Nie czuła już gniewu ani rozżalenia, ogarnęło ją tylko nieznane dotąd poczucie marności i bezsensu życia. Pogoda jej wciąż jeszcze dziecinnego serca została bezpowrotnie zmacona. Dawna beztroska zniknęła i zastąpiła ją, dotąd obca dziewczynie, wewnętrzna cisza. Jedynie dzięki wpojonemu przez ojca poczuciu obowiązku była w stanie utrzymywać pozory prawidłowego funkcjonowania w codzienności.

Mimo to ponury nastrój Poli zatruwał atmosferę „U Hanki”. Powszechnie lubiano córkę właściciela, która odkąd zaczęły się problemy zdrowotne ojca, energicznie prowadziła interes. Podziwiano, że mimo młodego wieku tak doskonale sobie radziła. Ostatnio jednak jej melancholii nie dało się przeoczyć.

Zarówno goście, jak i obsługa cukierni dziwili się tej nagłej zmianie usposobienia Słodkiej Poli. Wkrótce zaczęto szeptać, że nowy rys w jej zachowaniu jest wynikiem troski o zdrowie pana Antoniego, co sprawiło, że otaczano ją jeszcze większą opieką i sympatią. Każdy chciał pomóc, okazać życzliwość, wesprzeć dobrym, współczującym słowem. Nikomu zaś nie przyszło do głowy, że – choć nawet w głębi swojego serca starała się temu zaprzeczać – dziewczynę trapiły, i owszem, problemy sercowe, acz natury nie tyle fizycznej, co uczuciowej, w dodatku jej własne. Romantyczne uniesienia jakoś nie pasowały do krzepkiej, dorodnej, lecz zupełnie pozbawionej eterycznego powabu melodramatycznych bohaterek córki pana Antoniego.

Nikt zatem nie domyślał się, jak wielkie konflikty wewnętrzne Pola starała się ukryć, maskując je udawanymi objawami dawnej życzliwości i uprzejmości.

To, co zdawało jej się niewinnym, koleżeńskim flirtem, stało się zauroczeniem, a wkrótce największym pragnieniem, które jeszcze niedawno wydawało się zaspokojone. Na samo wspomnienie utraconej radości żal ścisnął Polę za gardło.

Robiła zatem wszystko, by być tak zajęta, ażeby nie mieć ani chwili wolnego czasu, w którą mogłyby się wkraść myśli o Michale. Niestety nie zawsze jej się to udawało i wówczas przychodziły momenty takie jak ten, w którym milcząco przełykała łzy, wbijając paznokiec w nadgarstek, byle tylko nie wybuchnąć głośnym płaczem.

Ze zmartwienia straciła apetyt. Pobladła i zeszczipiała, co wcale nie dodało jej wdzięku, a jedynie wyostrzyło rysy,

obnażając i uwydatniając wszystkie niedostatki jej urody. Oczy, do niedawna nieustannie skrzące się iskierkami dziecięcej radości, teraz zaszyły mgłą rozczarowania i zamyślenia. Nawet dzieci, dotąd nieomijające żadnej sposobności do choćby najkrótszej pogawędki z córką właściciela czy zwyczajnego pobycia w jej wesołym towarzystwie, teraz z rzadka tylko zaglądały do cukierni „U Hanki”. Im także udzielał się nienaturalny dla ich wieku, przygnębiający nastrój Słodkiej Poli.

Atencji, którą otaczali ją dorośli bywalcy cukierni Starczewskich, Pola nie mogła zrozumieć. Dziwiła się, skąd wzięło się to nagłe zainteresowanie wszystkich jej osobą. Wkrótce zaczęła się obawiać, że owi życzliwi ludzie już wiedzą o jej niewłaściwie ulokowanym uczuciu. Sama myśl o tym wydawała jej się przerażająca. Oczyma duszy widziała ironiczne uśmieszki i pełne wzburzenia okrzyki, które wydawały z siebie dostojne matrony na wieść, że ktoś w takim stopniu nieurodziny jak ona mógł choćby pomyśleć o tak wspaniałym kawalerze jak Michał Rakowski.

Odkąd w jej głowie na dobre zagościła podobna myśl, unikała rozmów z klientami, stając za cukiernianą ladą wyłącznie, gdy nikt inny nie mógł tego zrobić. Spędzała długie godziny ukryta w gabinecie ojca, usiłując zapanować nad rachunkami, zamówieniami, dostawami i mnóstwem innych obowiązków, z których istnienia i wagi nie zdawała sobie do niedawna sprawy. Pracowała więc ponad siły, mimo zmęczenia, choć bardziej niż uczucie do rodzica powodowało

nią pragnienie zakłócenia pracą tej nieznośnej ciszy i wypełnienia trawiącej pustki.

Tego ranka siedziała w kantorku ojca, przeglądając listy od wierzycieli cukierni. Sprawy finansowe nie wyglądały najlepiej. Dług w Spółdzielczym Banku Przemysłu Cukierniczego został wprawdzie spłacony niemal natychmiast, ale pochłonęło to wszystkie oszczędności pana Antoniego. Poza tym, mimo iż bankierzy zgodnie z obietnicą nie podali do wiadomości publicznej informacji o próbie wyłudzenia przez Antoniego Starczewskiego państwowych pieniędzy, przed tak zwanym środowiskiem finansowym nie udało się tego ukryć. Pan Antoni miał niemały problem z uzyskaniem pożyczki na zakup towarów niezbędnych do zaspokojenia codziennych potrzeb cukierni. Sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy po mieście rozniosły się wieści o jego kłopotach zdrowotnych. Pola jednak nie dawała za wygraną i wkrótce z pomocą kilku życzliwych osób, z Abdullahem Abdułłą Alijewem na czele, który poręczył pierwszą pożyczkę, udało jej się załatwić kilka kredytów kupieckich. Mimo olbrzymiej liczby klientów, którzy każdego dnia przetaczali się przez cukiernię, zysk wciąż był zbyt mały, by owe pożyczki spłacać na bieżąco, bez konieczności uiszczania horrendalnych odsetek. Pola szukała oszczędności, gdzie tylko mogła, i żyła nadzieją, że wkrótce wszystko się ułoży, a ukochana rodzinna cukiernia znów znajdzie się na właściwym torze.

Była bez reszty pogrążona w pracy, gdy ktoś cichutko zapukał do drzwi. Pola zdziwiła się nieco. Nie spodziewała się

niczych odwiedzin i prawdę rzekłszy, nie miała najmniejszej chęci widzieć nikogo.

– Proszę! – zawołała mimo to i spojrzała w kierunku wejścia.

– Czy ci aby nie przeszkadzam, Polu? – zapytała Klara, bezszelestnie wsuwając się przez szparę w drzwiach.

Odkąd Klara utraciła swoje jedyne dziecko, jej szare oczy nabrały jakiegoś nowego blasku, a niegdyś i tak blada skóra zrobiła się jakby przezroczysta, przez co kobieta wydawała się jeszcze mniej rzeczywista niż dotąd. Ubrana w jasną, batystową sukienkę, wiosenny płaszczyk i mały, okrągły kapelusik, przyczepiony zmyślnie z prawej strony jej zgrabnej główki, wyglądała pięknie. Niegdyś Pola z prostotą zasypała ją komplementami, zachwycając się urodą bratowej, lecz dziś na jej widok poczuła ukłucie zazdrości. Klara była wszystkim tym, czym ona sama pragnęła być, odkąd usłyszała bezduszne słowa Teodora Rakowskiego na temat swojego wyglądu.

Pola spróbowała z całych sił zwalczyć w sobie natrętne, nieprzyjemne myśli. Kochała Klarę całym sercem. Po ślubie bratowa szybko stała się powiernicą Poli i choć ich charaktery były tak różne, rozgadana, żywiołowa dziewczyna znalazła nić porozumienia z wrażliwą, nieco wycofaną kobietą. Miała wprawdzie wrażenie, że ze strony Klary jest to bardziej matkowanie niż przyjaźń, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało.

Czasem po skończeniu pracy w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych Klara wpadała na Wilczą napić się kawy i porozmawiać z siostrą Wojtką. Jednak teraz Pola uświadomiła sobie, że Klara nie zaglądała do niej od wielu dni, dokładnie odkąd rozstała się z Michałem. Klara zawsze

rozumiała i przeczuwała więcej niż inni. Kto wie, czy i tym razem intuicja nie podpowiedziała jej, by dała Poli trochę czasu w samotności, choć z pewnością nie znała przyczyny, dla której mogłaby potrzebować odosobnienia. Nie podejrzewała nawet, że Klara wie już wszystko o niej i o Michale.

– Witaj, Polu! Dawno cię nie widziałam... – przywitała się niezręcznie Klara, nie patrząc jej w oczy.

Pola była bystrym obserwatorem i od razu dostrzegła jej zmieszanie. Podstęp, kłamstwo czy jakiegokolwiek intrygi były sprzeczne z na wskroś prawą naturą Klary, nie mogła zatem długo ukrywać, że nie zaszła do cukierni teścia przypadkiem.

– Coś się stało? – zapytała prędko Pola, zaciekawiona i zaniepokojona jej niecodziennym zachowaniem.

– Czemu? Nie, nie, skądże!

Klara przygryzła wargi, a na jej twarzy pojawił się rumieniec zawstydzenia.

– Polu, a może... Może mogłybyśmy się przejść? – zaproponowała nagle, tknięta myślą, iż wiosenny spacer z pewnością dobrze usposobi dziewczynę. – Mogłabyś na trochę zostawić cukiernię pod okiem Eustachego?

Zaintrygowana Pola zgodziła się i pośpiesznie złożyła rozrzucone na biurku dokumenty. Parę minut później szły po skapaniej w promieniach wiosennego słońca ulicy Wilczej. Skręciły w wytyczoną na terenie dawnego Cmentarza Świętokrzyskiego, niezbyt długą, za to bardzo urokliwą Emili Plater. Gawędziły o powstałych niedawno projektach, by wzdłuż owej uliczki wybudować linię tramwajową. Dziewczęta

były zgodne w swojej niechęci do tego pomysłu. Owszem, tramwaj wielu ludziom ułatwiłby dojazd do Ogrodu Pomologicznego, w stronę którego kierowały obecnie swoje kroki, lecz ceną za owo udogodnienie byłoby odebranie tej nisko zabudowanej uliczce jej malowniczego, intymnego charakteru. Po mieście krążyły pogłoski o planowanej częściowej likwidacji ogrodu, więc pozostawała nadzieja, że linia tramwajowa jednak nie powstanie i wszystko będzie jak dotąd.

Szły, rozmawiając i podziwiając tchnący świeżością świat wokoło. Po długich miesiącach szarugi, pluchy i ciemności miasto zdawało się odżywać. Ludzie wylegali na ulicę. Sprzedawcy rozmawiali ze sobą przed sklepami, wszędzie wokół widać było spacerujące pod ramię pary, matki trzymające za ręce wyrywające się maluchy, mężczyźni w kapeluszach, spieszących we wszystkich kierunkach, małych gazeciarzy, wykrzykujących ze zdwojoną siłą najbardziej sensacyjne tytuły dnia. Żywotność miasta i Poli zdawała się przywracać odrobinę dawnej pogody ducha.

Przy bramie prowadzącej do Ogrodu Pomologicznego ustawili się pierwsi sprzedawcy. Latem i jesienią można było kupić tu najlepsze owoce, pochodzące wprost z ogrodu: ociekające sokiem renklody, chrupiące jabłka, najśłodsze gruszki, jędrne czereśnie, a w czerwcu truskawki o niepowtarzalnym smaku, które napełniały wonią całą ulicę. Wszystko, czego amator owoców mógłby zapragnąć, dostępne było w samym środku miasta.

Na tym terenie pomiędzy ulicą Nowogrodzką, Wspólną, Chałubińskiego i Emilii Plater, będącym pozostałością dawnego folwarku świętokrzyskiego, mieściła się bowiem sadownicza perła stolicy. Ogród Pomologiczny był filią Warszawskiego Ogrodu Botanicznego. Hodowano tu najlepsze gatunki drzew owocowych, których doglądali troskliwie młodzi adepci ogrodnictwa, pobierający nauki w mieszczącej się na terenie ogrodu Szkole Ogrodniczej.

Na przednówku jednak o tych wspaniałościach można było jedynie pomarzyć. Mimo to obrotni warszawscy handlarze rozłożyli już swoje stragany, sprzedając spacerowiczom pestki dyni i ziarna słonecznika do łuskania, nie pochodzące wprawdzie z ogrodu, ale idealnie nadające się do karmienia licznie zamieszkujących go sikorek, a także orzechy włoskie i laskowe, za którymi przepadały dzieci i wiewiórki.

Gdy Pola z Klarą przeszły przez bramę, umilkły. Naraz każda z nich pogrążyła się w swoich myślach, jakby cień rozłożystych drzew, witających gości, padł także na ich wnętrza. Po chwili słońce zdołało się przedrzeć pomiędzy dopiero zazieleniającymi się konarami. Promienie tu i ówdzie przecinały ścieżkę pasmami jasności, ale nie rozproszyło to ciszy, która zapadła pomiędzy kobietami. Pola szła, rozglądając się wokół. Dawno tu nie zachodziła, a Ogród Pomologiczny był czarownym miejscem, o tej porze roku jeszcze tak zacisznym, że aż trudno było uwierzyć, że znajduje się on tak blisko serca miasta. Wkrótce bowiem, gdy drzewa okryją się zielenią, a temperatura wzrośnie, wszystkie ławeczki obsiadą pary zakochanych, a nieliczne trawniki

pomiędzy poletkami truskawek i porzeczek zajmą najmłodszy i najgłośniejszy warszawiacy.

Tymczasem jednak pośród ścieżek rozbrzmiewały jedynie odgłosy przyrody. Delikatny szmer gałęzi, śpiew ptaków, szept traw. Część drózek wytyczono wśród karłowatych, powykręcanych na wszystkie strony drzewek i krzewów owocowych, inne wśród wyższych jabłoni, wiśni, grusz, obsypanych teraz jasnym, upajająco pachnącym kwieciem, z których mocniejszy powiew wiatru strącał mięciutki puch najdelikatniejszych płatków. Białe, bladożółte, różowe, fioletowe, purpurowe płateczki wirowały beztrąsko na wietrze, kołowały nad głowami przechodniów, by następnie miękko opaść na ich włosy, ramiona, zdobiąc kapelusze, meloniki, chustki i czapki wiosennymi barwami.

– Polu, czy ty go kochasz? – głos Klary wyrwał Polę z wiosennego upojenia.

Zatrzymała się nagle, uwolniona spod czaru budzącej się przyrody i brutalnie przywołana do rzeczywistości. Nie potrzebowała upewniać się, o kim mowa. Klara musiała wiedzieć o niej i o Michale, nie było powodu udawać ani próbować odpowiadać wymijająco.

– Okłamał mnie... – rzuciła ze złością Pola.

Chciała mówić dalej, ale Klara przerwała jej z niespotykaną u niej stanowczością.

– Nie o to pytam. – Popatrzyła Poli głęboko w oczy. – Kochasz go?

Pola poczuła, jak pod powiekami zbierają się jej łzy, powstrzymywane od tak dawna. Skinęła głową jeden jedyny

raz. Przysiadły na pobliskiej ławeczce. Klara objęła siostrę Wojtka ramieniem, a ta wtuliła się w nią, szlochając. Długo płakała, choć zdawało się jej, że płacz nie przynosi upragnionego wytchnienia, ulgi, zapomnienia czy przebaczenia. Mimo to zupełnie nie mogła przestać.

– On mnie oszukał... okłamał... – łkała. – Zadrwił ze mnie...

Klara milczała, pozwalając Poli dać upust wszystkim kłębiącym się w jej wnętrzu uczuciom. Spacerujący po parku przechodnie przyglądali się im z zaciekawieniem. Przedstawały raczej niecodzienny widok. Prześliczna, wiotka, złotowłosa kobieta tuliła w ramionach pulchną dziewczynę wątpliwej urody, która zanosila się głośnym, nieeleganckim płaczem, burząc sielankową atmosferę tej części ogrodu. Wokół szumiały stare drzewa, pierwsze tej wiosny ptaki śpiewały słońcu pieśni powitalne, a one trwały tak w uścisku, nie dostrzegając niczego poza sobą, złączone nicią bólu jednej i współczucia drugiej.

– Polu... – szepnęła wzruszona Klara. – On cię tak kocha...

Pola wyszarpnęła się gwałtownie z objęć bratowej. Z emocji nie potrafiła sformułować pytania, które jednakże odbiło się na jej twarzy na tyle wyraźnie, by Klara zaczęła szybko opowiadać o spotkaniu z Michałem. Pola słuchała, a kryształowe krople łez toczyły się po jej policzkach. Klara zakończyła swoją opowieść i spuściła głowę.

– Obiecałam, że mu pomogę, ale nie zdołałam znaleźć w sobie dość sił, by to zrobić... – wyszeptała. – Och, tak bardzo cię przepraszam. Powinnam była opowiedzieć ci o tym wszystkim wcześniej... Proszę, wybac mi.

Pola potrząsnęła przecząco głową. Głos uwiązał jej w gardle ze wzruszenia.

– On cię kocha. Daj mu szansę... – Klara zawiesiła głos, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymała.

Jednak Poli nie były potrzebne już żadne wyjaśnienia. Poczwała nagły przyptyw energii, jakby ktoś przebudził ją z długiego, ożywczego snu.

– Idziemy – rzuciła, niespodziewanie dziarsko podnosząc się z ławki.

Klara bez słowa ruszyła w ślad za nią. Musiała lekko truchtać, bo Pola sadyła kroki tak zamaszyste, iż nie dawała rady za nią nadażyć. Wyszły bramą wypadającą na Aleje Jerozolimskie. Pola czym prędzej skrzyła w prawo i ruszyła w stronę dorożek czekających na podróżnych przed tymczasowym, drewnianym dworcem kolejowym, który stanął w zaledwie trzy miesiące i obsługiwał ruch pasażerski, podczas gdy miasto czekało na ukończenie budowy nowoczesnego Dworca Głównego. Pola przyskoczyła do pierwszej z brzegu dorożki, nie zważając na dorożkarza, zdziwionego brakiem powitania i niecodziennym zachowaniem panienki, za którą prawie biegła kobieta przypominająca rusałkę.

– Na Wioślarską proszę – rzuciła woźnicy, który zdumiał się jeszcze bardziej, a potem usiadła na skórzanej kanapce z takim impetem, że i on lekko podskoczył na koźle.

Pola zupełnie zapomniała o Klarze, ta jednak w ostatniej chwili przed odjazdem zdołała również wskoczyć do powozu.

Nieprzyzwyczajona do takiego wysiłku, opadłszy elegancko na siedzenie, oddychała ciężko.

– Polu, odezwij się do mnie – poprosiła zaniepokojona, chwytając szybko powietrze. – Dokąd jedziemy?

Pola nie odpowiedziała. Milczała, zacięcie patrząc przed siebie. Na jej twarzy malował się wyraz buntowniczej determinacji.

Gdy dojechały na miejsce, Pola, nie oglądając się na Klarę i najwyraźniej zupełnie zapomniawszy o konieczności uiszczenia opłaty za przejazd, wysiadła i ruszyła w stronę przystani Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Klara zapłaciła dorożkarzowi i podążyła za dziewczyną. Ogarnęły ją wątpliwości, czy aby nie powinna odejść, ale obawiała się zostawić ją samą. Wołała na wszelki wypadek pozostać w pobliżu, by móc w razie potrzeby pośpieszyć Poli z pomocą.

Wioślarze właśnie wpłynęli do przystani po skończeniu porannego treningu. Pola od razu dostrzegła wśród nich Michała. Skurcz radości, lęku i tęsknoty chwycił jej serce. Nie zważając na zaciekawione spojrzenia, pogwizdywania i komentarze pozostałych mężczyzn, podeszła do stojącego na końcu pomostu Michała, który nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Polu... – zaczął, ale nie powiedział nic więcej, bo dziewczyna bez pardonowo pchnęła go wprost do lodowatej wody.

Za jej plecami rozbrzmiała salwa entuzjastycznego śmiechu młodych wioślarzy. Klara wstrzymała oddech. Pola stała niewzruszona na pomoście, a serce waliło jej tak mocno, iż

zdawało się zagłuszać męską wesołość. Wkrótce jednak śmiechy ucichły. Minęło kilka kolejnych chwil, a Michał się nie wynurzał. Dwóch wioślarzy wskoczyło na łódki, by móc lepiej się rozejrzeć. Ujrawszy ich nagłą powagę i wyraźne zaniepokojenie, Pola przeraziła się swojego uczynku. Wiosną woda w Wiśle była bardzo zimna. Kto wie, czy rozgrzany po treningu Michał, wpadłszy w jej lodowate odmęty, nie doznał szoku termicznego i nie utopił się, gdy oni pławili się w radości!

Na pomoście miejsce wesołości szybko zajął strach. Kilku chłopców ostrożnie weszło z plaży do wody, by poszukać kolegi w mętnych nurtach wezbranej po wiosennych roztopach Wisły.

Pola pożałowała swojej bezmyślności i tego, że na widok chłopaka dała się tak ponieść emocjom. Uklękła na pomoście i nie wiedząc, co miałyby niby uzyskać tym sposobem, zaczęła rozgarniać dłonią wodę. Nagle wrzasnęła na całe gardło. Coś złapało ją za rękę i wciągało pod wodę. Pola krzyczała przerażona, dopóki woda nie znalazła się na poziomie jej ust. Zaczepnęła ostatni haust powietrza i znalazła się pod jej taflą, twarzą w twarz z Michałem, który z całej siły przycisnął usta do jej ust.

Rozdział 28

Andrzej nie potrafił powiedzieć, ile czasu spędził tego wieczoru przy długim stole w pracowni konserwatorskiej Muzeum Narodowego, naprawiając kartonową Wieżę Niepodległości projektu Juliusza Nagórskiego. Papierowa baszta, stanowiąca główny punkt makiety obrazującej przyszłość Saskiej Kępy, dzielnicy przygotowywanej do roli bohaterki Wystawy Światowej, o której organizację w stolicy zapamiętane zabiegał prezydent Starzyński, wymagała natychmiastowej reperacji. Przyszły symbol potęgi odrodzonej Polski został ułamany przez gorliwą sprzątaczkę podczas robienia ostatnich porządków przed jutrzejszym uroczystym otwarciem wystawy „Warszawa przyszłości”. Wszyscy modelarze zdążyli się już rozejść do domów, by zażyć nieco snu przed tak ważnym dla życia miasta wydarzeniem, więc zakłopotana kobieta poprosiła o pomoc pierwszą napotkaną osobę, którą okazał się młody inżynier Zasławski.

Nieludzko zmęczony po całym dniu pracy Andrzej nie potrafił odmówić prośbie kobiety, przerażonej wizją utraty pracy. A nawet gdyby zdołał nie ulec wzruszeniu jej losem, czuł się zbyt odpowiedzialny za wystawę, aby przejść obojętnie obok jakiegokolwiek niedociągnięcia. Jak wszyscy twórcy, których prace miały zostać zaprezentowane, tak i on z całych sił pragnął, by wszystko było jak należy, nim ekspozycja zostanie przedstawiona szerszej publiczności. Jutro nad makietą miasta pochylą się prezydenci Mościcki i Starzyński,

posłowie, oficerowie, profesorowie, sławy polskiej architektury, a wreszcie dziesiątki, setki, tysiące warszawiaków, pragnących zerknąć na przyszłość swojego miasta. Każdy, choćby najdrobniejszy element musiał być wykonany na najwyższym poziomie. Zaniedbania w tej materii były niedopuszczalne. Toteż zamiast jak inni udać się na zasłużony odpoczynek, Andrzej z odrętwiałym karkiem, raz po raz przecierając zmęczone oczy, starannie posklejał uszkodzoną konstrukcję i próbował obecnie cieniutkim pędzelkiem zatuszować ostatnie pozostałości po porządkowej katastrofie.

Kiedy skończył, zauważył panujący wokół niego bezruch. Spojrzał w okno i dopiero teraz dostrzegł, że nastał wieczór. Uprzątnął stanowisko pracy i ostrożnie zszedł po schodach, tak by ponownie nie zepsuć wieży.

Choć pomieszczenia, w których na drugi dzień miała zostać otwarta wystawa, nadal były rzęsiście oświetlone, Andrzejowi wydawało się, że jest w budynku zupełnie sam – on i wizja przyszłości stolicy Polski, pragnącej ze wszystkich swych twórczych sił pokazać światu swą wielkość i uzasadnić powrót Państwa Polskiego na arenę międzynarodową.

Przymocował Wieżę Niepodległości w należnym jej centralnym punkcie makiety Saskiej Kępy i uśmiechnął się zadowolony.

Ani śladu, pomyślał nie bez satysfakcji.

Rozejrzał się wokół po pustym wnętrzu, które od rana wypełni się gwarem rozmów, szumem tysięcy kroków, w którym raz po raz wybuchnie spór, czy to naprawdę powinno tak wyglądać, czy ten budynek nie powinien stanąć

jednak w innym punkcie miasta. Przybędą tłumy warszawiaków i innych gości ciekawych wizji architektów, którzy skwapliwie wykorzystali szansę otrzymaną od prezydenta Starzyńskiego. Tak będzie od jutra, teraz zaś panowała tu niczym niezmacona cisza.

Na szerokich, umieszczonych na wysokości około metra stołach poustawiane były kunsztownie wykonane makiety poszczególnych dzielnic w ich przyszłym kształcie. Zatrzymane życie nieistniejącego jeszcze miasta. Po maleńkich, gładko wyasfaltowanych ulicach sunęły miniaturowe samochody. Wyrównanymi chodnikami, przyozdobionymi zielenią, w podcieniach nowoczesnych kamienic pełnych światła i otwartych przestrzeni, szli eleganccy mężczyźni i piękne kobiety.

Wkrótce to wszystko ożyje..., zadumał się Andrzej, wpatrując się w nieruchome postacie.

Ogarnęło go owo tajemnicze drżenie, które zwykle wywołuje świadomość prawdopodobieństwa ziszczenia się nadzwyczaj śmiałego snu.

Jego sen się ziścił. Potoczył wzrokiem po białych ścianach, na których umieszczono plansze zawierające najwspanialsze wizje przyszłości miasta. Schematy funkcjonalnego podziału całej Warszawy i poszczególnych dzielnic wisiały obok planów rozkładu przyszłej linii metra. Studium rozplanowania otoczenia Belwederu ulokowano zaraz obok koncepcji Esplanady Praskiej i spektakularnego projektu przebudowy Cytadeli. Zatrzymał się na dłużej przy planach dzielnicy imienia Józefa Piłsudskiego. To tu miały powstać najokazalsze

budynki w stolicy, najwspanialsze gmachy nowoczesnej Warszawy.

Przed oczyma Andrzeja znów pojawił się obraz, który od dawna nosił w sercu i umyśle – projekt budynku idealnie komponującego się z centralnym założeniem przestrzennym miasta. Wprawdzie wciąż jeszcze nie znalazł czasu, by przelać go na papier, ale przyrzekł sobie, że uczyni to, gdy tylko ucichną emocje wystawowe. Obietnice takie składał każdorazowo, patrząc na plany reprezentacyjnej dzielnicy imienia Marszałka.

Joanna miała rację, przemknęło mu przez myśl. Ze spełnionego marzenia natychmiast rodzi się kolejne.

Uśmiechnął się na myśl o żonie i powrócił do oględzin. Ponownie przejrzał szkice miejskich terenów zielonych, plany uregulowania, zagospodarowania oraz upiększenia prawego i lewego brzegu Wisły, projekt uporządkowania, odsłonięcia i odrestaurowania Starego Miasta, tak by mogło zostać w całości potraktowane jako zabytek, i wiele, wiele innych rysunków, zdjęć, projektów tradycyjnych, prostych w realizacji, i zupełnie nowych, szalonych, które jeszcze do niedawna wielu mogły się zdawać wręcz bajkowe i nierzeczywiste. Andrzejowi aż zakręciło się w głowie od tego wszystkiego. Tyle wspaniałej architektury, tyle żywej myśli na służbie propagandzie nowoczesności, postępu i rozwoju Polski.

Nagle poczuł się dumny i wzruszony zarazem, że to właśnie on otrzymał taką szansę i że udało mu się z niej skorzystać. Niemal na wprost miejsca, w którym stał, wisiał jego projekt. Prosty rysunek przedstawiał przystanek tramwaju wodnego

na Powiślu. Zaokrąglone krawędzie, szkło, geometryczne barierki, nawiązujące do zdobień elewacji niewielkiej konstrukcji. Poniżej rysunku widniała miedziana tabliczka: „Druga nagroda w konkursie magistratu miasta – inż. Andrzej Zasławski”. Przeczytał ją kilkakrotnie. Oto spełnił się śniony od tak dawna sen. Jego praca wisiała w otoczeniu szkiców Nagórskiego, Przybylskiego, Ostrowskiego, Pniewskiego, jednym słowem samej elity architektów warszawskich.

Oto dokąd doprowadziły mnie lata motywującej od dziecka bliskości rodziców, pilnej nauki, cierpliwość żony, wierność dewizie wuja Bryły i kilka pokrzepiających słów Wojtka, zaśmiał się w duchu Andrzej, przykrywając wesołością głębokie wzruszenie zrodzone z wdzięczności.

Mam nadzieję, że nie odgadną, jak wielki mam wobec nich wszystkich dług, pomyślał. Bo i jak miałbym go wówczas spłacić? Jak można wyrównać takie rachunki, w których jedyną walutą jest miłość? Jak można rozliczyć się z Bogiem, który ich podarował?

Kochając i doceniając to, co się otrzymało, a nade wszystko dalej śniąc wielkie, piękne sny zmieniające świat, odpowiedział po chwili samemu sobie.

Przeszedł przez kolejne sale, w których gasił światła. Aksamitna ciemność spowiła niezaistniałe jeszcze miasto.

Trzeba myśleć, pracować i cierpliwie czekać, aż sny się ziszczą. Najtrudniejszą sztuką jest czekanie, choć przecież tyle nam na nim upływa w życiu czasu.

Wciąż zamyślony, nieuważnie pożegnał się z portierem i wyszedł na ulicę, zostawiwszy za sobą pogrążony w ciszy

i mroku, wciąż niedokończony gmach Muzeum Narodowego, w którym rankiem miało się rozpocząć świętowanie wielkich snów o Warszawie, a także jego osobisty triumf. Tyle czasu poświęcił na przygotowanie swojego projektu, tyle myśli, słów, oddechów. Teraz pozostawało tylko czekać, aż kolejny świt obwieści nadejście dnia otwarcia wystawy „Warszawa przyszłości” w owym muzeum marzeń dyrektora Stanisława Lorentza. Przypomniał sobie krążące po mieście opowieści o tym, jakich sztuczek i obrastających legendą trików organizatorskich używał dyrektor Muzeum Narodowego, by mieć czemu szefować. Powiadali, że obiecał prezydentowi Starzyńskiemu powierzchownie na wystawę, nim wyrosła z ziemi stosowna ku temu przestrzeń. Prezydent przystał na tę propozycję, a że zależało mu na zaprezentowaniu swojej wizji stołecznej metropolii, budowa gmachu Muzeum Narodowego nabrała niespodziewanie szybkiego tempa.

Oto dokąd prowadzi mieszanka uporu i marzeń, pomyślał Andrzej, rzucając ostatnie spojrzenie na modernistyczną budowlę projektu mistrza Tołwińskiego.

Niespodziewanie z całych sił zapragnął znaleźć się w domu, podzielić się przeżyciami dnia z Joanną, bez której nic nie miało sensu, przytulić bliźnięta, dla których projektował to nowe oblicze miasta, zobaczyć rodziców, którym zawdzięczał możliwości twórcze, braci, Helenkę, tych wszystkich bliskich ludzi, którzy wyznaczyli cel jego marzeniom, jednocześnie mocno przytrzymując go na powierzchni ziemi.

Uśmiechnął się i żwawym krokiem podążył w dół Alei Ujazdowskich, na spotkanie tego, co w jego życiu było

najrealniejsze. Na samą myśl o domownikach poczuł, że to miasto jest dla niego tak szczególnym miejscem, bo są tu oni, ludzie, bez których życie nie miałoby sensu.

Rozdział 29

Po owym feralnym zdarzeniu w Domu Towarowym Braci Jabłkowskich Tadeusz pierwszy raz w życiu zaczął przeglądać prasę codzienną. Każdego ranka, ignorując zaciekawione spojrzenia członków rodziny, otwierał dziennik, szukając w nim informacji o odwołaniu ślubu Estery i Natana. Jednak dni mijały, a stołeczne kroniki towarzyskie wciąż emocjonowały się nadchodzącym mariażem dziedzica fortuny Zimmermanów, poświęcając mnóstwo miejsca na opisy wszelkich wspaniałości przygotowanych dla zaproszonych gości, nazywanych w co drugim tekście „szczęśliwcami”. Wreszcie gdy do ślubu pozostało zaledwie kilka dni, a w kolumnach towarzyskich niemal wrzało od emocji, Tadeusz ku swojemu najszczerzszemu zdziwieniu zrozumiał, że ślub Estery i Natana nie został odwołany i uroczystość odbędzie się zgodnie z poczynionymi uprzednio planami.

Nie pojmował, jak to się stało, że po tym, co się wydarzyło w owo marcowe popołudnie, Zimmerman nie zerwał zaręczyn.

Przecież to niemożliwe, żeby tak po prostu jej wybaczył, rozmyślał z oburzeniem Tadeusz. Estera jest czarująca i... niezwykła, ale ktoś taki jak Zimmerman może zdobyć serce dowolnie wybranej kobiety, nie musi żenić się z tą, która okazała się niegodna zaufania już w narzeczeńskim stanie. To musi być jakaś pomyłka.

Nie chciał dopuścić do siebie myśli o pogodzeniu się narzeczonych. Wizja tego, że poniósł porażkę, była mu

nienawistna. Wszystko poszło nie tak, jak się spodziewał. Był zbyt pewny zwycięstwa i przestał być czujny. Na boisku taki błąd był niedopuszczalny, a Tadeusz już dawno pojął, że złote zasady piłkarskich zmagania doskonale nadają się do zastosowania w codzienności, zwłaszcza w relacjach z płcią piękną. Właśnie to niezachwiane przekonanie o zwycięstwie popchnęło go do popełnienia błędu, którym ostatecznie przypłacił swoją wielką przegraną. A jeśli Tadeusz Zasławski czegoś szczerze nie znosił, to odpadania z rozgrywki, gdy wygrana była w zasięgu ręki. Do niedawna nieco pocieszająca była dla niego myśl, że skoro on nie może mieć Estery, to nie dostanie jej także jego rywal, Natan. Najmłodszy Zasławski chodził chmurny i zasepiony, aczkolwiek nie na tyle, by utracić gargantuiczny apetyt lub choć cząstkę entuzjazmu do piłkarskich zmagania.

Jego irytację potęgował fakt, iż cała rodzina, nieświadoma kłębiących się w nim uczuć, od kilku dni nie mówiła o niczym innym, jak o zamążpójściu Esterki. Zaprzyjaźnieni od lat ze Steinami Zasławscy zostali oczywiście zaproszeni do wzięcia udziału w uroczystościach ślubnych i zamierzali z zaproszenia skorzystać. Tadeusz, mimo wyraźnego niezadowolenia rodziców, wymawiając się ważnym treningiem, stanowczo odmówił uczestnictwa w świętowaniu zaślubin siostry Berka. Za nic nie chciałby swoją obecnością wzmóc w Natanie poczucia satysfakcji z odniesionego zwycięstwa. Mimo to wciąż dręczyło go niezrozumiałe pragnienie bycia świadkiem chwili, w której Estera zostanie panią Zimmerman.

W dniu ślubu z samego rana, jak gdyby nic nie miało się tego dnia wydarzyć, udał się na Konwiktorską. Jednak ku zdziwieniu pozostałych członków drużyny, po raz pierwszy od przyjęcia do składu podstawowego Tadeusz Zasławski nie radził sobie na boisku. Nie mógł utrzymać piłki przy nodze, kilka razy spudłował i dał się okiwać najsłabszemu koledze. Gdy wreszcie strzelił gola, okazało się, że pomylił bramki. Trener, widząc, że z Zasławskim dzieje się coś niepokojącego, nakazał mu powrót do domu. Tadeusz jednak zamiast do domu, udał się spacerem na Tłomackie.

Pozbawiony jedynej rzeczy, która mogłaby go skutecznie odwieść od pomysłu ukradkowego zjawienia się w synagodze, by na własne oczy ujrzeć moment, w którym Estera, jego Estera, zostanie żoną Natana Zimmermana, zjawił się na miejscu sporo przed czasem i skrył w cieniu kolumnady. Z miejsca, w którym stał, doskonale widział swoją rodzinę oczekującą na przybycie tradycyjnej żydowskiej procesji ślubnej, ale nawet przed nimi nie chciał zdradzać swojej obecności. Rodzice stali zamyśleni, przyglądając się wszystkiemu wokół z właściwym sobie naukowym zainteresowaniem. Joanna i Andrzej całą uwagę zamiast na uroczystości skupiali na przywoływaniu do porządku bliźniaków, pochłoniętych bez reszty korzystaniem z opanowanej niedawno umiejętności poruszania się na dwóch nogach. Jan zaś stał nieco z boku i patrzył w przeciwnym kierunku niż wszyscy pozostali goście. Tadeusz mimowolnie podążył za jego spojrzeniem. Ze zdziwieniem odkrył, że Jan przygląda się ślicznej, młodziutkiej dziewczynie, stojącej obok

Leona Żabińskiego. Wyraz twarzy brata był jednak daleki od miłosnego uniesienia czy zachwyty. Jego twarz była ściągnięta nieokreślonym smutkiem i czymś, czego Tadeusz nie potrafił nazwać, może gniewem? Miał nieuzasadnione wrażenie, że brat, podobnie jak on, chciał pozostać w tym momencie sam na sam ze swoimi myślami, przeżyciami i uczuciami, których nikt poza nim samym nie mógł zrozumieć. Mimo to zapisał w myślach, że koniecznie musi dowiedzieć się, kim jest owa ślicznotka i czym naraziła się na niechęć ze strony Jana.

Odwrócił spojrzenie od rodziny i rozejrzał się wokoło. Wielu mówiło, że Wielka Synagoga przytłacza swoim rozmiarem i nadmierną, zdaniem niektórych, ozdobnością. Prawdą było to, że Synagoga na Tłomackiem, wybudowana według projektu znakomitego Leandra Jana Marconiego, mogła pomieścić przeszło 2300 osób, jednak rozmach, z jakim została zaprojektowana, w niczym nie ujmował jej wdzięku.

Tadeusz stał ukryty za potężnym filarem i spoglądał to na majestatyczny budynek, któremu jakoś nigdy dotąd nie miał okazji przyjrzeć się z bliska, to na skwer przed synagogą, na którym oczekiwano młodej pary.

Po chwili ujrzał kabriolet Natana, a tuż za nim wspaniałały biały powóz ze złożonymi klamkami i okiennicami, którym powoził lokaj ubrany w odświętną liberię, lśniący cylinder i białe rękawiczki. Wśród zgromadzonych przed synagogą gości dało się słyszeć szum pełnych podziwu szeptów. Tadeusz także był pod wrażeniem, aż gwizdnął cichutko na widok tego zbytku i przepychu.

Oto i Esterka w swojej wymarzonej karecie z bajki! Najwyraźniej postanowiła odegrać dziś rolę najprawdziwszej królowny, pomyślał z goryczą, patrząc na wspaniałą czwórkę kasztanów zaprzężonych do staroświeckiego, luksusowego pojazdu.

Za powozem sunęły powoli samochody pozostałych gości. Wkrótce cały korowód zatrzymał się nieopodal synagogi.

Mecenas Stein pomógł córce wsiąść. Na widok Estery serce Tadeusza zabiło mocniej. W jedwabnej, białej, połyskującej sukni, uszytej według najnowszej paryskiej mody, z nałożonym jeszcze w domu przez Natana, niemal przezroczystym welonem, podtrzymywanym przez przyczepiony zmyślnie wianuszek margerytek, spoczywającym na czarnych falach jej długich włosów, wyglądała jakby wyszła z ilustracji baśni o królownie Śnieżce. Tadeusz nie mógł oderwać od niej wzroku. Z podziwem patrzył, jak lekko stąpa wśród morza gości, szczelnie wypełniających niewielki placyk. Zapragnął nagle, by rozejrzała się wokół, szukając go wzrokiem, lub by przypadkiem spojrzała w jego stronę. Chciał wiedzieć, że do ostatniej chwili był obecny w jej myślach, jeszcze chwilę podtrzymać złudzenie, że był... a może i wciąż jest kimś ważnym w jej życiu. Pragnął zachować w sercu iluzję, że nie utracił jej względów, że dziewczyna została do ślubu zmuszona przez rodzinę, przez presję społeczną, lecz gdyby tylko pozostawiono jej wybór, bez zastanowienia wróciłaby do niego.

Jednak zachowanie Estery pozbawiło go ostatnich namiastek nadziei. Panna młoda zdawała się nie dostrzegać

nikogo poza narzeczonym. Jej wzrok nawet na chwilę nie spoczął na żadnym z przybyłych gości. Z nikim się nie witała, nie kłaniała się nikomu, do nikogo się nie uśmiechała. Nie podziwiała też dekoracji skweru, ani razu nie zerknęła w niebo czy pod stopy, nie obejrzała się za muzykami, którzy właśnie narobili hałasu, gdyż jeden z nich upuścił z hukiem puzon. Dla Estery świat zewnętrzny zdawał się nie istnieć. Szła jak w transie, patrząc wyłącznie na pana młodego.

Mimo całej jadowitej nienawiści, którą w tym momencie Tadeusz odczuwał względem Natana, nie mógł mu odmówić klasy i dostojności. Zimmerman, mimo wczesnej pory ubrany w wytworny frak, wyglądał jak marmurowy pomnik, arystokratycznie blady, o wyrazistych rysach twarzy i dumnie wydętych ustach. Gdy ujrzał Esterę, na jego twarzy odmalowało się wzruszenie, a oczy zamglily łzy szczęścia. Tadeusz prychnął kpiąco.

Baba, skwitował w myślach, choć wyczuwał nutkę fałszu pobrzmiewającą w tym słowie.

Natan podał ramię Esterze. Tadeusz widział, jak drobne palce przejętej dziewczyny zacisnęły się na ramieniu Natana, który w odpowiedzi na ten gest uspokajająco przykrył je swoją dłonią. Grupka najbliższej rodziny, trzymając w rękach świece, odprowadziła państwa młodych w stronę białego baldachimu rozpiętego na środku skweru. Państwo Zimmerman kroczyli dostojnie po prawej stronie syna, witając się z mijanymi gośćmi delikatnymi ukłonami. Mecenas Stein, który starał się nie okazywać kłębiących się w nim uczuć i raz po raz odchrząkiwał donośnie, by nie dać się opanować

wzruszeniu, prowadził pod ramię małżonkę, która zachowywała się jak królowa. Sara Stein szła wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, posyłając przyjaciółczkom zwycięskie uśmiechy, kłaniając się łaskawie mniej lubianym gościom i machając tym spośród nich, których darzyła większą sympatią. Ślub Estery z jedynym synem wielkiego Zimmermana był dla pani Stein nie tylko rodzinną uroczystością, ale i wielkim triumfem towarzyskim. Pławiła się więc bezwstydnie w płynących z tego faktu rozkoszach.

Biały baldachim, nazywany chupą, misternie wyhaftowany w złote gwiazdy, w których teraz w środku dnia migotały promienie słońca, rzucając wokół złociste błyski, spoczywał na wysokich tyczkach, podtrzymywanych przez Berka i trzech innych mężczyzn, których Tadeusz nie znał.

Od dłuższego czasu tam i z powrotem po wysokich schodach biegało kilku małych chłopców. Gdy państwo młodzi nadjechali, malcy przystanęli nieopodal skrytej w podcieniu kolumnady Zasławskiego. Jeden z nich był najwyraźniej kimś z najbliższej rodziny, gdyż głośno komentował zachowanie wszystkich gości, wymieniając każdą oczernianą osobę z imienia i wskazując ją palcem. Gdy chłopiec ujrzał Berka trzymającego palik chupy, zaczął żartować, że bratu panny młodej kazano wspierać baldachim, bo to podobno przynosi błogosławieństwo rychłego ożenku.

– A żeby on jeszcze kiedy znalazł sobie żonę, potrzeba już niebiańskiej interwencji – dodał malec tonem znawcy. – Tak przynajmniej twierdzi moja babka.

Tadeusz zachichotał, słysząc tę niezbyt właściwą uwagę.

Proszę, proszę, pan idealny nadal szuka wybranki, pomyślał nie bez satysfakcji.

Gdy młoda para weszła pod chupę, goście umilkli, poruszeni powagą chwili. Młodym podano bogato zdobione kielichy z winem i rabin Schorr odmówił pierwsze błogosławieństwo.

Po skończonych modlitwach Estera, wciąż milcząca i poważna, siedem razy obeszła Natana. Gdy skończyła, stanęła po jego prawej stronie. Tadeusz dostrzegł rumieniec na jej policzkach i falującą od przyspieszonego oddechu pierś. Poczul ucisk w żołądku i bezwiednie zacisnął pięść. Chciał coś zrobić, byle tylko ją powstrzymać. Krzyknąć, by nie wychodziła za Natana, bo tylko z nim, z Tadeuszem, może być naprawdę szczęśliwa, byli przecież do siebie tak bardzo podobni.

Nie mógł się jednak zdobyć na to, by przerwać uroczystość. Nogi miał ciężkie jak z ołowiu, a głos zdawał się skrępowany jakimiś nierozzerwalnymi pętami.

Natan ujął dłoń Estery i rzekł z mocą:

– Oto jesteś zaślubiona mi tym pierścieniem wedle prawa Mojżesza i Izraela...

Po tych słowach wsunął prościutki, złoty krążek na palec wskazujący prawej ręki dziewczyny. Tadeuszowi zakręciło się w głowie. Całym ciałem przylgnął do trzonu kolumny.

To koniec, przemknęło mu przez myśl.

Natan uniósł dłoń Estery do ust i pocałował. Podano parze kolejne kielichy z winem. Rabin Schorr odmówił kidusz, a po nim sześć kolejnych błogosławieństw; wśród nich przebrzmiewały hymny pochwalne na cześć Boga Stwórcy, który obdarzył swoje stworzenie wszelką radością i dał im

siebie nawzajem jako męża i żonę. Tadeusz wprawdzie nie rozumiał wypowiedzianych przez rabina słów, ale i on na krótką chwilę zanurzył się w pięknie wznoszonej ku niebu modlitwy tego pobożnego człowieka. W jakiś tajemniczy sposób zlewała się ona z dziwnym poczuciem straty, które nagle z mocą wtargnęło do jego serca. Ku własnemu zdumieniu odczuł także pewną ulgę płynącą z modlitwy.

Wreszcie małżonkowie wychylili zawartość kielichów. Natan wyprostował się i potężnym jak grzmot, dźwięcznym głosem odśpiewał psalm. Słowa „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica...” wypełniły cały plac. Tadeusz uczył, że drży, przejęty mocą słów śpiewanych przez mężczyznę, który wszak odebrał mu Esterę. Natan zakończył śpiew psalmu i cisnął pustym kielichem o ziemię, tak że delikatne naczynie rozprysło się na tysiące kawałeczków.

Panującą dotąd podniosłą ciszę zastąpiła burza oklasków i okrzyków radości.

– *Mazel tow!* – zdawali się wołać wszyscy goście. Wsparta na ramieniu Natana Estera w niemal świecącej w promieniach popołudniowego słońca sukni, w deszczu orzechów i ryżu, którymi obsypywali parę młodą na szczęście życzliwi im ludzie, wyszła spod baldachimu, by ruszyć na nowe ścieżki swojego życia.

Tadeusz odprowadzał ją wzrokiem. Znów poczuł ukłucie żalu, ale tym razem zignorował je. Nie miał ochoty niczego sobie wyrzucać. Skończyło się. Było, minęło. Nadejdzie dzień, w którym Estera pożałuje wyboru, którego dokonała. On zaś, Tadeusz Zasławski, za kilka miesięcy, podczas igrzysk

olimpijskich w Berlinie, poprowadzi swoją drużynę do zwycięstwa.

Tylko to się liczy, pomyślał.

Klezmerzy zagrali skoczną melodię. Goście zaczęli tańczyć wokół pary młodej, unosząc w górę ręce i raz po raz wykrzykując: *Mazel tow!*

Tadeusz wsunął wciąż zaciśnięte w pięść dłonie do kieszeni płaszcza i odszedł, ani razu nie spojrzawszy za siebie.

Zgodnie ze zwyczajem, po skończonych życzeniach i błogosławieństwach orszak weselny udał się do domu pana młodego na dalsze świętowanie i obfity poczęstunek. Po przekroczeniu progu rezydencji Zimmermanów, wśród gromkich okrzyków *Mazel tow!*, Berek odprowadził Esterę i Natana do pokoju, który tego dnia miał pełnić funkcję ostatniego elementu zaślubin, czyli miejsca, w którym małżonkowie będą mogli wyciszyć się, odpocząć i w pełni pojąć to, co właśnie się dokonało przed Bogiem i ludźmi. Zgodnie z tradycją mieli tam pozostać tak długo, jak będą potrzebować, a Berek jako świadek miał strzec, by im w tym czasie nie przeszkadzano.

Estera weszła do chłodnego pokoju i przystanęła oszołomiona. Serce załopotало jej szybko jak skrzydła sikorki. Jeden z pokoi gościnnych, nazywany tego dnia *cheder jichud*, tonał w kwiatach. Dziesiątki bukietów różnokolorowych peonii, porozstawianych na parapetach, stoliczkach, półkach, a nawet podłodze, napełniały wnętrze silnym, kwiatowym zapachem, najmiłszym Esterze. Była to jedyna rzecz, której brakowało jej podczas dzisiejszego dnia. Okres kwitnięcia jej

ukochanych kwiatów miał się zacząć dopiero za kilka tygodni. Zignorowała jednak tę drobnostkę, nie chcąc sprawiać już więcej kłopotów.

Natan jednak od zawsze wiedział o jej miłości do peonii, domyślił się jej pragnień i postanowił je spełnić. By sprawić jej przyjemność, w ubiegłym tygodniu posłał do Francji po kilkanaście skrzyń ulubionych kwiatów swej przyszłej żony, które z samego rana w dniu ślubu przyleciały prywatnym samolotem jego ojca. Peonie zajmowały niemal całą przestrzeń *cheder jichud*, pozostawiając wolny jedynie elegancko nakryty do pierwszego tego dnia posiłku narzeczonych stół i dwa wygodne krzesła z poduszkami. Estera aż klasnęła z radości.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję – szeptała, wtulając twarz w puszyste łebki kwiatów.

Natan z zadowoleniem człowieka, któremu udało się dokonać wielkiej rzeczy, przyglądał się, jak Estera biega od bukietu do bukietu, muskając wargami płatki swoich ukochanych kwiatów. Nagle odwróciła ku niemu twarz zarumienioną z emocji. Zamiast radości zobaczył w jej oczach łzy.

– Estero, coś się stało? Zrobiłem coś złego? – zapytał zaniepokojony, podchodząc do niej i chwytając ją w ramiona.

Pokręciła przecząco głową, tak silnie, że jedna z maleńkich, białych margerytek wysunęła się z wianka welonu i bezszelestnie opadła na dywan. Na ten widok Estera rozplakała się jeszcze bardziej. Łzy płynęły jej po twarzy, rozmazując misterny makijaż.

– Estero, a może ty żałujesz? – zapytał Natan głosem niemal martwym, w którym pozostały ledwie ostatnie nutki życia. – Żałujesz, że nie wybrałaś... jego?

Estera popatrzyła na męża wilgotnymi od łez oczyma.

– Nie żałuję i wiem, że nigdy nie będę żałowała – powiedziała stanowczo, choć głos drżał jej ze wzruszenia. – Nigdy. Jestem tylko... jestem taka szczęśliwa.

Natan przygarnął ją do siebie, a ona złożyła głowę na jego piersi, wsłuchując się w kojące, mocne bicie jego serca. Trwali tak w milczeniu, ignorując upływający czas i myśl o oczekujących na nich gościach. Błogą ciszę przerwała Estera.

– Natan... – zaczęła po chwili.

– Tak, najmiłsza? – szepnął jej prosto w ucho.

– Wiem, że jako świeżo poślubiona małżonka nie powinnam się przyznawać do tak przyziemnych spraw, ale... ale... – zawahała się, zmarszczyła czoło, usilnie się nad czymś zastanawiając, po czym najwyraźniej postanowiła mimo wszystko podzielić się z mężem swoją troską. – Och, wybacz mi, proszę, ale po całym dniu postu jestem tak nieopisanie głodna, że zemdleję, jeśli natychmiast czegoś nie zjem!

Natan wybuchnął śmiechem, a Estera, zapominając o zakłopotaniu, zawtórowała mu.

Za oknem zbierały się gęste chmury, zwiastujące nadejście wiosennej burzy. Niebo powoli zasnuwała szara zasłona obłoków, w oddali gdzieniegdzie już poprzecinana niemal czarną linią deszczowych strug. Wiatr smagał bezlitośnie pierwsze kwiaty na krzewach, wprawiał w drżenie liście drzew,

wciskał się przez szczeliny drzwi i okien, gwizdząc przeciągle i jakby złowieszczo. Jednak oni nie zwracali uwagi na to, co działo się na zewnątrz, pochłonięci bez reszty zapowiedzią szczęścia, które od tej chwili miało stać się ich udziałem.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)